

TYLKO W „DO RZECZY”

Cenckiewicz ujawnia, co zniknęło
z wojskowych archiwów



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

NR 27/279 2-8 LIPCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Joanna Mucha

Magdalena Środa

Joanna Scheuring-Wielgus

Kompromitacja z ustawą o IPN
– piórem Ziemkiewicza

MASŁOŃ O SWEJ
PRZYGODZIE
Z ROLLING
STONESAMI



Dlaczego wrony wypierają
z miast inne ptaki?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



9 772299 850000
Nakład: 89 tys. egzemplarzy

BOŻE, CHROŃ
NAS PRZED
FEMINISTKAMI

Ostry tekst Warzechy

Nasze hotele - Twoje wakacje

A za
dzieci
nie płacisz!*

*Szczegóły promocji na www.zdrojowahotels.pl

Hotele w najpiękniejszych kurortach™

Kołobrzeg · Świnoujście · Ustronie Morskie · Szklarska Poręba

Rezerwuj bezpośrednio:

+48 91 40 40 400
rezerwacja@zdrojowahotels.pl

www.zdrojowahotels.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Walec postępu

Najpierw zwolennicy liberalizacji aborcji wygrali referendum w Irlandii. Kilkanaście dni później to samo miało miejsce w Argentynie, która – zresztą tak jak Irlandia – przyjęła wcześniej prawo zrównujące związki jednopłciowe z naturalnymi małżeństwami. Teraz Irlandia przygotowuje się do kolejnego głosowania powszechnego, którego skutkiem będzie najprawdopodobniej zniesienie wszelkich kar za bluźnierstwa. Będzie to, można spokojnie powiedzieć, symboliczny koniec dawnej Irlandii, słynącej niegdyś ze swej katolickiej kultury i bliskości z Rzymem. Inny przykład to Hiszpania. Nowy premier Pedro Sánchez pierwszy raz w historii swego kraju złożył przysięgę, pomijając krzyż i Pismo Święte. W czasie kampanii zapowiadał, że będzie dążyć do usunięcia religii ze szkół – nie tylko publicznych, lecz także prywatnych. Można sądzić, że premier będzie chciał renegocjować lub zerwać konkordat z Watykanem. Jednym słowem – można się spodziewać jeszcze bardziej radykalnej i wrogiej wobec Kościoła polityki niż ta, jaką prowadził przed laty inny lewicowy radykał, José Zapatero. Jak to się właściwie dzieje? Czy na naszych oczach umiera rzymski katolicyzm? Dlaczego kolejne, niegdyś głęboko wierzące narody porzucają religię? Czy jest to proces nieunikniony?

Rzeczywiście, wszystkie badania socjologiczne pokazują na Zachodzie masowe odwracanie się od religii. Według renomowanego ośrodka badającego religijność na świecie Pew Research Center w Holandii żyje obecnie więcej ateistów i agnostyków niż ludzi przyznających się do wyznawania wiary – 48 proc. do 41 proc. Na drugim miejscu jest Norwegia – 43 proc. niewierzących, dalej Szwecja – 42 proc. W niegdyś katolickiej Belgii do chrześcijaństwa przyznaje się 55 proc. chrześcijan, ateistów i bezwyznaniowców jest 38 proc. Jednak prawdziwie dramatyczny spadek liczby chrześcijan można zaobserwować właśnie w Hiszpanii. W tym państwie, niegdyś symbolu siły katolicyzmu, już teraz jedna trzecia społeczeństwa nie wyznaje żadnej religii! Co ciekawe, a właściwie należałoby powiedzieć – przerażające, 49 proc. hiszpańskich katolików jest zwolennikami swobody dokonywania aborcji, a ponad połowa uznaje za moralnie słuszne związki jednopłciowe.

Jest to zatem obraz mroczny, coraz bardziej niepokojący. Wyraźnie też widać pewną prawidłowość. Załamanie wiary we wszystkich tych krajach nastąpiło po Soborze Watykańskim II. Pierwszym i najważniejszym źródłem kryzysu był chaos wśród samych nauczycieli wiary. Upadek

dyscypliny spowodował przeniknięcie do Kościoła znaczącej liczby homoseksualistów. Pociągnęło to za sobą lawinę skandali pedofilskich, co skutecznie podkopało autorytet i moralną powagę hierarchów. Z roku na rok rosła liczba porzucających Kościół wiernych.

Ośmieliło to z kolei polityków lewicy do prowadzenia coraz bardziej radykalnej, często wprost antychrześcijańskiej polityki. W kolejności znosili karalność aborcji, wprowadzili akceptację dla związków jednopłciowych i – co się właśnie dokonuje – prawną zgodę dla eutanazji. Łatwo też przewidzieć, że na tym się nie skończy: kolejnym krokiem będzie próba narzucenia akceptacji „świeckich wartości” wszystkim, również malejącej grupie chrześcijan. Państwo neutralne religijnie w ostateczności staje się wobec religii państwem wrogiem. Wygląda na to, że zachodnia lewica osiągnęła dokładnie to samo, o czym niegdyś marzyli przywódcy bolszewicy. Udać się jej budować społeczeństwo coraz bardziej zeświecczone, prawdziwie bezbożne. I wszystko to bez rozlewu krwi.

Ten jednolity obraz zaburza, na szczęście, kilka elementów. Z pewnością największe znaczenie miał tu nieoczekiwany wybór na prezydenta USA Donalda Trumpa. Był to jedyny znaczący przypadek klęski obozu lewicy liberalnej w wojnie kulturowej w ciągu ostatnich kilkunastu lat. To Trump, może w sposób nieco chaotyczny i niekonsekwentny, ale jednak skuteczny, odciął pomoc finansową dla organizacji proaborcyjnych na świecie. Broni on też praw chrześcijan do wolności religijnej. Innym znakiem jest opór wobec lewicowej ideologii w państwach Europy Środkowej, szczególnie w Polsce. Jednak czy polski katolicyzm będzie miał w sobie dość siły, żeby przetrwać? Czy też Polska pójdzie drogą tylu innych, niegdyś katolickich państw, które błyskawicznie uległy ciosom nowoczesności? Trudno mieć nadzieję, że tak się nie stanie. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA

FEMIDYKTATURA

Paranoiczna walka z mężczyznami



KRAJ

20 PIOTR SEMKA

POLSKA W GRZE O EUROPE

Lewica kontra tożsamościowcy

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

REJTERADA

26

O IPN DO RZECZY

28 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM SZARKIEM

NIE BĘDZIEMY AGENCJĄ PR

32 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

NISZCZYCIELSKIE „DZIECI KISZCZAKA”

35 ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ WASSERMANN

TUSKA PRZESŁUCHAM NA KOŃCU

38 ŁUKASZ ZBORALSKI

CZAS CZARNYCH PTAKÓW



KULTURA

42 PIOTR GOCIEK

WYBÓR NETFLIXA

Dokąd zmierza gigant streamingu

45 KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOI STONESI

48 PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

WIECZNA MELANCHOLIA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z DR. PAWŁEM LITWIŃSKIM

FURTKA DO CENZURY MEDIÓW

Ekspert w zakresie ochrony danych osobowych o RODO

58 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

MILLENNIALSI ODCHODZĄ Z ROZMACHEM

60 JAN KRZYSZTOF KELUS

TALARY ZŁEJ SŁAWY

HISTORIA



62 ADAM ZUBEK

ŚMIERĆ Z KOSMOSU

Ślady po kosmicznych bombardowaniach

66 ADAM HLEBOWICZ

STO LAT KUL. I CO DALEJ?

68 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

BRAMKARZ W POLU KARNYM

ŚWIAT

72 PIOTR WŁOCZYK

REWOLUCJA TRUDEAU

Kanada pachnąca „trawką”

74 OLIVIER BAULT

FBI SKOMPROMITOWANE

77 SZEWAH WEISS

KSIAŻĘ I TRUDNA PRZESZŁOŚĆ

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI

ZAROBIĆ NA POLSKIM NIEBIE

Marzenia o superlotnisku

82 ROZMOWA Z SYLWESTREM TUŁAJEWEM

GETBACK TO NIE JEST AFERA PIS

86 ROZMOWA Z PREZESEM UNII

WARZYWNO-ZIEMNIACZANEJ

POLSKA WIEŚ STRACIŁA NA UE

LATO „DO RZECZY”

88 JOANNA BOJAŃCZYK

NAJLEPSZE KURORTY EUROPY – LIDO

Wyspa Lido wciąż czaruje urokiem przeszłości i teraźniejszości

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PIOTREM POGONEM

DOTYK NIEBA

Z jednym płucem po Koronę Ziemi

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (65), KOWALCZUK (76), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)



Jerzy Dudek

Smart gets real

Zasilany światłem CITIZEN Eco-Drive Bluetooth, wyposażony w szafirowe szkło, łącząc się z telefonem przenosi zegarek na wyższy poziom funkcjonalności.



Eco-Drive



Bluetooth

citizen.pl



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

Rząd ułatwi życie kierowcom

Od 1 października kierowcy nie będą musieli wozić ze sobą dowodu rejestracyjnego pojazdu i poświadczenia posiadania polisy OC – poinformował w piątek minister cyfryzacji Marek Zagórski.

Obecnie kierowca, który zapomni wziąć ze sobą dowodu rejestracyjnego lub poświadczenia posiadania OC może zostać w razie kontroli ukarany mandatem w wysokości nawet 250 zł. Na wniosek Ministerstwa Cyfryzacji Sejm zmienił już jednak odpowiednie przepisy w ustawie Prawo o ruchu drogowym. Dzięki temu od październi-

ka policjanci i funkcjonariusze Inspekcji Transportu Drogowego nie będą już karać kierowców mandatami za brak tych dokumentów. Zamiast tego potrzebne dane sprawdzą po prostu w Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców. Wszystkie potrzebne dane już teraz są dostępne w systemie.

Według zapowiedzi ministra cyfryzacji jego resort pracuje już również nad tym, aby w przyszłości kierowcy nie musieli wozić ze sobą prawa jazdy. Niestety, tej zmiany z pewnością nie uda się wprowadzić jeszcze w obecnym roku. © © (jap)

90 LAT POZNAŃSKIEJ FABRYKI

Najstarsza w Polsce fabryka gum i opon – poznański „Stomil” – kończy 90 lat. Zaczęło się w 1928 r., od Spółki Akcyjnej „Paragum” Wyroby Gumowe i produkcji na ogólnopolską skalę opon rowerowych i samochodowych, a także bliskiej współpracy z polskim wojskiem. Po 90 latach poznańska fabryka nadal jest jednym z ważniejszych producentów na rynku, ale by przetrwać, musi pilnie zostać zmodernizowana.

– Teraz mamy opony diagonalne i one zdobywają ok. 10 proc. rynków w Europie i w Polsce. Tłok na rynku jest coraz większy. Jeżeli nie zrobimy modernizacji „radialnej”, to obawiam się, że przyszłość zakładu stanie pod

znakiem zapytania – mówi nam Piotr Walerych, wiceprezes zarządu poznańskiego „Stomilu”. Dodaje, że spółka znalazła już potencjalnego partnera technologicznego. – To potężna japońska firma, której nazwy nie chcę na razie ujawniać. W najbliższych tygodniach mamy zaplanowane dwa spotkania, w tym jedno z prezesem tej firmy, i mam nadzieję, że jeszcze w tym roku zostanie podpisany list intencyjny i memorandum – podkreśla Walerych. W zeszłą sobotę poznański „Stomil” obchodził 90. urodziny. Z tej okazji premier Mateusz Morawiecki przesłał do władz spółki i jej pracowników okolicznościowy list. © © (ww)



TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Waldemar Łysiak,
Krzysztof Masłoi, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięciwicz

Stali współpracownicy i felietniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Ćosić (Bukse), Krzysztof Czarbański, Roman Graczyk,
Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk
(Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Leniewicz, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Tzmiel, Gabriel Michalik,
Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz,
Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sokołowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tymand, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski,
Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr,**
Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk (także SuperExpress), **Mateusz**
Maranowski (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**

Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Marcin Berkowski,**
Jacek Nadarowski, Anna Sobieszka-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fototelejdy: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,**
Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Wojciech Stróżyk/REPORTER, Stefan Maszewski/REPORTER, Mikołaj**
Starzyński/Newsweek Polska/REPORTER/Forum, oprac. graf.: JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG
POLSKIE MEDIA SA

spółka
notowana na
GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza);

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 89 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko

z zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

MUNDIAL OKIEM JASTRZĘBIA

Motto Radosława Kałużnego

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Na początek trochę terapeutycznej drwiny z reprezentacji Polski, która na mundialu w Rosji wywalczyła niekwestionowane ostatnie miejsce w grupie. Brawo, Panowie!

Otóż żywię mieszane uczucia do Samsunga. Przez lata służył mi wiernie oraz udatnie. Wiele temu Samsungowi zawdzięczam chwil wzruszających, radosnych, ale...

przy wielomilionowej publice. Jaki to wstyd! Żeby była jasność, wcale nie uważam, że udział piłkarzy w reklamach wyklucza ich dobrą grę. Wcale nie uważam, żeby ich przesadna dbałość o ciuszki, fryzurczki i żelik na włoskach wykluczała ich dobrą grę. Co więcej – wcale nie uważam, że delikatna imprezka przedmeczowa ma wykluczać ich dobrą grę. Ale, do flakowatej nędzy, ich dobrą grę wykluczało to, że oni w ogóle nie grali! Nic a nic! W ogóle. Przez trzy mecze robili na boisku wrażenie, jakby futbol traktowali z arystokratycznym obrzydzeniem. Ja nawet nie wiedziałem, że sobie tak można na luzie spacerować po boisku w trakcie meczu.

To ostatnie spotkanie wygrane z Japonią 0:1, o honor, ani nam honoru nie dało, ani żenady nie pomniejszyło. Na zawsze zapamiętam ostatnie minuty, kiedy Japonia wiedziała, że wychodzi z grupy mimo porażki z nami, a nasza drużyna była tak zachwycona niby dobrym wynikiem, że całkowicie odpuściła walkę o piłkę. Japończycy sobie podają, my nie atakujemy ich wcale, wszyscy czekają, żeby ten najbardziej zawstydzający spektakl świata, spektakl przekreślający ducha sportu, wreszcie się skończył. A jak się już skończył, to ci nasi się cieszą. Z czego ty się jeden z drugim cieszysz? Weź mi wytłumacz, piłkarzu jeden, z czego się cieszysz? Z czego? Tylko nie ustami Nawałki i Bońka, bo jak ich słucham, to mam wrażenie, że oni się z nas

na zimno nabijają. Wytrzymałem tę grę naszych do końca w sumie z dwóch powodów: bo po pierwsze zacząłem traktować piłkarzy z lekceważeniem, pobłażaniem, na lekkim chilloucie, jak takie pogubione dzieciaki, takie bity życiowe, chociaż bogate, a po drugie z pomocą przyszli mi Niemcy. Tak, przyznam się i wezmę to na siebie. Bardzo mnie urzekło, jak Niemcy odpadli po przegranej w ostatnich minutach z Koreą Południową, jak im Koreańce dwie bramy wpakowali w ostatnich minutach. Podskakiwałem. Wiem, że to nieładnie cieszyć się z cudzego nieszcześcia, ale jednak podskakiwałem. Jestem okropny, ale przynajmniej szczerzy. Poczułem schadenfreude ze zdecydowaną przewagą freude. Nigdy mi się schematyczny, wyrachowany, pozbawiony blasku i spontaniczności futbol Niemców nie podobał. Serio, nigdy. Taki wypracowany pod liniijkę i wypocony. Mogłem ich doceniać tak, jak się docenia dobry traktor. Ale czy można mieć uciechę i frajdę z traktora?

W spokoju będę sobie więc oglądać teraz ten mundial, jak jakiś koneser. Polskiej zaś drużynie, a także panom Bońkowi i Nawałce po żenadzie Rosja 2018 dedykuję nieocenione motto wielokrotnego reprezentanta Polski w piłce nożnej Radosława Kałużnego, wypowiedziane publicznie do kamery: „Może ktoś kopa w dupę powinien dostać albo w ryja, za przeproszeniem, to może wtedy się obudzimy?”. Takie tam, do przemyślenia. ©©

Autor był redaktorem naczelnym „Super Expressu”, obecnie jest prezesem firmy R4S.



FOT. ANDRZEJ IWANCIK/REPORTER

Chyba mu bateria padła, a i głośniczek to albo za cichy, a jak już coś było słycać, to zaprawdę lepiej, aby wypowiedziane przez niego słowa nie harcowały w eterze. Zdecydowanie na „nie” jestem natomiast w przypadku Head & Shoulders. Zdecydowanie. Świat widział, jak facet, który go użył, łupież przygniótł tak, że facet się ugiął na boisku, pełzał zniechęcony, a w meczu z Japonią to po prostu leżał pod bramką z rękoma pod głową. Zdecydowanie jestem na „nie”. I pomyśleć, że temu facetowi po tej głowie z łupieżem Real Madryt chodził... Dobra, kończę już zbyt łatwe „heheszki” z tych nieudaczników, reprezentantów Polski w piłce nożnej. Można by, utrzymując konwencję, kontynuować i szydzić nie tylko z Nawałki reklamującego Samsunga, nie tylko z Lewandowskiego z łupieżem, lecz także z tych wszystkich chipsów, blachotrapezów, rexonów i żabek czołgających się po trawach Rosji



FOT. ROBERT GARDYNSKI



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wybrnięcie z koleiny

Wśród reakcji na ekspresową zmianę ustawy o IPN dominują trzy typy opinii. Pierwsza, ogłoszona przez obóz III RP, mówi, że cała sprawa była niepotrzebną awanturą, a przypadki antypolskich uprzedzeń ostatnio prawie się nie zdarzały. Równie emocjonalne jest stanowisko szeroko rozumianego obozu narodowego. Jedni głoszą, że antypolonizm był i jest problemem, a ustawa ma sens. Inni – że od początku ustawa przeszacowywała nasze siły. Zgoda spadkobierców myśli Romana Dmowskiego następuje w jednym punkcie. Jeśli się już ustawę przyjęło, to nie można się teraz wycofywać, bo zginamy kark przed Izraelem. Towarzyszy temu ironia – najpierw wielkie zadęcie, a potem tchórzliwa rejterada. I wreszcie trzecia postawa – najbardziej entuzjastycznych zwolenników obozu dobrej zmiany: ustawa nie była zła, ale skoro wybuchł międzynarodowy kryzys, to cieszymy się, że udało się ugasić pożar.

Ja patrzę na to jeszcze inaczej. Ustawa miała sens, ale okazaliśmy się za słabi, by znieść presję przeciw jej wprowadzaniu. W przypadku

Izraela ostra reakcja była sumą rywalizacji politycznej w tym kraju i siły dogmatu, że dyskusja o Holokauście i roli w nim m.in. Polaków nie może mieć żadnych ograniczeń. Dodatkowo Polska zderzyła się z tak mocną presją USA, że zagrożona została nasza współpraca w kwestii bezpieczeństwa wojskowego. Zimny realizm nakazał z ustawy się wycofać.

Nie miłego i żaden powód do świętowania sukcesu. Jedyne, co cenne, to część sformułowań we wspólnej deklaracji, na które można będzie się powoływać w przyszłości. Jednak i tu zalecam umiar w zadowoleniu. Przewaga w interpretacji słów Beniamina Netanjahu będzie raczej po stronie Jerozolimy. Jeśli coś mnie drażni, to wypowiedziane z pewnością siebie opinie, że od początku można było przewidzieć, że ustawa wywoła kryzys. Ustawa była skierowana przeciw zachodnim dziennikarzom używającym określenia „polskie obozy koncentracyjne” i publicystom szafującym bez umiaru oskarżeniami o współudział wszystkich Polaków w Holokauście.

Wrażenie głębokiej kooperacji polsko-izraelskiej z ostatnich 25 lat

spowodowało miraż, że strona izraelska zaakceptuje nowe prawo, niemające bynajmniej – tak jak chce Izrael – zamykać ust ostatnim świadkom Holokaustu. Teraz wszyscy są mądrzy, ale w lutym nawet opozycja kwestionowała w ustawie tylko zapisy o Ukrainie. A w 2005 r. bardzo podobna ustawa przeszła bez kontrowersji.

Polityk jest jak saper. Gdy coś wybuchła mu w rękach, wszyscy uznają, że jest sam sobie winien. PiS wpakował się w kryzys i z niego się wydobył. Tyle. A to, co realnie oznacza obecna ugoda z Izraelem, będziemy w stanie ocenić dopiero za jakiś czas.

Słyszę teraz wezwania, by załagodzony kryzys i wyrwanie ustawie zębów zrównoważyć kampaniami informującymi świat o realiach niemieckiej okupacji w Polsce oraz skali pomocy Żydom. To słuszny kierunek działania – pamiętajmy, że takie kampanie, jak się zdaje, będą trwać dopóty, dopóki rządzi PiS. Z zachowania opozycji totalnej w czasie sporu Warszawy z Jerozolimą wynika, że w razie powrotu do władzy PO – powróci też pedagogika wstydu. © ©

NA WIECZNĄ WACHTĘ

W 1939 r. bronili polskiego Wybrzeża, po wojnie komunistyczne władze uznały ich za wrogów. Dziewięciu marynarzy – ofiary komunistycznego totalitaryzmu – ekshumowano w Warszawie, Gdyni oraz Gdańsku i w piątek pochowano z honorami w Kwaterze Pamięci na cmentarzu Marynarki Wojennej w Gdyni. Mszę św. odprawiono na ORP „Błyskawica”. W Gdyni spoczęli: kadm. Adam Mohuczy, kmdr pilot Kazimierz Kraszewski, kmdr Wacław Krzywiec, kmdr Marian Wojcieszek, kmdr por. Robert Kasperski, kpt. marynarki Adam Dedio, kpt. marynarki Zdzisław Ficek, bosman Edmund Sterna i st. mar. Jerzy Sulatycki. (raw) © ©



FOT. ŁUKASZ DEBAROWICZ/FOTUM

HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA P. LONGERICHA „HITLER. BIOGRAFIA”**

**MYŚLICIE, ŻE WIECIE JUŻ WSZYSTKO O ADOLFIE
HITLERZE? JESTEŚCIE W GRUBYM BŁĘDZIE!**

NOWA BIOGRAFIA WODZA III RZESZY ODSŁANIA NIEZNANE WCZEŚNIEJ SZOKUJĄCE FAKTY
Z ŻYCIA FÜHRERA I PRAWDZIWE MECHANIZMY FUNKCJONOWANIA BRUNATNEGO
IMPERIUM. WYBITNY NIEMIECKI HISTORYK PETER LONGERICH OPARŁ SIĘ NA
NAJNOWSZYCH BADANIACH I NIEDAWNO ODKRYTYCH ŹRÓDŁACH. WRESZCIE UDAŁO SIĘ
ODDZIELIĆ FAKTY OD MITÓW I PRZEDSTAWIĆ PRAWDZIWY OBRAZ HITLERA.
CZŁOWIEKA, KTÓRY ZDEMOŁOWAŁ PÓŁ ŚWIATA I POZOSTAWIŁ
PO SOBIE GRUZY, ZGLISZCZA I OCEAN PRZELANEJ KRWI.
BRAWUROWO NAPISANA KSIĄŻKA!

Piotr Zychowicz
autor Paktu Ribbentrop-Beck i Obłędu '44

99 zł

oszczędność 96 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

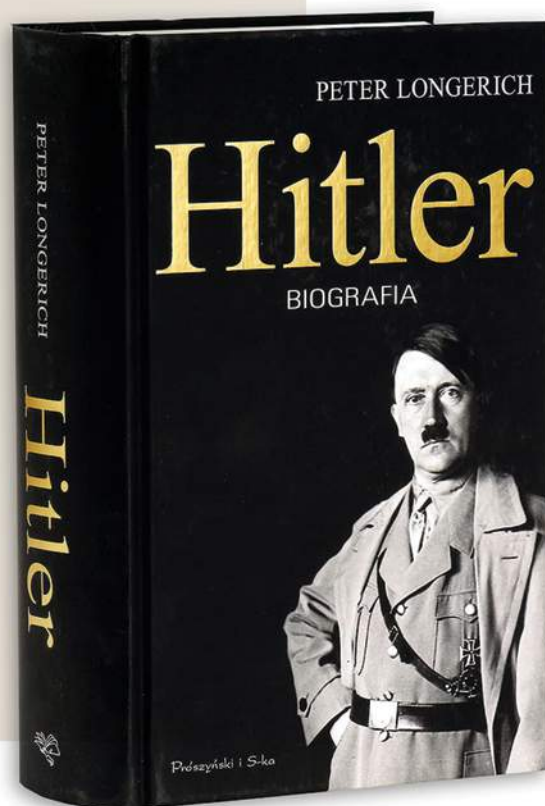
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.



WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 8f1cf709d4



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Prawda” w BBC

Tym razem już nie jakiś lewicowy szmatławiec pokroju „Guardiana”, ale państwowa brytyjska telewizja BBC przystąpiła do propagandowego ataku na Polaków. Pretekstem stały się ubiegłoroczne Targi Polskiej Książki w Slough. Impreza skądinąd bardzo udana, przybyły tłumy czytelników z całych Wysp, tak, że bandziory z Antify, straszące organizatorów

rycznych Lech Kowalski – mogę zaświadczyć, że przez cały dzień nie zdarzyło się tam nic, co by mogło budzić czyjkolwiek niepokój. I sądzę, że BBC, rządzącą hucpę, doskonale to wiedziała, bo materiał pełen obelg, oskarżający polską ambasadę o dofinansowanie (skromne, między nami mówiąc) „faszystowskiej” imprezy, w istocie nawet nie próbował niczego takiego wskazać. Targi zostały nazwane faszystowskimi, bo gościli „faszystów”, a ci są niewątpliwymi „faszystami”, skoro brali udział w „faszystowskich” targach – i tyle.

Jedynym konkretem, mającym wszystkie gromkie obelgi i anatemy uzasadniać, było oskarżenie Marcina Roli, który moderował na targach debatę pisarzy, o znieważanie muzułmanów. Nie wdając się w to – rzekomym znieważaniem miał się jednakowoż dopuścić kiedy i gdzie indziej. Cały zapis debaty jest zresztą w Internecie. I nie ma w niej

nic z przypisanych nam przez BBC paskudztw, chyba że „faszyzmem” było odśpiewanie polskiego hymnu.

Jak większość kłamliwych zagranicznych ataków na Polskę, tak i ten był w istocie dziełem polskiej „targowicy”, odrzuconego przez Polaków lewicowego establishmentu, mszczącego się za to opluwaniem w obcym języku „ciemnego”, niewdzięcznego narodu. Konkretnie osobą, która przyniosła do BBC sowieckie standardy, jest Maya Rostowska, córka byłego wicepremiera i ministra finansów w rządach PO-PSL. Znana z dwóch rzeczy: reklamowania się w sieci fotografią na tle głupiego i wulgarnego napisu oraz tego, że prosto po studiach znalazła ciepłą posadkę w polskim MSZ, zarządzanym przez kolegę Papy od rządu i nagrywanych przez kelnerów biesiad.

Program BBC, będący zapisem jej talentu, dostępny jest w sieci. Zachęcam do obejrzenia. ©

**Są niewątpliwymi „faszystami”,
skoro brali udział
w „faszystowskich” targach**

rozpierduchą, nawet nie odważyły się pojawić.

Ponieważ byłem jednym z gości tych targów – z naszej strony był tam jeszcze Piotr Gociek, poza tym m.in. Tadeusz Płużański, ks. Wąsowicz czy autor książek histo-

CZERWONE I CZARNE



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

Niepamięć buntu miasta

Krew nie płynie już, tylko skrzep, rozstrzelano moje serce w Poznaniu – pisała w przejmującym wierszu, kilka dni po krwawym stłumieniu Czerwca '56, Kazimiera Iłakowiczówna. Dzisiaj, 62 lata po tych wydarzeniach, mogłaby dodać: „A później zabito narodową pamięć”.

Tegoroczne obchody rocznicy wybuchu antykomunistycznego powstania, dwudniowych walk w zbuntowanym Poznaniu, którego mieszkańcy pierwsi powiedzieli „precz z komuną” – inaczej niż te upamiętniające wydarzenia z Radomia czy Wybrzeża – były, a jakby ich nie było. Na chwilę – w mieście,

w którym tylko uważny obserwator mógł zauważyć pojedyncze biało-czerwone flagi – pojawiły się, parafrazując Franciszka Fenikowskiego: „w limuzynach frazesy, limfatyczne, nadęte, blade”, czyli spoceni, zmęczeni urzędnicy i garstka tych, którym chce się pamiętać. Szampowe, dęte banały.

Kilka dni przed obchodami Czerwca '56 jacyś kretyni zniszczyli grób zamordowanego wówczas 13-letniego Romka Strzałkowskiego. Ktoś skomentował, że to efekt braku szacunku dla wszystkiego, co cenne w historii Poznania. Fakt, lewicujący prezydent Jacek Jaśkowiak próbuje pisać ją od nowa, zastępu-

jąc poznańskie wartości tęczowymi paradami. I tak oto w wolnej Polsce spełnia się wydane w 1957 r. polecenie Władysława Gomułki, by spuścić kurtynę milczenia nad robotniczym powstaniem.

A może raczej – spełniłoby się, gdyby nie młodzi ludzie, licealiści, studenci, kibice Lecha Poznań, którzy z dala od urzędniczych oficjałek przychodzą tłumnie pod pomnik, oddając hołd tym, którzy polegali w imię wolności. Wciąż jest nadzieja, że podniosą i poniosą dalej pamięć o Czerwcu '56, tak jak podnieśli narodową pamięć o 11 listopada czy powstaniu warszawskim. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nie zmieniać ordynacji pod swoje potrzeby!

Czy dobry byłby w Polsce system dwupartyjny? Patrząc na to, jak największe siły polityczne wpędzają kraj w bagno skrajnie plemiennych polityki, korzystając z wypłacanych, akumulowanych i inwestowanych subsydiów – nie, nie byłby dobry.

Owszem, kiedyś, w erze skrajnego rozdrobnienia partyjnego, takie rozwiązanie było wskazywane jako ciekawa możliwość. Jeśli jednak dzi-

Sejmie, poza częścią Kukiz'15, nie mają wolnościowcy, narodowcy, klasyczni liberałowie. W gruncie rzeczy nie mają jej też autentyczni konserwatyści.

Tymczasem do Sejmu trafił projekt zmiany ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego autorstwa PiS, który tę sytuację ma jeszcze pogłębić. Gdyby zmiany przeszły, ugrupowania spoza wielkiej dwójki mogły sobie właściwie darować start w wyborach europejskich, a obie polskie delegacje zamieniłyby się już ostatecznie w wygodną synekurę dla zaśluzonych towarzyszy. I to w momencie, gdy Unia naprawdę mocno się zmienia.

Nie znaczy to, że obecna ordynacja do PE jest świetna. Przeciwnie, rację mają ci, którzy mówią, że jest skrajnie zagmatwana. Ale jej proponowana zmiana jest jeszcze gorsza.

Radą na ten problem byłaby zasada, która mogła się przecież znaleźć w zestawie pytań do referendum o konstytucji, przygotowanym przez prezydenta Andrzeja Dudę. Niestety, nie ma jej tam. Chodzi o regułę, iż uchwalana w danej kadencji zmiana ordynacji wyborczej nie może obowiązywać już w najbliższych, lecz dopiero w kolejnych wyborach. To zamknęłoby możliwość układania reguł wyborczych pod swoje bieżące polityczne potrzeby. ©

Gdyby zmiany przeszły, ugrupowania spoza wielkiej dwójki mogły sobie właściwie darować start w wyborach europejskich

siaj spojrzymy na oba główne ugrupowania, zobaczymy, jak daleko im do wskazywanych wówczas jako wzór partii amerykańskich, mieszczących w swoich namiotach wielkie spektrum poglądów. Tu jest wręcz przeciwnie: nawet jeśli ktoś przychodzi z własnymi opiniami, musi je szybko schować do kieszeni, a w sprawach zasadniczych bezwzględnie podporządkować się machinie partyjnej. W rezultacie – a także wskutek ordynacji wyborczej i systemu finansowania partii – swojej reprezentacji w dzisiejszym



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Schadenfreude

Jeśli ktoś zamiast piłki woli politykę, może się cieszyć. „Między Tweetami” powoli z torów piłkarskich będzie wracało na właściwą ścieżkę. Chociaż jeszcze nie dzisiaj. Teraz czas na darcie szat po meczu Polska – Kolumbia. Zanim zaczęło się to smutne widowisko, byli jeszcze tacy, którzy wierzyli. „Robię symulację tabeli” – napisał Wojciech Mucha, zastanawiając się, w jakim wariantcie będziemy w stanie wyjść z grupy.

„My już wczoraj z Michałem Adamczykiem nad tym siedzieliśmy :)” Rozpisywanie wariantów i takie tam :) – odpowiedział mu z Rosji Marcin Tulicki. „Bardzo dziwnie wymawiasz słowo »wódka«” – odparł Mucha. Akurat ta była, jak znalazł, po 90 minutach, zakończonych upokarzającym 0:3. A teraz oddajmy głos łozę komentatorskiej.

„Cholera!!!” – Leszek Miller. „Przynajmniej nie samobój” – Witold Głowacki. „Powiem więcej – mecz o pietruszkę z Japonią też przegram...” – Łukasz Zboralski. „Żona przełączyła na TVP Kultura” – prof. Stanisław Żerko. „Nic nie napiszę” – napisał Igor Janke.

Gdy pierwsze emocje opadły, ze swoich pieczar zaczęły wyłazić trolle. „Polska – pierwsza europejska ekipa, która odpada, żenada. Może jednak nie pasujemy do UE, co by potwierdzało genialną intuicję Prezesa. Niestety nasi kibole dymią w Brukseli” – odparł Janusz Lewandowski, europarlamentarzysta PO.

W równie wesołej atmosferze innemu tuzowi Platformy upłynął ostatni mecz w grupie wschodniego sąsiada. „Urugwaj 3, Rosja 0. :)” Przełknijcie to Karnowsky, wPolityce, Macierewicz i inne PiSorusy!” – napisał (jakby po kilku głębszych „rozpisowywania wariantów grupy”) Jan Vincent-Rostowski.

Co to jednak za mistrzostwa bez niemieckiego gola w ostatniej minucie? „Centrum Warszawy. Syci i zadowoleni POLACY, z zaciśniętymi pięściami, kibicują Niemcom. W Warszawie, gdzie kilka metrów dalej Niemcy mordowali rannych powstańców. Ja wiem, że to inne czasy, że turniej, piłka i emocje. Tego jednak zrozumieć nie mogę. Nie oceniam. Stwierdzam...” – gdybał Wojciech Biedroń z „Sieci”. Można byłoby poszerzyć tę refleksję o winy wybaczone Szwedom po potopie, ale z drugiej strony swój ostatni mecz Niemcy przegrali. Tak że po co się spierać, skoro los potrafił się do nas jednak uśmiechnąć? ©

KWIATY DLA TEJ PANI

Magda Gessler lubiła podkreślać to, jaki ma świetny kontakt ze swoimi fanami, dzięki temu, że sama prowadzi swoje konta w mediach społecznościowych. Samodzielnie odpisywała na komentarze, wiadomości i powtarzała, że wygrywa swoją szczerością oraz bezpośredniością. Teraz ma się to jednak zmienić. Media donoszą, że asystentko-menedżerka gwiazdy – Ola Skwarek – chce, by Gessler nieco zmniejszyła swoją aktywność w Internecie. Ponoć teraz większość jej wpisów przechodzi przez filtr asystentko-menedżerki, która je ugrzecznia. Przez to są mdłe i nijakie.

– Magda pozostaje pod wielkim wpływem Oli i słucha jej się, gdy chodzi o sprawę współpracy z mediami czy działalność w sieci. Skwarek blokuje Magdę, myśląc, że to przyniesie profity w postaci reklam produktów ekskluzywnych, takich jak perfumy czy biżuteria, a nie kolejnych tabletek na wzdęcia. Można powiedzieć, że asystentka przejęła nad nią kontrolę – zdradza źródło portalu Vogue Poland. Menedżerka nie tylko ogranicza publiczne wypowiedzi Magdy Gessler, lecz także podobno blokuje jej udział w kilku programach telewizyjnych. Trzeba jej za to wielki bukiet kwiatów wysłać! Niech ogranicza i blokuje jak najdłużej!

PROBLEMY PIERWSZEGO ŚWIATA

Doda i jej nowy mąż chcą kupić dom. Podobno nowy mąż nie chce wprowadzić się do apartamentu Dody, w którym ta mieszkała ze swoimi poprzednimi partnerami. Dlatego para chce mieć własne gniazdko. I znalazła nawet odpowiednią willę w odpowiedniej lokalizacji w Konstancinie pod Warszawą. Pojawił się jednak pewien nieprzewidywany problem. Otóż dom, który wypatrzyła sobie para, znajduje się niebezpiecznie blisko posiadłości, którą zamieszkuje Agnieszka Szulim (teraz Woźniak-Starak), z którą łączą Dodę raczej wrogie relacje. Obie panie się szczerze nie znoszą, a kulminacja ich wzajemnej niechęci miała miejsce cztery lata temu w toalecie klubu „Kultura” w Chorzowie. Potem była sprawa w sądzie, wyrok skazujący Dodę za pobicie, uchylenie wyroku przez sąd apelacyjny i ostateczne umorzenie sprawy. W tej sytuacji trudno się dziwić, że Doda nie bardzo chce zostać sąsiadką Agnieszki. Z drugiej strony

dom jej się bardzo podoba. – Doda nie wyobraża sobie, że mogłaby spotykać ją w okolicy, ale ten dom naprawdę bardzo jej się podoba.

Nie wie, co robić. Na razie zwodzi agenta nieruchomości i nie daje mu

ostatecznej odpowiedzi – ujawnia w „Fakcie” znajomy artystki. Biednemu zawsze wiatr w oczy!

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

Celebrytka Agnieszka Popielewicz, od trzech lat żona piosenkarza Grzegorza Hyżego, udzieliła wywiadu magazynowi „Flesz”.

I opowiada tam ciekawe rzeczy o ich wspólnym życiu. Między innymi o tym, jak muszą godzić swoje niełatwe charaktery. – Grzesiek jest artystą i nie jest łatwy w obyciu. Ja jestem niezależną jedynaczką, która mocno stawia na swoim. I jeśli mi na czymś zależy, potrafię wierceć dziurę w brzuchu. Całe szczęście nie rywalizujemy ze sobą. Grzesiek ma we mnie oddanego kibica i fana, który spamuje wszystkich jego sukcesami. Mój mąż jest dla mnie oparciem, cieszy się z moich sukcesów i kibicuje nowym projektom – wyznaje Agnieszka. – Wiadomo, że czasem na siebie krzyknemy, wyładujemy emocje. Nie mamy cichych dni, choć Grzesiek chyba czasem marzy, żebym pomilczała – dodaje. Popieramy Grzeska. Też uważamy, że Agnieszka powinna czasem pomilczeć. A właściwie to nie czasem, ale jak najczęściej. Zawsze?

PRESJA NIE ZAWSZE MA SENS

Aktorka Klaudia Halejcio poinformowała świat, że ma nowego chłopaka i jest zakochana. Była z nim już na wakacjach w Hiszpanii, a ostatnio para zamieszkała razem. – Myślę, że to jest odpowiedni mężczyzna. Jest moim partnerem, przyjacielem, potrafi mnie rozbawić i to z nim spędza się czas najlepiej na świecie – rozpląta się nad nowym partnerem Klaudia. I snuje plany. Ostatnio wyznała na przykład, że jest już gotowa na ślub. Niestety jej wyznanie na łamach kolorowych mediów nie przyspieszyło oświadczyć i celebrytka nadal z niecierpliwością oczekuje na pierścionek. Tymczasem czas leci, a Halejcio coraz intensywniej myśli już nie tylko o ślubie, lecz także o dziecku. – Gdy przyjeżdżam do domu, mama i tata ciągle zadają mi pytanie, kiedy zajdę w ciążę – przyznaje aktorka. – Ja już jestem gotowa na dziecko – deklaruje. Może ten jej chłopak tabloidów nie czyta i nie wie, że Halejcio taka już zniercierpliwiona! A może właśnie czyta i dlatego niespieszno mu do oświadczyć. Co byłoby w sumie zrozumiałe. ©



FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

FOT. PAWEŁ GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, dopiero odetchnęliśmy głębiej. Zarówno nas, jak i setki innych intelektualistów w tym kraju uspokoiła porażka reprezentacji z Kolumbią, co oznacza, iż nie ma ryzyka, iż ten kraj zostanie piłkarskim mistrzem świata.

Sami wiecie, co by było. Polacy nie potrafili się cieszyć odpowiedzialnie. Czyli tak, żeby inni tego nie widzieli. To jest taka radość tolerancyjna, która się nie narzuca innym. Tymczasem Polacy cieszą się tak, że wszyscy muszą być tego świadkami i nie da się tego przegapić. Dlatego jesteście wdzięczni piłkarzom, iż oszczędzili nam tego losu i nie będziemy musieli być świadkami ogólnonarodowej ekstazy, która doprowadzi do wybuchu polskiego nacjonalizmu i fashysmu.

W ogóle to porażkę reprezentacji tego kraju najtrafniej podsumował

na Twitterze pewien fiński politolog. Jego zdaniem stało się tak, iż w polskiej drużynie zagrali sami biali mężczyźni. Boleśnie więc odbił się na tym kraju brak różnorodności. Trochę dziwne zresztą, iż kraj, który liczy 40 mln obywateli, nie mógł rozpiścić castingu dla przedstawicieli mniejszości etnicznych i narodowych, a także, of kors, seksualnych, iżby ubogacić piłkarską drużynę kulturowo.

Co prawda kiedyś ten kraj reprezentował pigmentalnie uposażony Olisadebe z Nigerii, ale on się nie liczy, iż został wybrany ze względu na umiejętności, a nie afroafrykańskie pochodzenie. Miejmy więc nadzieję, iż w kolejnych meczach w reprezentacji tego kraju pojawią się osoby o odmiennym pigmentcie skórnym niż biała większość.

Nam jest smutno, iż z mundialu odpadają Niemcy. Nowoczesna reprezentacja, w której

znajdują miejsce i piłkarze pigmentalnie uposażeni, i osobo-Turkowie, i postępowi, nowocześni wyborcy Angeli Merkel.

Warto zauważyć, iż Niemcy mieli stwarzane problemy od samego początku mistrzostw. Na przykład jeden z ich meczów sędziował Polak. Kto w ogóle do tego dopuścił, znając pełną nienawiść postawę Polaków do Niemców i tendencję do zrzucania na nich swoich win? Of kors w polskich domach jedno wielkie święto z powodu tego, iż „somsiad odpadł”. Nawet u nas w korpo Nowy z Tarnowa chodził jakby weselszy i co chwilę mamrotał pod nosem coś pod adresem Niemiec, ale wtedy kolega-gej mu przypominał, które miejsce w grupie zajęli Polacy, na co Nowy markotniał, ale w końcu odpowiedział: „No ale zagraliśmy na poziomie mistrzów świata”, po czym włączył sobie na YouTube Wembley '73. © ©

REKLAMA



NOWA książka Anny Herbich

Wołyńskie dziewczęta były jeszcze dziećmi, gdy rozpoczął się pogrom. Przetrwały rzeź. Teraz opowiadają historię zamordowanych rodziców i dziadków.

Bestsellerowa autorka poruszającej serii



Dobrej zmianie gratulujemy wielkiego sukcesu, którym była nowelizacja nowelizacji ustawy o IPN. To największy sukces w dziejach nowelizowania nowelizacji od czasu poprzedniego wielkiego sukcesu, jakim była sama nowelizacja.

Uwaga! Wiadomość dla tych, którzy uważają, że wszystko to stało się tak za bezdurno. Nie do końca. Jak wiadomo, „kupił nie kupił, pohandlować można”. Za wiele nie możemy powiedzieć. Tylko tyle że pohandlowaliśmy. I nie jesteśmy stratni. Nie, nie mamy na myśli tego, co można było zobaczyć w telewizji.

To, co najpiękniejsze. Napiętych terminów z dnia nowelizowania nowelizacji ustawy o IPN udało się dotrzymać dzięki jednej osobie. To Robert Winnicki, którego blokada mównicy w Sejmie sprawiła, że nie doszło do zadawania pytań i debata zakończyła się godzinę wcześniej. Dzięki temu dobra zmiana odzyskała czas zmarnowany w Senacie, który z kolei przewalił harmonogram o godzinę i osiem minut. W efekcie prezydent Andrzej Sebastian podpisał ustawę na czas i mogła dojść do skutku konferencja Netanjahu i Morawieckiego. Winnicki architektem porozumienia z Izraelem. Cóż, to kto tu jest na czym pasku?

Tuż za rogiem czeka kolejny sukces. Chodzi o planowane przez premiera Mateusza szybkie znówelizowanie zarządu Polskiej Fundacji Narodowej, która ma poprowadzić wielką kampanię antydefamacyjną. Będzie to największy sukces nowelizowania zarządu od czasu nieznówelizowania go wtedy, kiedy było trzeba.

Zdziwionych tempem prac nad nowelizacją nowelizacji oraz wrzuceniem ekstratematu zmian w ordynacji do europarlamentu informujemy, że Kaczor Dyktator wydał zalecenie skrócenia wszelkich możliwych frontów przed wakacyjną przerwą. Jesienią Sejm będzie się zajmował głównie poprawianiem przecinków. No, chyba że pojawi się nowy fajny społeczny rządowy program. Głupia sprawa. Tak wyszło, że wiemy, że się pojawi.

Ciekawa plotka dotarła do nas z okolic najbardziej najważniejszej ulicy w Polsce. To znaczy

2 mobbing na kongresie
Kobiet to gdzie
mobbinga? czy jak?



Nowogrodzkiej. Chodzi o referendum prezydenta Andrzeja Sebastiana, a właściwie o to, co się stanie po tym, jak już jego wnioski zostaną uwalony w Senacie przez PiS. Otóż wtedy natychmiast większość sejmowa wystąpi z własnym wnioskiem o referendum. I będzie ono nawet podobne do prezydenckiego, tyle że przeprowadzone wtedy, kiedy to będzie wygodne dla PiS, a nie dla prezydenta Andrzeja Sebastiana.

Wświetle tych doniesień sensu nabierają sugestie płynące od niedawna z okolic Zjednoczonej Prawicy, że fajnie byłoby przeprowadzić referendum z wyborami do europarlamentu. Najfajniej oczywiście byłoby zrobić to 3 maja, w prezencje dla Andrzeja Sebastiana, ale naród wyjeżdża wtedy na majówkę.

Powyższy scenariusz ma jeszcze jedną zaletę. Byłaby to ciekawa możliwość rewanżu na prezydencie Andrzeju

Sebastianie, który zawetował PiS część reformy sądownictwa i potem sam wyszykował swoją, prawie taką samą. No więc odebrane prezydentowi referendum też byłoby prawie takie samo. A jednak inne, bo „prawie” robi różnicę. Weto niech się wetem odciska.

Informacja dodatkowa: rządowe wiewiórki mówią w sprawie referendum jeszcze w tym roku to samo co wiewiórki z Nowogrodzkiej. Układa się nam to w ludową przysłówkę: „Umarło, umarło i leży na desce/ trzeba to w Senacie przegłosować jesce”.

Tymczasem w opozycji. W Nowoczesnej Kropce trwa analizowanie sondaży w celu wykrycia przyczyn spadku poniżej progu wyborczego do Sejmu. Analizy mówią, że przyczyny są dwie: koalicja z PeŁo oraz odejście liberalno-społecznego Ryśka Petru. Jesteśmy w szoku. Dotąd odchodzenie Ryśka skądkolwiek zdecydowanie poprawiało sytuację opuszczanego przezeń miejsca.

Ohydna plotka krąży po mieście na temat sztabu Rafcia Trzaskowskiego. To znaczy przyszłego sztabu, bo oficjalnie jeszcze go nie ma. Chodzi o to, jak bardzo chce w nim być i poświęcić się bez reszty Kinga Gajewska. A dokładnie chodzi o serce Kingi, które ma podobno bić w rytm sylab „Trzas-kow-ski”. Co – biorąc pod uwagę brukselską reputację Rafcia, znanego w europarlamencie jako Mr. Heartbreaker – jest całkiem prawdopodobne.

WGdańsku Eine Totalopposition przeprowadziła sondaż, żeby sprawdzić, jak wyglądają szanse Jarka Wałęsy w starciu z renegatem Pawłem Adamowiczem. Smuteczek. Okazało się, że Adamowicz melduje się w wyścigu na trzecim miejscu – nie tylko za młodym Wałęsą, lecz także za młodym Płazyńskim wystawionym przez PiS.

Niektórzy mogą pytać: „A co z Ewą Lieder?”, która była kandydatką Nowoczesnej Kropki na prezydenta Gdańska jeszcze w czasach przedkoalicyjnych. Ewa nie chciała być wicekandydatem przy młodym Wałęsie, bo marzy o wielkiej polityce. Dostała więc nagrodę pocieszenia – obietnicę dobrego miejsca na listach Koalicji Obywatelskiej w jakichś ważniejszych wyborach.

dwaj
panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W Sejmie za to odwrotnie. Tutaj wszyscy, w odróżnieniu od Ewy Lieder, marzą o odejściu z polityki krajowej do samorządu. Stanowisko prezydenta miasta gwarantuje bowiem, że Kaczor Dyktator albo Grzegorz Ludojad będą mogli delikwentowi nagwizdać, czyli całkiem inaczej niż w parlamencie. Niestety, nieludscy szefowie PeŁo i PiS nie chcą się lekką ręką pozbywać niewolników, więc tonują, a nawet strofują.

Ustawodawca przewidział furtkę dla tych esbeków, którzy przeszli do służb specjalnych III RP

A propos zmian. Fascynuje nas pewna tajemnica. Czy jeżeli ktoś w polskiej polityce ma na imię Jan Krzysztof, to zawsze musi mieć taką dziwną szpakowatą bródkę? Na przykład Jan Krzysztof Ardanowski albo Jan Krzysztof Bielecki. Oczywiście Bielecki już bródki nie ma, ale w czasach, gdy zostawał premierem,

miał. Ardanowski też ma, zostając nowym ministrem rolnictwa. Taki już los Janów Krzysztofów.

Obydwa właściciele szpakowatych bródek kiedyś się spotkali, i to całkiem oficjalnie, w oficjalnym ciele. Otóż w czasach, gdy Bielecki był premierem, Ardanowskiego – jako młodego, obiecującego rolnika – oddelegowano do Krajowej Rady Doradztwa Rolniczego. Niestety, nie udało nam się ustalić, w jakim stopniu obaj byli podobnie uwłosieni.

Mało kto wie jednak, że Ardanowski jest Janem Krzysztofem tylko na papierze. W domu wszyscy mówią na niego Krzysiek, a imienia Jan nie lubi. Oprócz tego nie lubi przerostów w administracji, a tak się składa, że odkrył, iż w ciągu ostatnich 10 lat Ministerstwo Rolnictwa rozrosło się niemal dwukrotnie. Biada wam, urzędasy!

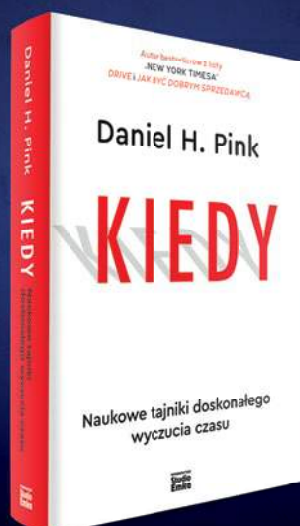
A propos czystek w urzędach. Jedna ze służb specjalnych zdjęła klauzulę tajności z akt pewnego dyplomaty. Wyjątkowo nefajnego, jak wynika z owych papierów. Wydawało się, że facet

padnie jak kawka na lustracji. Niestety, okazało się, że nie da się go ustrzelić, bo ustawodawca przewidział furtkę dla tych esbeków, którzy przeszli do służb specjalnych III RP. Takim nic nie można zrobić, nawet jeśli nakłamią w oświadczeniu lustracyjnym albo w służbach III RP od dawna są na emeryturze. Szkoda. Następne resortowe dziecko, które kontynuowało tradycję przodków, pozostanie bez kary.

Teraz konkrety. 117. Tyle osób z obecnej służby dyplomatycznej zostało zarejestrowanych przez esbecję cywilną i wojskową. To podsumowanie kadr gmachu przy al. Szucha po otwarciu zbioru zastrzeżonego IPN. Gwoli ścisłości, nie wszyscy to kapusie. Są i osoby, które za młodu kolportowały bibułę, więc interesowała się nimi bezpieka. Niestety, można je policzyć na palcach dwóch rąk. Reszta to oficerowie i konfidenci. Owszem, wiedzieliśmy, że SGPiS (dziś SGH) to była kuźnia kadr bezpieki, ale myśleliśmy, że w tej sordomie było trochę więcej sprawiedliwych. Przykro nam, Andrzejowi Halicki i Tomaszowi Siemoniakowi. Większość waszych kumpi ze studiów to zwykli konfidenci. ©©

REKLAMA

WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**

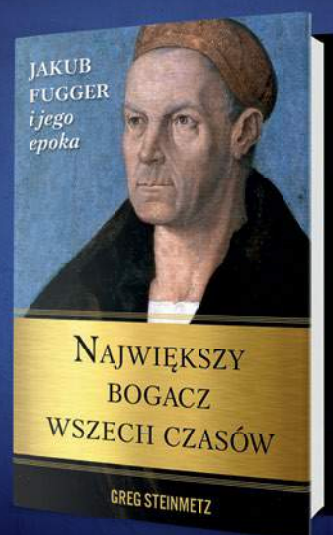


Daniel H. Pink udziela odpowiedzi na pytania dotyczące wycucia czasu. Daje pomocne wskazówki i podsuwa odkrywcze rozwiązania. Solidna porcja nauki poparta rozsądnymi propozycjami działań.

39,90 zł

Jakub Fugger był Rockefellerem epoki Renesansu. Znali go królowie, cesarze i papieże. Ów geniusz kapitalizmu był znacząco obecny w każdym ważnym wydarzeniu swojej epoki.

59,00 zł



Książki dostępne w dobrych księgarniach oraz na stronie www.studioemka.com.pl

www.facebook.com/StudioEMKA



Łukasz Warzecha

Obowiązujący od 2011 r. wymóg procentowych parytetów płci na listach wyborczych (minimum 35 proc. dla kobiet i dla mężczyzn) feministyczne środowiska uznają za jeden ze swoich największych sukcesów. A nie jest to ostatnie słowo feministek

W historii, także polskiej, jest mnóstwo wyjątkowych, silnych kobiet. Ten poczet zaczyna się od Dąbrówki czy też Dobrawy, czeskiej księżniczki, małżonki Mieszka I, matki Bolesława Chrobrego, która miała odegrać istotną rolę w chrystianizacji Polski. Była św. Jadwiga Andegaweńska, żona Władysława Jagiełły, ale wcześniej, przez półtora roku – król Polski (właśnie król, a nie królowa). Była Bona Sforza, żona Zygmunta Starego i matka Zygmunta Augusta. Była Anna Jagiellonka, żona Stefana Batorego, która miała potężny wpływ na elekcję roku 1586 i przyczyniła się do wyboru na polski tron Zygmunta III Wazy. Były niezliczone, a przecież wpływowe fikcyjne bohaterki romantycznych utworów, od Zosi i Telimeny, przez Judytę z „Księdza Marka” do Ellenai z „Anhellego”. Była potężna osobowość – Izabela Czartoryska, wybitna miłośniczka sztuk pięknych. W czasie powstania styczniowego była Emilia Plater. Były silne i wpływowe królowe: Anglii Elżbieta I oraz równie wpływowa protektorka Krzysztofa Kolumba i jego wypraw, hiszpańska królowa Izabela. Bliżej naszych czasów były postacie tak wyraziste jak Evita Perón czy wielki mąż stanu, wybitna premier, Żelazna Dama – Margaret Thatcher.

Jednym słowem – historia roi się od pań wpływowych, wybitnych i mądrych. Pomyśleć, że wszystkie one osiągnęły swoją pozycję i zostawiły ślad w historii, zanim na świecie pojawiły się feministki oraz w Polsce Magdalena Środa, Kazimiera Szczuka, Joanna Mucha i zanim zaczęły wygłaszać tezy o stłamszeniu kobiet, braku równości i konieczności walki z patriarchatem. Jak to możliwe? To przecież nie powinno się wydarzyć! A może św. Jadwiga była jednak mężczyzną?

Femi



dyktatura

Posłanka Joanna Mucha (z lewej) z lubością przerabia nazwy zawodów na te z żeńskimi końcówkami. Obok posłanka Joanna Scheuring-Wielgus, która zasłynęła z przejęzyczenia i skandowania: „Dość dyktatury kobiet!”

FOT. GERAUD/REPORTER

Nawet najszustniejsze idee bywają wypaczane. Wyszczelizowała się w tym lewica, która manipuluje pojęciami, żeby przeprowadzić pranie mózgów. I tak tolerancją nazywa się ustąpienie danej grupie na wszystkich polach, wprowadzenie odpowiadających jej zasad jako obowiązujących wszystkich oraz kar za jakąkolwiek krytykę tychże. Żeby zostać rasistą i ksenofobem, wystarczy wyrazić zaniepokojenie niekontrolowaną imigracją i nie być entuzjastą multi-kulti. Gdy zaś chodzi o feminizm, na warsztat trafiła idea równości, w swojej istocie słuszna, ale przerobiona przez feministki na karykaturę.

Jeśli uznać, że istnieje jakakolwiek ciągłość pomiędzy ruchem sufrażystek a dzisiejszymi feministkami – choć to teza ryzykowna, a sufrażystki z początku XX w., czytając wynurzenia feministek, pukałyby się zapewne w czoło – to widać ją właśnie w idei równouprawnienia. O ile jednak sufrażystki domagały się faktycznie równych praw, czyli przede wszystkim prawa głosu dla kobiet, o tyle feministki domagają się preferencji. I choć prawa kobiet są dzisiaj na Zachodzie gwarantowane pod wieloma względami, to bojowniczkami feminizmu przekonują, że los kobiet jest wciąż straszny i wymaga nadzwyczajnych środków. Jak w teorii komunizmu – w miarę postępu rewolucji walka klas się zaostrza.

Feministkom wszystko kojarzy się z patriachatem. To patriachatek, czyli opresyjna władza mężczyzn, jest winny wszelkim nieszczęściom świata od jego zarania.

Przypomina się „Seksmisja” Juliusza Machulskiego, film absolutnie antyfeministyczny. Gdyby feministki poddawano przymusowej terapii, tak jak bandytów w „Mechanicznej pomarańczy” Kubricka, należałoby im puszczać bez końca właśnie tę komedię, w której oszalałe, sfanatyzowane kobiety, a może nawet kobietony („Liga rządu, Liga radzi, Liga nigdy cię nie zdradzi!”), wymazały z życia mężczyzn i traktują ich jak największe zło („Samiec twój wróg!”), tworząc świat kulawy, okaleczony, okrutny i pozbawiony uczuć. Gdy dziś ogląda się „Seksmisję” i patrzy na wykrzywioną z nienawiści twarz córki Maksa, granego przez Jerzego Stuhra, który zamierza przeprowadzić „naturalizację” tatusia (czyli przerobić go na kobietę), przed oczami staje fizjonomia Magdaleny Środy czy Kazimiery Szczuki.

Antyfeministyczny wydźwięk „Seksmisji” nie umknął uwadze jednej z zawodowych feministek, Pauliny Młynarskiej. W ubiegłym roku zdiagnozowała ona: „Ten film [»Seksmisja«] zaszczepił bardzo dużo nieufności do kobiecości. Uważam, że za ten kawałek dotyczący spraw związanych z traktowaniem kobiet Machulski



czynnych i ich dominacji. Gdyby nie to, że zdecydowana większość feministycznej armii jest zarazem wściekle antyklerykalna i ateistyczna, dostalibyśmy z pewnością zrewidowaną wersję Księgi Rodzaju, w której to nie Ewa namawiała Adama do zjedzenia jabłka z drzewa wiadomości dobrego i złego, lecz Adam Ewę.

Patriachatek miał nie tylko wywoływać wojny, lecz także inne zło tego świata. Na przykład kapitalizm. Oto fragment relacji ze spotkania w Akademii Feministycznej „Patriachatek i kapitalizm: kto nam to zrobił?” ze stycznia 2017 r.: „Już na samym początku spotkania prowadzące spytały publiczność, z czym kojarzy im się patriachatek. Po początkowej ciszy i pojedynczych wypowiedziach, takich jak: podporządkowanie – porządek społeczny, władza – relacja władzy, już śmieiej zaczęły padać skojarzenia: wyzysk, kapitał, nierówność, agresja, dominacja, maskulinizm, własność, władza, ojcostwo. Nietrudno zauważyć, że patriachatek kojarzy się głównie z opresją, ale uczestnicy i uczestniczki spotkania nie zapomnieli/mniały także o jego związkach z kapitalizmem”. Zwróćmy przy tym uwagę na politpoprawną formę czasownika „zapominać”. Takie językowe dziwotwory to jedna z feministycznych obsesji.

Patriachatek miał nie tylko wywoływać wojny, lecz także inne zło tego świata. Na przykład kapitalizm

Gdy chodzi o równouprawnienie kobiet, Polska nie ma się czego wstydić. Polskie kobiety dostały prawo do głosowania natychmiast po tym, gdy Polska odzyskała niepodległość, mogły zatem głosować już w styczniowych wyborach roku 1919. Miały też bierne prawa wyborcze, z których skorzystały. W Sejmie znalazło się osiem posłanek. Nie zostały wybrane dlatego, że ustanowiono jakiś parytet. Tymczasem w postępowej Francji kobiety mogły głosować dopiero od końca II wojny światowej, zaś w Księstwie Liechtensteinu, w centrum Europy, zyskały to prawo dopiero w roku 1984.

PRZEPROSIĆ ZA „SEKSMISJĘ”

Feministki są jak Jasiu w znanym dowcipie, którego finał brzmi: „A bo, proszę pani, mnie się wszystko z dupą kojarzy”.

mógłby przeprosić”. Dla Machulskiego ten akurat film może być dzisiaj faktycznie problemem, wzięwszy pod uwagę, w jakich klimatach towarzysko-politycznych reżyser się obraca. Jednak publicznej samokrytyki jeszcze nie złożył.

W „Seksmisji” jest scena, gdy dwaj bohaterowie stają przed zgromadzeniem kobiet i próbują wykazywać, że mężczyźni jednak się w historii przydali, wymieniając sławne nazwiska. Jednak wszystkie ich argumenty są zbijane przez wściekle baby.

- „– No, choćby Kopernik!
- To kłamstwo, Kopernik była kobietą!
- No to może Einstein?
- Einstein też była kobietą!”

I tak jak oszalałe kobiety z „Seksmisji” każde historyczne dokonanie przypisywały wyłącznie płci pięknej, tak dzisiejsze feministki przyczynę całego zła widzą w mę-

PARANOICZNY SPISEK

Cóż zatem robić, aby patriachatek obalić? Nie wystarczy zwykłe wyrównanie praw wyborczych, bo okazuje się, że kobiet na listach jest zbyt mało. Ponieważ jednak feministki widzą wszędzie patriachalny spisek, nie są w stanie uznać, że może to mieć swoje naturalne przyczyny: kobiety są mniej zainteresowane polityką, a w każdym razie czynną w niej działalnością, wolą się poświęcić domowi albo robieniu kariery gdzie indziej, mają w życiu inne priorytety. Pod tym względem feministki są przykładem najbardziej paranoicznej teorii spiskowej. Jak wiadomo, paranoik nie przyjmuje racjonalnych wyjaśnień rzeczy, które mu się przydarzają. Jeśli nie



Magdalena Środa jako twarz Kongresu Kobiet udowadniała ostatnio, że kobiety są niesłusznymi ofiarami męskich rządów, ale już ochroniarki Kongresu są ofiarami koniecznymi FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

może ich już w żaden sposób zbić, to przyjuje po prostu, że ten, kto mu je serwuje, jest również częścią wielkiego spisku. Podobnie jest z feministkami. Dlaczego kobiety nie chcą same startować w wyborach? Bo uciska jest patriarchat. A jeśli nawet same twierdzą, że nic takiego nie ma miejsca i nie są tym po prostu zainteresowane, to tylko dlatego, że patriarchat zrobił im pranie mózgu.

Stąd feministyczny wniosek, że udział kobiet w wyborach w odpowiedniej liczbie trzeba wymusić. Mają to zapewniły parytety na listach.

To jednak nie jest ostatnie słowo dzielnych bojowniczek. Po listach wyborczych przychodzi czas na gospodarkę. Zdaniem postępowców, kobiet w radach nadzorczych firm i zarządach spółek jest zbyt mało, a ich większy udział w tychże ma wpływać pozytywnie na wyniki. Ta teza zawiera w sobie domniemanie, że przedsiębiorcy – zapewne ze względu na swój udział w patriarchalnym spisku – wolą mieć gorsze wyniki finansowe, niż zatrudniać kobiety na kierowniczych stanowiskach. W paranoicznej wizji feministek to całkowicie logiczne i spójne.

Za sprawę parytetów w firmach zabrał się kilka lat temu niezawodny Parlament Europejski, który przyjął projekt dyrektywy, zgodnie z którym spółki giełdowe miały mieć obowiązek podejmowania „odpowiednich starań na rzecz zatrudnienia kobiet” (co to są „odpowiednie starania” – nie wiadomo). Niestety, patriarchalny spiszek ujawnił się również w PE, ponieważ europosłowie złagodźli początkowy projekt, przewidujący bezwzględne kary finansowe za niewypełnienie zaleceń. Regulacja upadła na dalszym etapie.

Komisja Europejska nie zamierza jednak odpuszczać. Na tapecie jest wciąż wymóg preferowania kobiet w naborze do rad nadzorczych tych firm, w których minimum 60 proc. kadry kierowniczej stanowią mężczyźni. To oczywiście oznacza dyskryminację mężczyzn, ale

tym wstrętnym samcom się należy! Do czego w praktyce prowadzą takie regulacje, dowiódł przypadek norweski. Tam w 2006 r. wprowadzono wymóg 40-procentowego progu kobiet w radach nadzorczych spółek giełdowych. Firmy zaczęły więc na gwałt szukać kandydatek, żeby uniknąć kar. A że kobiet z odpowiednimi kwalifikacjami na rynku nie było wystarczająco wiele, przyjmowano te bez kwalifikacji, co oczywiście natychmiast odbijało się negatywnie na wynikach przedsiębiorstw. Cóż jednak – postęp musi kosztować.

Ten sam schemat funkcjonuje w polityce. Obowiązkowa kwota kobiet ma tylko taki skutek, że partie szukają kogokolwiek, żeby tylko wypełnić wymóg – w przeciwnym wypadku lista nie zostanie zarejestrowana.

Znaczna część kobiet, które znalazły się w Sejmie z ramienia partii najgoręcej popierających feministyczne postulaty, stanowi żywy argument za tym, aby nie iść dalej tą drogą. Pani poseł Scheuring-Wielgus pozostanie w naszej wdzięcznej pamięci jako autorka jakże słusznego hasła: „Dość dyktatury kobiet!”, bohaterka obrończyni niepełnosprawnych oraz prawa do abortowania tychże.

Joanna Mucha, której gwiazda dziś mocno przybladła, poza zatrudnieniem własnego fryzjera jako wicedyrektora Centralnego Ośrodka Sportu, gdy była ministrem sportu, słynie z namiętnego przerabiania nazw zawodów i zajęć na formy żeńskie. Jeszcze gdy zasiadała w rządzie, bywała tytułowana w najbardziej postępowych mediach „ministrą”.

WOJNA NA GÓRZE

Jednak zwycięstwo feministycznej idei wymaga ofiar, również wśród kobiet. Po spotkaniu Kongresu Kobiet w połowie czerwca w Łodzi pojawiły się informacje, że w czasie, gdy obradowały panie najbardziej postępowe z postępowych, pracującym przy imprezie ochroniarkom

nie pozwalano usiąść, zjeść czegokolwiek czy nawet pójść do toalety.

Zaczął się coś w rodzaju wojny na radykalizm pomiędzy odłamami armii feministycznej rewolucji. Tłuste kocice z Kongresu Kobiet zaczęły obrywać od radykalnych bojowniczek feministycznych, m.in. z portalu Strajk.eu czy „Codziennika Feministycznego”. Ten ostatni cytował jedną z pracownic ochrony: „Organizatorka przekazała nam, że mamy stać na baczność i nie ruszać się z miejsca, nie wyrażać zgody na przerwę na jedzenie czy picie lub skorzystanie z toalety. Jeśli zrobiliśmy choćby jeden krok, organizatorka po prostu wrzeszczała na nas, mówiąc »głaby«, »idiotki«. W ten sam pogardliwy sposób odnosiła się również do przebywających podczas Kongresu wystawców, do zespołu muzycznego i teatralnego. Wszyscy czuliśmy się tam jak niewolnicy”.

„Dla naszego Wodza kobiety są bez znaczenia, dla jego posłusznych akolitów też. Kobiety są szczególnymi ofiarami tego typu rządów, choć zapewne wiele z nich jest wdzięcznych, że mężczyźni wybrali je jako służebnice w sprawach męskiej polityki” – perorowała rok temu w jednym z wywiadów twarz Kongresu Kobiet, Magdalena Środa. Kobiety są zatem niesłusznymi ofiarami męskich rządów, ale ochroniarki z Kongresu są ofiarami koniecznymi.

Środa dzielnie dawała odpór oskarżeniom o nieczułość feministek na los ochroniarek, pisząc w „Gazecie Wyborczej”: „[...] ja nie usiadłam ani przez chwilę, tylko biegałam. Dwa dni! Tak samo wiele innych organizatorek, stały również wolontariuszki, by pokazywać odpowiednie sale i pomagać osobom zagubionym w tym wielkim gmachu. [...] Prowadząca Kongres Dorota Warakomska też nie siedziała, tylko biegała po scenie”. Pochylmy na moment głowę w zadumie nad trudem, jaki jest udziałem dzielnych bojowniczek ze straszonym patriarchatem. Proszę tylko pomyśleć: dwa dni biegania bez chwili odpoczynku!

Mam koleżanki, które łączą wychowywanie kilkorga dzieci i prowadzenie domu z pracą w mediach. Pozostają w niemym podziwieniu wobec ich umiejętności. Nigdy nie domagały się żadnych kwot, preferencji ani specjalnych praw, a i o złowrogim patriarchacie jakoś nie mówiły. W Kongresie Kobiet udziału nie biorą. Mam głębokie przeświadczenie, że Środa, Szczuka, Scheuring-Wielgus, Mucha i inne postaci jak z „Seksmissji” mogłyby im buty czyścić.



Piotr Semka

Mimo ugody na ostatnim szczycie UE stosunek do nielegalnej imigracji pozostaje najsilniejszym czynnikiem dzielącym Europę

Podczas ubiegłotygodniowego spotkania liderów UE bawarska CSU otrzymała ogólnikowe obietnice wprowadzenia mechanizmów zapobiegania krążeniu po Europie „turyistów azylowych” i kryzys rządowy w RFN został chwilowo zażegnany. Z kolei Grupa Wyszehradzka nie musi się już obawiać przymusowej relokacji imigrantów. Państwa V4, na czele z Polską, odniosły wielki sukces, bo po trzech latach zdołały przeformować pogląd, że relokacje to absurd. Można tylko się zadumać, że tak podstawowa rzecz wymagała aż trzech lat ciężkiej walki. Natomiast Włochy zjednano wizją tworzenia centrów dla uchodźców pod wspólnym zarządem unijnym i zapowiedzią odsyłania uchodźców z morza do obozów w krajach północnej Afryki. Ale nikt nie wie, jak konkretnie przebiegać będzie realizacja tych wszystkich postanowień szczytu UE.

Swoją szansę w polaryzacji kontynentu w kwestii migracji dostrzegła lewica, której liderem stają się prezydent Emmanuel Macron i socjalistyczny premier Hiszpanii Pedro Sánchez. Po drugiej stronie w sporze o sposób wyjścia z kryzysu imigracyjnego stoją Węgry, Austria, Polska, Czechy i Słowacja. Osobną, acz zbliżoną pozycję zajmują Włochy, które z jednej strony nie mogą rozstać się z ideą rozdziału uchodźców między państwa UE, a z drugiej w odważnym stosunku do Brukseli zbliżają się do polityki państw „niepokornych”.

TEMAT NIEWYKREOWANY

Ta polaryzacja w najbardziej kłopotliwej sytuacji stawia duże, stare, formalnie prawicowe partie, takie jak CDU. A lewica dolewa jeszcze oliwy do ognia.

To właśnie obóz liberalny i lewica konsekwentnie wpływają na nieustępliwość Komisji Europejskiej wobec Polski w sporze o stan naszej praworządności. I zachęcają opozycję nad Wisłą do nieprzejednanej postawy w wojnie polsko-polskiej. Tacy politycy jak Guy



Verhofstadt liczą, że pomoże to zdobyć ich obozowi dominację nad przyszłym Parlamentem Europejskim.

Dla liberalnej lewicy sprawa jest prosta – obóz populistów postanowił za pomocą kłamstw i budowania atmosfery „strachu przed obcym” zdobyć władzę na nucie antyimigranckiej. Prezydent Emmanuel Macron mówi o „nacjonalistycznej i antyimigranckiej truciznie”, która ogarnia jak zaraza Europę i której musi przeciwstawić się obóz demokracji. Jak wiadomo, w walce propagandowej przewagę zdobywa ten, kto narzuci język debaty. Lewica zdobyła punkty w tej grze, tworząc negatywną etykietkę „populizm” dla nowych sił po prawej stronie. Tyle że nie jest to żaden wyróżnik – typowymi populistami bywają takie partie lewicy jak niemiecka SPD czy prezydent Macron szczujący na pracowników delegowanych z Europy Wschodniej.

Jeśli szukać określenia dla nowych ruchów typu włoska Lega czy AfD, to znacznie trafniejsze jest określenie „partie tożsamościowe” – gdyż ruchy te powstały wskutek sprzeciwu wobec planów megalopolaństwa i rosnącej wszechwładzy Brukseli. I tak jak w komunizmie realnym lansowano utopię rynku socjalistyczne-

go, tak w Europie lansowana jest utopia społeczna wiary w zdolność do asymilacji w przewidywalnym czasie ogromnych mas uchodźców, zwłaszcza muzułmańskich.

„Willkommenskultur” to niejedyna utopia lewicy generacji 1968 – przykładowo: rewolucja obyczajowa przyczyniła się do osłabienia rodzin i pośrednio przyniosła katastrofę demograficzną. Jednak te zmiany nie przełożyły się tak mocno na wybory polityczne mieszkańców Unii – kryzys tradycyjnej moralności nie powodował poczucia bezpośredniego zagrożenia. Natomiast efekty masowej imigracji – zamachy terrorystyczne, incydenty wokół dzikich obozowisk, takich jak w Calais, czy konflikty w szkołach z dziećmi imigranckich rodzin – oddziałują na tyle mocno na polityczne myślenie, że spowodowały w demokratycznych wyborach zwycięstwa partii zapowiadających kontrakcję wobec groźnych zjawisk, a nie tylko wzywanie do większej tolerancji.

Retoryka lewicy, że populisci wyolbrzymiają zagrożenia, jest mało skuteczna, bo ludzie sami widzą, jak szybko na niekorzyść zmieniają się ich kraje po przybyciu większych grup imigrantów. Ostrość konfliktu wynika też ze skłonności lewicy, by



Państwa V4, na czele z Polską, odniosły wielki sukces, bo po trzech latach zdołały przeforsować pogląd, że relokacje to absurd. FOT. HIERRY MONASSE/REPORTER

o Europe

kryzys imigracyjny przenieść na wygodne dla siebie pole walki. Spolaryzować, jak się da, konflikt, osłabić przy okazji umiarkowane centrum i rzucić hasło, by to wokół niego skupili się wszyscy ludzie zatroskani o demokrację. Tak wykorzystywała komunizująca lewica łęki przed Hitlerem w latach 30., tak po II wojnie światowej PPR przedstawiała się jako jedyny obrońca demokracji przeciw faszystom od Mikołajczyka i tak walcząc z Le Penem w latach 70. i 80., francuscy socjaliści wyniszczyli gaullizm.

Teraz role tych złych zarezerwowano dla tych, którzy nie chcą zamykać oczu na skutki dotychczasowej polityki faktycznej tolerancji dla nielegalnej imigracji.

LEKCJA NIEMIECKA

O tym, jak problem napływu miliona uchodźców, w dużej mierze z krajów islamskich, wywołuje szybki i polaryzujący kryzys, przekonać się można było na przykładzie konfliktu w rządzie Angeli Merkel. Do śpięcia, które zatrzęsło koalicję, wystarczyła zdroworozsądkowa zapowiedź szefa MSW Horsta Seehofera z CSU, że RFN powinna skutecznie zamknąć napływ „turystów azylowych”, czyli osób, które nie

otrzymawszy azylu w jednym kraju, szukają szczęścia w kolejnych krajach UE.

Angela Merkel potraktowała to jako zamach na swoje kompetencje. Jednak spór był szerszy. Kolejni szefowie MSW landów rządzonych przez SPD, a także tych, w których władzę sprawuje CDU, ogłaszali, że nie wyobrażają sobie żadnych takich kontroli. Lewica wpadła w histerię, oskarżając Seehofera, że marzy mu się nowa „Festung Europa”. Nie chcąc ryzykować trwałości koalicji, pani kanclerz obiecała Seehoferowi, że załatwi sprawę na pospiesznie zwołanym miniszczycie europejskim. W rezultacie wszystko zrobiła na wyścigi i źle. Aby zdobyć poparcie Francji, Merkel zapłaciła prezydentowi Macronowi na spotkaniu w Mesebergu obietnicą zgody RFN na wspólny budżet strefy euro, co po prawej stronie odebrano bardzo źle. Macron podjął natychmiast hasło odgórnej relokacji uchodźców, wiedząc, że zirytuje kraje wyszehradzkie. Łamiąc dobre unijne obyczaje, pani kanclerz pominięła w montowaniu szczytu szefa Rady Europejskiej Donalda Tuska, wpływając na Jeana-Claude’a Junckera, aby zaprosił tylko wybranych. A Włochy oburzyło to, że Francja i Niemcy z góry przygotowały kon-

kluzje szczytu bez konsultacji z Rzymem. Wyszehrad i Tusk zbojkotowali szczyt. W rezultacie na spotkaniu 24 czerwca nie było konkretów. A z kolei metody realizacji postanowień ugody ze szczytu 28 czerwca zarysowane są nader ogólnikowo.

W CZYM TKWI SŁABOŚĆ ANGELI?

Przede wszystkim pani kanclerz jest niewolnikiem swojej decyzji z września 2015 r., gdy uległa pokusie zostania królową europejskich serc i hojną ręką wpuściła do Niemiec niemal milion imigrantów. Potem po cichu naprawiała częściowo ten błąd – kupując za grube pieniądze zgodę Turcji, by zablokować falę bałkańską uchodźców i drogą mętnych umów z państwami Sahelu nieco osłabić strumień imigrantów z północnej Afryki.

Jednak problem z imigrantami miał i ma dwa aspekty – zewnętrzny i wewnętrzny.

Irytację Niemców wzbudzają głównie problemy z już obecnymi na terenie RFN przybyszami. O ile jeszcze może udać się Angeli Merkel uzyskanie zgody na stworzenie obozów dla kandydatów do azylu w Tunezji czy Albanii, o tyle integracja osób, które mają już azyl lub na niego czekają, przebiega wolno i tworzyć będzie napięcia. Powstawanie muzułmańskich gett w dużych miastach razi niemiecką potrzebę poczucia porządku. Incydenty z udziałem imigrantów budzą poczucie zagrożenia.

Z tego powodu wzorcem dla takich polityków jak Seehofer czy Kurz są dziś szef MSW Włoch, który nie wpuszcza statków organizacji pomocowych do włoskich portów, lub Orbán, który zakazuje NGO-som takiej pomocy pod groźbą rygorów karnych. Włochy i Austria nie czekają w tej sytuacji na inicjatywy europejskie. Głosząc, że uszczelnia własne granice, na ile się da. Jednak lewica już zapowiada, że nie pozwoli na żadne działania, które będą skierowane przeciw imigrantom i które mogą być uznane za łamanie praw człowieka.

Ta polaryzacja opinii w kwestii imigrantów namocniej uderza w silne partie konserwatywne. Jedne, takie jak austriacka ÖVP pod wodzą Kurza, zmieniły kurs na prawo, inne – tak jak Forza Italia – przegrały konkurencję z nowszym i bardziej zdecydowanym rywalem, takim jak Lega Matteo Salvini. W obliczu dużej liczby migrantów z Afryki burleskowy Silvio Berlusconi przestał wystarczać. Włosi wołają Salvini, który w kwestii zatrzymania imigracji robi to, co obiecuje. Lega ma coraz wyższe notowania w sondażach.

■ Jednak CDU jest w szpagacie. Nie jest zdolna do zmiany języka w kwestii imigracji. Wykorzystuje to CSU, która realnie obawia się wzrostu siły Alternative für Deutschland w landowych wyborach w październiku. Już w wyborach do Bundestagu partia Seehofera straciła ok. 9 punktów procentowych na rzecz AfD.

CDU boi się iść szlakiem CSU. Obawia się krytyki niemieckich mediów przechylonych na lewo. Ten sam brak zdecydowania wykazała w kwestii zakończenia zawarcia realnego pokoju z PiS. W partii Merkel odzywały się od pewnego czasu głosy za przyciągnięciem PiS do chadeckiej grupy EPP w Parlamencie Europejskim. Jednak gdy był na to czas – sporu z Polską nie wygaszono, a teraz lewica dba, by grillować Polskę pod przewodnictwem socjalisty Fransa Timmermansa w Komisji Europejskiej.

Po kroku w tył w sprawie ustawy o IPN nie może już się więcej cofać. I liczyć, że w kluczowym głosowaniu nad ukaraniem Polski z art. 7 nie zbierze się wymagana większość. I liczyć, że oś Wyszehrad – Wiedeń – Rzym będzie potrafiła wywalczyć bardziej partnerskie relacje w Unii.

Obóz Macrona zapewne będzie chciał skłócić ten „tożsamościowy network”, mrużąc do Kurza i premiera Włoch Contego pod hasłem: „Po co wiążecie się z dzikim wschodem?”. Nieprzypadkowo w relacjach „Gazety Wyborczej” z miniszczutu z 24 czerwca w Brukseli nagłaśniano, że to Włochy optują za rozdziałem kwot uchodźców, choć to samo mówi Macron.

Jednak lider Legi i faktyczny lider rządu Matteo Salvini już łagodzą różnice z Wyszehradem. Podkreślają zasługi

czył Jarosława Kaczyńskiego do europejskiego obozu proputinowskiego.

Jan Vincent-Rostowski, tweetując o porażce Rosji z Urugwajem 0:3, złośliwie dodawał „Przełknijcie to PiS-orusy”.

Oznacza to, że PO będzie kłamała na temat uzależnienia PiS od Rosji wbrew wszelkim faktom i bez żadnych zahamowań.

Sam Tusk co prawda w sporze o imigrantów sprzeciwiał się obowiązkowym kwotom i niedawno był gościem Orbána, ale na froncie polskim będzie prowadził brutalną politykę polaryzacji.

Podobne tendencje przejawia guru obozu liberalnego nad Wisłą Aleksander Smolar, który w programie Tomasza Lisa uznał, że opozycja jest jeszcze za mało radykalna. W opinii Smolara „okazuje tchórzostwo, bojąc się, że będzie oskarżana albo o zdradę, albo o jakiś nadmierny liberalizm”.

Dla Polski i Europy kluczowy będzie rozwój wydarzeń w Niemczech. Słabnąca pozycja Angeli Merkel sprawia, że coraz częściej wzrok tych, którzy chcą, by w Polsce było tak, jak było, kieruje się ku Emmanuelowi Macronowi. W „Gazecie Wyborczej” nieprzypadkowo Maciej Stasiński, wskazując na potrzebę w Europie „powstrzymania brunatnej fali”, aluzjnie pytał: „Gdzie jest Napoleon demokracji?”.

Tyle że dla polskiej totalnej opozycji gospodarz Pałacu Elizejskiego nie jest już tak wygodny jak silna Merkel. Macron nie lubi wschodniej Europy, zgadza się z opiniami, że rozszerzenie Unii na wschód w 2004 r. było błędem, i woli sojusz państw łańciskich – Francji, Hiszpanii, Włoch (po tym, jak wyjdą z populistycznego obłąkania) z Niemcami w roli partnera-portfelika. Na taką wizję niemieccy wyborcy mogą zareagować równie krytycznie jak na perswazję, że „imigranci ubogacą ich ojczyznę”.

Platforma lubi przedstawiać się jako siła znająca najlepiej Europę i wiedząca, jak się poruszać w Unii. Tymczasem jej przekonanie, że wróci stary unijny świat i odda prawowitym gospodarzom z PO zamrożone unijne dotacje, pokazuje, jak bardzo księżycowa jest dziś ta partia.

Nasz kontynent zmienia się pod wpływem reakcji na lewicowe utopie. To układ polityczny pełen znaków zapytania, ale bardziej realny niż wyobrażenia Janusza Lewandowskiego czy Ewy Kopacz. Nie zdziwiłbym się, gdyby PiS okazał się znacznie lepiej przygotowany do poruszania się w tym nowym świecie.

© 2017 Wszelkie prawa zastrzeżone

Następny rok pokaże, czy państwa rządzone przez tożsamościowców są zdolne do czegoś więcej niż koordynacji działań w sprawie imigracji

Co charakterystyczne – pogłoski o amnestii dla PiS ze strony CDU natychmiast nagłośniły, bijąc na alarm, „Gazeta Wyborcza” i francuski dziennik „Libération”.

Na razie osłabiona Merkel oddaje powoli rolę lidera Unii Macronowi. A ten, w odróżnieniu od pani kanclerz, nie ma na razie żadnej konkurencji na prawicy i chce być liderem „antypopulistycznej” krucjaty.

POLSKIE DYLEMATY

Polaryzacja na linii lewica kontra tożsamościowcy stawia w trudnej sytuacji Prawo i Sprawiedliwość. PiS robił, co mógł, aby pogodzić swoje poczucie prawa do reformowania państwa z chęcią jakiegoś modus vivendi z Angelą Merkel. Partia Jarosława Kaczyńskiego trzymała się z dala od AfD i Frontu Narodowego Marine Le Pen, podkreślając, że niepokoi ją prorosyjskie nastawienie obu partii. Długo liczone na pośrednictwo Orbána – jego Fidesz był członkiem EPP. W końcu Kaczyński mianował premierem Mateusza Morawieckiego, licząc, że będzie lepszym kandydatem do misji złagodzenia relacji z Berlinem. Nic to nie dało. Albo Merkel za mało stanowczo działała na rzecz porozumienia na linii Komisja Europejska – Warszawa, albo jest na to już za słaba.

PiS musi teraz trwać w swoim oporze wobec prób cofnięcia reform sądowych.

Orbána w ochronie granic zewnętrznych Unii i skupiają się raczej na idei obozów dla kandydatów do azylu w Libii czy Albanii niż na idei relokacji. Dla Polski ważne jest też pewne przytępienie prorosyjskiej linii Rzymu. Premier Conte nie podnosi już hasła zakończenia sankcji wobec Rosji.

Następny rok pokaże, czy państwa rządzone przez tożsamościowców są zdolne do czegoś więcej niż koordynacji działań w sprawie imigracji. I czy dadzą się nie rozgrywać Berlinowi, Paryżowi bądź Moskwie.

BEZ ZAHAMOWAŃ

Tak jak europejska lewica narzeka na polaryzację w sprawie imigrantów, tak Grzegorz Schetyna i Donald Tusk marzą o polskiej wersji takiej polaryzacji.

Wiele wskazuje, że w kampanii do Sejmu i wyborach prezydenckich w latach 2019–2020 będą budowali wybór – albo Platforma jako proeuropejscy obrońcy obecności Polski w Europie, albo PiS staczający się do obozu putinowskiego.

Donald Tusk już wbrew oczywistym faktom twierdzi, że PiS wspiera Rosję. Słynny tweet: „Zbyt podobne, by spać spokojnie” wysłany był jeszcze w listopadzie 2017 r. Teraz Tusk w niedawnym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” zali-

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**RELACJA KOBIETY,
KTÓRA OCALAŁA
Z LUDOBÓJSTWA
NA WOŁYNIU!**

Piotr Zychowicz – **Zapomniani polscy bohaterowie**
Dyskusja o Wołyniu – **Ewa Siemaszko vs. Wołodymyr Wjatrowycz**
Mark Lijek – **Jak uciekłem irańskim ajatollahom**
Sławomir Cenckiewicz – **Szokujące dokumenty LWP**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Hitler ograł Becka**
James Reasoner – **Krwawe pojedynki rewolwerowców**
Rafał Węgrzyniak – **Żyd oskarżony o kolaborację**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Co było gorsze: to, że PiS przyjął bezsensowną nowelizację ustawy o IPN i długo się przy niej upierał, czy to, że w końcu się z niej wycofał?

Po namyśle powiem: najgorszy był styl, w jakim zrobił i jedno, i drugie. Styl, który szkody „antydefamacyjnej” ustawy, i tak ogromne, dodatkowo spotęgował.

Jedyne pocieszenie dla partii rządzącej jest w całej tej kompromitacji takie, że totalna opozycja nie może powiedzieć: „A nie mówiliśmy?”. Bo PO i Nowoczesna, krytykujące PiS za wszystko i oprostestowujące gromko każde posunięcie rządu i każdą inicjatywę ustawodawczą, akurat w tej jednej sprawie milczały. W kulisach jej działacze przyznawali, że nowelizacja jest potrzebna, a co najmniej oczekiwana przez społeczeństwo, i sprzeciwienie się jej by opozycji zaszkodziło – choć poprzec otwarcie też nie można, bo to jednak ustawa PiS-owska. Ostatecznie udało się opozycji ciastka i nie zjeść, i go nie mieć – wstrzymała się od głosu i teraz może sobie pluć w brodę, że straciła fantastyczną okazję.

Ten fakt przypomina, jak niedorzecznej atmosfery owocem była nieszczęsna nowelizacja. Rosnąca irytacja Polaków ciągłym szarpaniem nas przez zagraniczne media i polityków o „polskie obozy” i Jedwabne wytworzyła presję, żeby państwo „wreszcie coś zrobiło”. I politycy PiS postanowili zrobić to samo, co przez ostatnich 25 lat robili politycy wszystkich poprzednio rządzących partii w analogicznej sytuacji: stworzyć pozór, przyjmując jakąś ustawę, żeby móc mówić: „Patrzcie, widzimy problem, nie jesteśmy bezczynni wobec zła!”.

Właśnie dlatego ani władza, ani opozycja nie przewidziały, jakie będą skutki – bo skutków miało nie być. Ot, będzie sobie jeszcze jedna bzdurna ustawa wyrażająca dobre chęci ustawodawcy, przeciwdziałająca oczernianiu Polski w takim samym stopniu, w jakim ustawa o walce z alkoholizmem przeciwdziała alkoholizmowi albo ustawa o ochronie zabytków chroni zabytki.

Dlaczego PiS wyciągnął z zamrażarki stary, zarzucony projekt i ignorując wyrażone niegdyś wobec niego zastrzeżenia, wrzucił pod głosowanie „w żadnym trybie”, z pominięciem przewidzianego prawem mechanizmu konsultacji, akurat w takim terminie? Możliwe, że ktoś tam (nowelizacja jest teraz oczywiście, tak jak każda klęska, sierota) uznał, iż wykonanie gestu pod adresem zirytowanego antypolską propagandą społeczeństwa staje się szczególnie ważne właśnie teraz, gdy rocznice

Rejterada



Rafał A. Ziemkiewicz

Skutek styczniowej nowelizacji ustawy o IPN nie mógł być inny. Jedyne pocieszenie dla rządzącej partii jest takie, że opozycja straciła fantastyczną okazję

wyzwolenia obozu Auschwitz, a potem Marca'68 prawdopodobnym czynią jej nasilenie. Jeśli tak, to tłące się zarzewie pożaru postanowił PiS ugasić benzyną.

@

„A potem jak w piosence – łuny i wybuchy...”. Ostatnia rzecz, której się politycy – zarówno ci rządzący, jak i opozycyjni – spodziewali, to to, że ktoś Polsce wrogi i mający wobec niej złe zamiary wykorzysta ten błąd, by zadać nam druzgoczący cios. A już zwłaszcza że może to zrobić Izrael. Kto jak kto, ale Żydzi i Izrael to przecież bodaj największa niespełniona miłość polskiej inteligencji, a szczególnie polskiej postpiśsudczykowskiej prawicy (co jest zresztą tematem na osobny esej).

Tymczasem premier Izraela jest politykiem szczywanym i bezwzględny. Idiotyczną, z założenia bezzebną ustawę wykrzystał do urzędu nam wizerunkowego Pearl Harbor: nakazał swej ambasador w ostrych słowach zaatakować polskie pra-

wo antydefamacyjne (w narzuconej przez niego narracji: „Holocaust law”) podczas rocznicowych obchodów w Auschwitz. Moment wybrany był perfidnie – nie tylko dlatego, że pani Azari uderzyła i z punktu narzuciła całemu światu izraelską, mocno i stronniczo nadinterpretując ustawę narrację w momencie, gdy skupiona była na niej uwaga wszystkich światowych mediów. Atak dokonany, zanim nowelizacja przeszła pełny proces legislacyjny, dawał gwarancję, że Polacy uniosą się godnością i – demonstracyjnie nic już nie poprawiając – przyjmą ją w takiej właśnie, fatalnej dla nich wersji. Gdyby Izraelowi zależało na złagodzeniu zapisów, gdyby rzeczywiście przyczyną całej sprawy były jakieś konkretne niepokoje wywołane nowym prawem, wystarczyłoby przecież premierowi Netanjahu przekazać stosowne żądanie dyskretnie – na pewno zostałyby wysłuchane. Jednak Netanjahu na poprawieniu ustawy zależało w takim samym stopniu, jak Putinowi zależy na zrzuceniu z siebie



FOT. JIM HOLLANDER/POOL / REUTERS/FORUM

deklaracji w stylu „ani kroku w tył”, „nie oddamy ani guzika” i „jest tylko jedna rzecz bezcenna w życiu narodów i tą rzeczą jest godność”.

@

Dlaczego „Bibi” nam to zrobił?

Bo to niczym nie groziło. Polacy, po pierwsze, nie chcieli i nie chcą wiedzieć, że zostali zaatakowani, że to jest wojna, a nie przypadek, nieporozumienie czy zbieg okoliczności. Nasze elity gorliwie wypierają wyjaśnienie narzucające się każdemu, kto rozumie elementarne zasady polityki, i wmawiają sobie oraz masom, że trzeba milczeć, nie zadrażniać, a wszystko da się wyjaśnić w bezpośrednich rozmowach z prominentnymi przedstawicielami żydowskiej społeczności – bo przecież wszyscy uczestnicy politycznej gry są z zasady ludźmi przyzwoitymi i dobrej woli. Takie „rozumienie” polityki dodatkowo ułatwia rolowanie nas jak dzieci, bo wystarczy obok „złego” policjanta z kijem posłać Polakom także „dobrego”, nawet nie z marchewką, bo marchewki kosztują, tylko z tym, co Amerykanie nazywają „schmoozing”, a czemu najbliższe w polszczyźnie jest słowo „bajerować”.

Po drugie, Polacy jak zwykle „poszli w bój bez broni”. Nie ma polskiej telewizji w języku angielskim, nie ma anglojęzycznych portali, jakie prowadzi każda izraelska gazeta, nie ma żadnych instytucji wpływu na światową opinię publiczną i promowania polskiego punktu widzenia. Setki milionów złotych, które miały służyć ich stworzeniu, poszły na malowanie łódeczek i billboardy o tym, że jeden sędzia ukradł spodnie.

A po trzecie, w wojnie z nami można zawsze liczyć na potężną „piątą kolumnę” czy – jak wolą niektórzy – „targowicę”. Ta akurat część Polaków, która zmonopolizowała kontakty z Zachodem, postkolonialna elita rodem z PRL, w miażdżącej większości przyjmuje każdy atak na Polskę z entuzjazmem i gorliwie go wspiera, jeśli nie wręcz inspirowa. Szczególnie gdy podstawą ataku jest oskarżanie „tej drugiej Polski, z którą nie chcę mieć nic wspólnego” (jak to ujął reżyser Pawlikowski), czyli „starszych, gorzej wykształconych i z mniejszych ośrodków”, o antysemityzm. To oskarżenie ma bowiem u nas charakter klasowy, jest jednym z elementów poczucia wyższości „oświeconych” (każdy inteligent, pardon, szlachcic, ma swojego Żyda, a każdy Żyd swojego inteligenta) nad „chamem”.

A po czwarte – istotną przyczynę wskazała pani ambasador Azari niemal natychmiast po wykonanym ataku, oznajmiając, że łączenie sprzeciwu wobec nowego polskiego prawa z miliardowymi roszczeniami amerykańskich organizacji żydowskich do „mienia bezspadkowego” jest antysemityzmem.

Stanisław Janecki przypominał w jednym z naszych wspólnych programów, jakiej presji poddano swego czasu Szwajcarię – w porównaniu z tym to, co nas spotkało, to na razie bułka z masłem. W efekcie musiała ona zapłacić wielomiliardowy okup za pozostawienie jej w spokoju – choć dwustronna komisja doliczyła się na realnie udokumentowanych kontaktach po ofiarach Holokaustu w szwajcarskich bankach raptem kilkunastu milionów. A przecież nie miała tak beznadziejnego przywództwa i know-how.

@

Skutek nie mógł być inny niż klęska i rejterada. Niejasne jest dla mnie jedynie, dlaczego nie chciała unieważnić ustawy, jak na to przez wiele miesięcy PiS liczył, przewodnicząca Trybunału Konstytucyjnego, oskarżana – jak widać niesłusznie – o uległość wobec władzy. Mniejsza jednak o to.

Oczywiście zrozumiałe jest, że politycy PiS próbują przedstawić klęskę jako „wspólny sukces Polski i Izraela”, kapitulację jako „drobne zmiany”, a zdrowy rozsądek – „wyciem kremlowskiej agentury”. Jednak jakkolwiek ubierać całą sprawę w propagandę i zapewniać o polsko-izraelskiej przyjaźni, światowe komentarze utrzymane są w duchu: Izrael obronił historyczną prawdę, a Polakom uniemożliwiono zrzućenie z siebie współwiny za Holokaust. A to ustawia nas na ścieżce wiodącej do płacenia „odszkodowań”.

Należałoby z tej historii wyciągnąć wiele nauk. Nie uchylać ustaw na pokaz (i nie przypisywać tego innym, jak to robi władza, uparcie twierdząc, że amerykańska ustawa 447 „nie ma praktycznego znaczenia”). Uświadomić sobie prawdę liczących sobie już wiek słów Dmowskiego, że „polityka nie polega na głośnym deklarowaniu, czego się chce, i równie głośnym protestowaniu przeciwko temu, czego się nie chce”. Oduczyć się tromtadacji, naiwności, pięknoduchostwa...

Ech, po co to piszę? Nie takie już dostawaliśmy lekcje realizmu, nie odrobiliśmy ich do dziś i jeszcze nauczyliśmy się być z tego dumni. © Wszelkie prawa zastrzeżone

podejrzeń, że z zimną krwią i dziecinną łatwością zamordował prezydenta, wielką część kierownictwa i całe dowództwo sił zbrojnych „wschodniego filaru” NATO.

Najmarniejszy koncern zatrudnia psychologów, „profilujących” szefów konkurencyjnych spółek czy potencjalnych kontrahentów i starających się przewidzieć ich reakcje. Do „sprofilowania” naszej rządzącej elity, wychowanej na powtarzanym z mocą w każdą rocznicę aksjomacie, że nie mogliśmy nawet dla uniknięcia nieuchronnej zagłady ustąpić Hitlerowi z naszych słusznych praw do Gdańska i że bezsensowne powstanie, które było bodaj największą katastrofą w dziejach wojen, a na pewno w dziejach Polski, musiało wybuchnąć, bo – w obu przypadkach – „cała ludność chciała walczyć”, wystarczyłoby czteroletnie dziecko. Oczywiście skutkiem wizerunkowego Pearl Harbor musiało być szybkie przyjęcie ustawy bez żadnych zmian przez Senat i podpisanie jej przez prezydenta. Plus wiele butnych

Publicyści „Do Rzeczy” od początku wskazywali na potencjalnie, szkodliwe dla wizerunku Polski i naszej relacji z sojusznikami, skutki nowelizacji ustawy o IPN. Przedstawiamy niektóre opinie o nowelizacji, które pojawiły się na naszych łamach po przegłosowaniu jej przez Sejm 26 stycznia 2018 r.



PAWEŁ LISICKI
„Smutny konflikt”,
„DRz” 6/2018 z 5 lutego 2018 r.

Przeglądając się temu, jak z dnia na dzień pogarszają się stosunki polsko-żydowskie lub polsko-izraelskie, trudno nie odczuwać smutku. Trudno nie mieć poczucia, że Polska dała się uwikłać lub sama się uwikłała w wyjątkowo niebezpieczny konflikt. I trudno też nie dostrzec z jednej strony słabości i braku politycznej wyobraźni niektórych polskich polityków, z drugiej bezwzględności i zacietrzewienia, chciałyby się wręcz powiedzieć – niebываłego tupetu części izraelskich elit.

Jeśli chodzi o Warszawę, to kilku rzeczy nie jestem w stanie pojąć. Po pierwsze, dlaczego nowelizacja ustawy o IPN musiała nastąpić akurat w przededniu dnia wyzwolenia Auschwitz. Jak to możliwe, że do Warszawy nie docierały z Izraela żadne sygnały o możliwym sprzeciwie i skali oporu? Dlaczego placówka w tym kraju od tylu miesięcy nie ma ambasadora? Zastanawiam się, czy Polska w ogóle dysponuje czymś takim jak dyplomacja, skoro nikt nie jest w stanie uprzedzić na czas o zbliżającej się nawałnicy. No bo jak to możliwe, żeby nie wiedzieć o tym, że nasz rzekomo bliski partner i rzekomo dobry przyjaciel pełen jest tak silnych antypolskich resentymentów? Podobnie zastanawiam się, czy ktokolwiek – premier, prezydent, ministrowie – dokonali na zimno rachunku zysków i strat? Scenariusz jest przecież łatwy do przewidzenia: protesty żydowskie nie skończą się na skądinąd haniebną i głupią ustawie Knesetu, oskarżającej Polskę o współudział w Holokauście. Przeciw Warszawie uruchomiony zostanie, tak dobrze przeciwczony przez Żydów w stosunku do innych państw, zestaw kolejnych środków nacisku. W ostateczności można się spodziewać nawet gwałtownej zmiany w relacjach z USA i – nie wykluczałbym tego – podważenia polsko-amerykańskiego sojuszu.



SŁAWOMIR CENCIEK-WICZ

„Zdążyć przed klęską”,
„DRz” 21/2018 z 21 maja 2018 r.

Styczniowa nowela ustawy IPN, która powstała w całości poza Instytutem, a obróciła się przeciwko niemu i Polsce, choć wypływa z dobrych intencji, jest postrzegana na Zachodzie za groźną nie tylko dla wolności słowa, lecz także swobody badań naukowych. Tajemnicą poliszywną jest, że o losy tej ustawy pytają dosłownie wszyscy nasi partnerzy – dyplomaci, wojskowi, ludzie tajnych służb, biznesmeni, naukowcy, duchowni i... Żydzi z całego świata. W marcu w Nowym Jorku kolega pokazał mi żydowskie – rosyjskojęzyczne – stacje radiowe, które całymi godzinami trąbiły o „antysemickiej ustawie o IPN”. Nasz cały wysiłek państwowy musi zatem skoncentrować się na zasypaniu tego konfliktu i odwróceniu negatywnych skutków nieprzemyślanych działań z początku 2018 r.



PIOTR GABRYEL
„PiS kontra PiS”,
„DRz” 10/2018 z 5 marca 2018 r.

Przypadek ostatniej nowelizacji ustawy o IPN będzie, obawiam się, prezentowany studentom wielu dyscyplin, i to długo, i niekoniecznie tylko w Polsce, jako modelowy przykład doprowadzania własnymi działaniami do skutku odwrotnego do zamierzonego. Czyli – w naszym przypadku – zamiast do zakładanego przekonania do pożądanej i prawdziwej wersji własnej historii – do wzmocnienia u odbiorców przekazów zgoła odmiennych. I w konsekwencji – zamiast do poprawy reputacji swego państwa do jej znacznego, a może nawet bardzo znacznego pogorszenia.



KATARYNA
„Ministerstwo Głupich Kroków”,
„DRz” 11/2018 z 12 marca 2018 r.

Nowelizacja ustawy o IPN okazała się tak potrzebna i tak dobra, że nawet w rządzie mają nadzieję na szybkie jej utracenie w Trybunale Konstytucyjnym. Wiceminister spraw zagranicznych Bartosz Cichocki na pytanie dziennikarza, co będzie, jeśli Trybunał uzna, że ustawa jest zgodna z konstytucją i powinna pozostać w takim kształcie, w jakim PiS ją przepchnął,

O IPN

odpowiada: „To wtedy się będziemy martwić”, i jest to bodaj jedyny przypadek, kiedy urzędujący minister martwi się, że TK może niczego nie zmienić w rządowej ustawie. A jest się o co martwić, przypadek akcji solidarnościowej argentyńskiej prasy w obronie gazety, przeciwko której użyteczni idioci z Reduty Dobrego Imienia postanowili wykorzystać ustawę, najlepiej pokazał, że w takim kształcie jest śmiertelnie niebezpiecznym narzędziem dla wszelkiej maści oszołomów i tak właśnie będzie wykorzystywana.



WALDEMAR ŁYSIAK
„Samobój”,
„DRz” 7/2018 z 12 lutego 2018 r.

Te moje dawne zaciekle kampanie przeciwko znieważaniu Polaków dają mi dzisiaj prawo do wyrażenia opinii, że godnościową nowelizacją ustawy IPN-owskiej, plus trybem jej procedowania oraz zaklepywania, III RP strzeliła sobie gorzej niż w stopy, bo w brzuch, będzie się więc ten postrzał jątrzył bardzo długo, kuracja może być przewlekła, a konsekwencje będą uporczywe do bólu. Jeśli już zlekceważono wcześniejszą ekspertyzę MSZ, stwierdzającą, że ta nowelizacja może Polsce przynieść na arenie międzynarodowej więcej szkód niż pożytku (a zlekceważono, bo minister Waszczykowski był akurat „do odstrzału”), to należało przynajmniej skonsultować tekst z lepszymi prawnikami (że „nowelka” jest bublelem prawnym, mówią dziś tacy spece jak mec Jan Olszewski, były premier) i uzgodnić precyzyjnie z Izraelczykami (niecierpiącymi nas i przewrażliwionymi) nuanse sformułowań (może wystarczyłaby drobna kosmetyka, koniecznie sygnowana przez nich, żeby nie mogli się wycofać). Bez wątpienia też nie wolno było klepać ustawy dokładnie w przededniu rocznicy wyzwolenia Auschwitz (czyli Międzynarodowego



do rzeczy

Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu, kiedy nadwrażliwość/drażliwość Żydów sięga zenitu), tuż po złośliwie odpalonej w TVN (celowo z kilkumiesięcznym opóźnieniem) racy przeciw „polskim hitlerowcom”. Wreszcie budzi uzasadnione wątpliwości możliwość karania na mocy tej ustawy głosieli antypolskich kłamstw, bo szerzą je cudzoziemcy, więc musielibyśmy skazywać ich zaocznie i wystawiać międzynarodowe listy gończe – czysty absurd.



PIOTR SEMKA

*„Lodowaty prysznic”,
„DRz” 6/2018 z 5 lutego 2018 r.*

Nie sposób przyjąć tezy, że PiS z premeditacją chciał konfrontacji z Izraelem. Raczej naiwnie wierzono, że możliwa i akceptowalna w Jerozolimie jest jakaś forma „braterstwa ofiar”, co tłumaczyłoby uchwalenie poprawki do ustawy o IPN w przededniu Dnia Pamięci o Holokauście. Nie rozumiejąc, jak bardzo ta idea jest Żydom obca. I nie pojmując do końca, jak hiperwrażliwi są w sprawie własnej narracji o Holokauście, w której – jak się okazało – trwale zawarta jest teza o Polakach jako współnikach Hitlera. Powtórzmy – sekwencja wydarzeń ruszyła wskutek przypadku, ale już debata w Knesecie wokół dokumentu mającego potępić polską ustawę pokazała, jak zły wizerunek Polaków z czasu ostatniej wojny mają zwykli deputowani.



MATTHEW TYRMAND

*„Nie zamykać za głupotę”,
„DRz” 6/2018 z 5 lutego 2018 r.*

Jeśli chcesz ścigać za zniesławienie i potrafisz to udowodnić, to w polskim oraz międzynarodowym prawie istnieje już podobne zapisy. Trzeba było z nich korzystać, zamiast pisać prawo, które jest niemożliwe do wyegzekwowania. [...] Nie możesz powiedzieć ludziom: od jutra macie być mądrzy. To nie znaczy, że należy

pozwalać na wszystko i rozkładać ręce, gdy jakaś dziennikarka pisze na Twitterze 14 razy z rzędu „polskie obozy śmierci”. Takich ludzi można indywidualnie pociągnąć do odpowiedzialności cywilnej, nałożyć na nich kary finansowe, ograniczyć im wstęp na terytorium kraju – cokolwiek, tylko nie wsadzać do więzienia. To niebezpieczny precedens. [...]

Są skuteczne sposoby, ale trudniejsze niż napisanie ustawy.



ŁUKASZ WARZECHA

*„Bicz na własne plecy”,
„DRz” 12/2018 z 19 marca 2018 r.*

Gdy ustawa była już w Sejmie, błyskawicznie stało się jasne, że konsekwencje będą niezwykle poważne. A jednak, mimo bardzo stonowanych wypowiedzi członków PiS i rządu, została uchwalona w błyskawicznym tempie – tak szybko, że przegłosowano też ewidentnie błędne zapisy, zawarte w dołączonym pod naciskiem klubu Kukiz'15 przepisie o banderyzmie. [...]

Wspierający ustawę twierdzą, że kryzys minie i nie pociągnie za sobą żadnych konkretnych skutków. Mylą się. Polityka zagraniczna to system naczyń połączonych. Pierwszą stratą jest już to, że aparat polskiego państwa kolejny raz (tak było już w przypadku konfliktów o TK czy o przedłużenie kadencji Donalda Tuska) musi angażować potężne zasoby w rozwiązywanie problemu, który sami na siebie sprowadziliśmy. Nie będzie nam to również pomagać w innych sprawach – każdy tego typu problem jest zbędnym, dodatkowym obciążeniem.



MARCIN WOŁSKI

*„Scenariusz”,
„DRz” 6/2018 z 5 lutego 2018 r.*

Kiedy krzywdzą nas, opluwają i oskarżają niesłusznie, istnieje naturalna chęć, by

się odwinąć, wałnąć tak, by w pięty poszło. Rozsądek wszelako postuluje wcześniejszy bilans ewentualnych strat i zysków. Nie mówię, żeby od razu nadstawiać drugi policzek. Jednak można cofnąć się o krok i porozmawiać.



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

*„Po burzy – kto zyskał, kto stracił”,
„DRz” 6/2018 z 5 lutego 2018 r.*

Na żadnym etapie narastającego sporu opozycja nie była w stanie zająć jasnego stanowiska wobec pomysłu penalizacji antypolskich fałszerstw historycznych. I to pomimo iż merytoryczna krytyka projektu podczas prac parlamentarnych nad nim byłaby jak najbardziej uzasadniona. [...]

Na łamach „Do Rzeczy” i „Do Rzeczy Historia” pisaliśmy wielokrotnie, że straszenie karą więzienia za „fałszowanie historii” niczego dobrego nie da, a wręcz okaże się przeciwnie skuteczne. Nietrudno było wypunktować zastrzeżenia i mając wciąż po swojej stronie największe media, przekonywać Polaków, że choć sprzeciw wobec nikczemnej frazy „polskie obozy koncentracyjne” łączy wszystkich Polaków ponad politycznymi podziałami, to projekt wysmażony przez PiS przyniesie więcej szkody niż pożytku.



PIOTR ZYCHOWICZ

*„Ryk tygrysa bez klów”,
„DRz” 7/2018 z 12 lutego 2018 r.*

Przepisy są niejasne i pozostawiają olbrzymie pole do interpretacji oraz nadużyć. A kary przewidziane przez twórców ustawy są drakońskie. Sama myśl, że w wolnej Polsce można by wsadzać do więzienia ludzi za ich poglądy historyczne, wywołuje głęboki niesmak. Jest to sprzeczne z elementarnymi zasadami praworządności i zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Spory historyczne powinna rozstrzygać siła argumentów, a nie policjant z gumową pałką, prokurator i sąd. Nie ma wątpliwości, że nowelizacja ustawy o IPN stanowi wielkie zagrożenie dla wolności słowa, którą wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej gwarantuje konstytucja. Prezydent Andrzej Duda, decydując, że podpisze nową ustawę i skieruje ją do Trybunału Konstytucyjnego, popełnia fatalny błąd. [...]

W efekcie zostaliśmy z bublek prawnym i zepsutymi relacjami z dwoma kluczowymi sojusznikami. Rząd PiS musi teraz rozwiązywać problem, który sam stworzył.

MARCIN MAKOWSKI: Czuje pan, że pańskie dni na fotelu szefa IPN są policzone? Mówi się, że rząd będzie chciał znaleźć kozła ofiarnego, którego poświęci się za „błędy” w nowelizacji ustawy o Instytucji.

JAROSŁAW SZAREK: Na razie przeczytałem jeden artykuł na ten temat, w którym było parę anonimowych wypowiedzi.

Mówimy o artykule Onetu, w którym pretensję do pana pracy zgłaszają pracownicy KPRM.

Czy to rzeczywiście pracownicy kancelarii premiera, nie wiem. Gdy krytykuje się jakąś instytucję albo personalnie jej szefa, wypadałoby mieć elementarną odwagę i robić to pod nazwiskiem. Oficjalnie żadne uwagi do mnie nie docierają. Powiem więcej, tekst spowodował rzecz odwrotną, ponieważ otrzymałem wiele wyrazów poparcia dla tego, co Instytut Pamięci Narodowej robi.

Pozostając w obszarze spekulacji – podobno pańskiej głowy domaga się bardzo egzotyczny sojusz, tj. minister Zbigniew Ziobro i premier Mateusz Morawiecki.

Dobrze, że pan mówi „spekulacje”, a nie „fakty”. Czy zatem nie poruszamy się w sferze plotek?

Może je pan tutaj rozwiać.

Jak mam traktować poważnie takie sprawy, skoro jako przykład nieskuteczności IPN w tym samym tekście podaje się brak należytych działań wokół sprawy Pomnika Katyńskiego w New Jersey? Można mieć różne zarzuty do Instytutu, ale akurat nie ten. Przecież obok Muzeum II Wojny Światowej i Wojskowego Biura Historycznego jako pierwsi ostro zareagowaliśmy na próby przeniesienia pomnika i skandaliczne słowa burmistrza Fulopa. I to nie tylko w oświadczeniach, lecz także wysłaliśmy mu również po polsku i angielsku dwa tomy dokumentów amerykańskiej komisji Maddena i byliśmy gotowi do wysłania do New Jersey naszych naukowców, którzy podjęliby merytoryczną dyskusję na temat znaczenia zbrodni. Od kilku miesięcy MSZ wykorzystuje kilkudziesięciostroniową syntezę IPN na ten temat w języku angielskim „Katyn Massacre – Basic Facts”. Być może ktoś próbuje własne zaniechanie w tej sprawie przerzucić na nas? IPN działa już 18 lat. Nieraz chciano przez ten czas go rozwiązywać, wymieniać prezesów, zmieniać. A my po prostu robimy swoje i spokojnie pracujemy u podstaw.

Różnica polega na tym, że do tej pory uwagi wobec Instytutu formułowano ze strony obecnej opozycji, a nie ze strony rządu.

Jesteśmy niezależną i pozarządową instytucją, tak stanowi ustawa, na podstawie której działamy. Jeśli argumenty są merytoryczne, to bierzemy je pod uwagę, ale w tym przypadku anonimowe, cytowane w artykule osoby, które mają zastrzeżenia, są po prostu źle poinformowane.

Czy źle poinformowany jest Andrzej Pawluszek, sekretarz premiera Morawieckiego? On zupełnie



Z Jarosławem Szarkiem, prezesem IPN
rozmawia Marcin Makowski

Nie będziemy agencją PR

wprost zgłasza zastrzeżenia do pracy IPN, a w mediach społecznościowych publicznie domagał się utworzenia anglojęzycznego konta Instytutu.

O ile wiem, to wypowiadał się tylko o Twitterze. Myślę, że pan Andrzej Pawluszek pomylił instytucję państwową z rządową. I przy tym pozostajmy.

Słyszałem, że interweniował wcześniej w tej sprawie, wysłał pisma.

Żadnych pism nie było. Dodam, że w kluczowych sprawach reagujemy bezzwłocznie, a nasze stanowisko od lat prezentujemy także w języku angielskim.

Jednak faktem jest, że chwilę później profil powstał. Czyli potrzeba była.

Wiemy, co mamy robić, i dużo wcześniej – jeszcze przed nowelizacją ustawy – zaczęliśmy pracować nad komunikacją po angielsku. Być może nie do wszystkich ta wiedza dotarła. Wiemy, jak ważne jest prezentowanie naszych argumentów poza Polską. Już w ubiegłym roku powołaliśmy

oddzielną komórkę w biurze prezesa, tj. samodzielną sekcję informacji międzynarodowej. Jej zadaniem jest merytoryczne reagowanie na nieprawdziwe informacje prezentowane na Zachodzie na temat naszej historii. Mamy już dziesiątki skutecznych interwencji. Trzeba jednak pamiętać, że nie jest to główny ustawowy zakres działalności IPN, który został powołany przede wszystkim do zbadania ponad 90 km akt komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, a następnie ich udostępnienia i spopularyzowania wiedzy na ich temat. I ta praca

trwa. Z czasem zakres obowiązków faktycznie się rozszerzał, wchodziliśmy w relacje z Polakami i naszymi odpowiednikami poza granicami, z międzynarodowym środowiskiem historycznym. Szybko zyskałmy renomę rzetelnej instytucji. Zawsze też zajmowaliśmy się II wojną światową i pośrednio relacjami polsko-żydowskimi. Gdy zostałem prezesem, mieliśmy jednak w Instytucji tylko 13 historyków zajmujących się nimi, na ponad 150 pracujących w jednym z siedmiu biur tworzących IPN.

Nie ma pan wrażenia, że ta praca i – jak pan stwierdził – renoma zostały nadwyrężone przez nowelizację ustawy, nad której kształtem Instytut nie miał kontroli?

Oczywiście ponosimy pewne straty, ale jesteśmy instytucją na tyle dużą, że nie zagrażają one naszemu istnieniu. My te problemy musimy po prostu przeczekać. Kilka miesięcy temu, mimo tak trudnej sytuacji międzynarodowej, podpisaliśmy umowę z trzema państwowymi archiwami na Ukra-

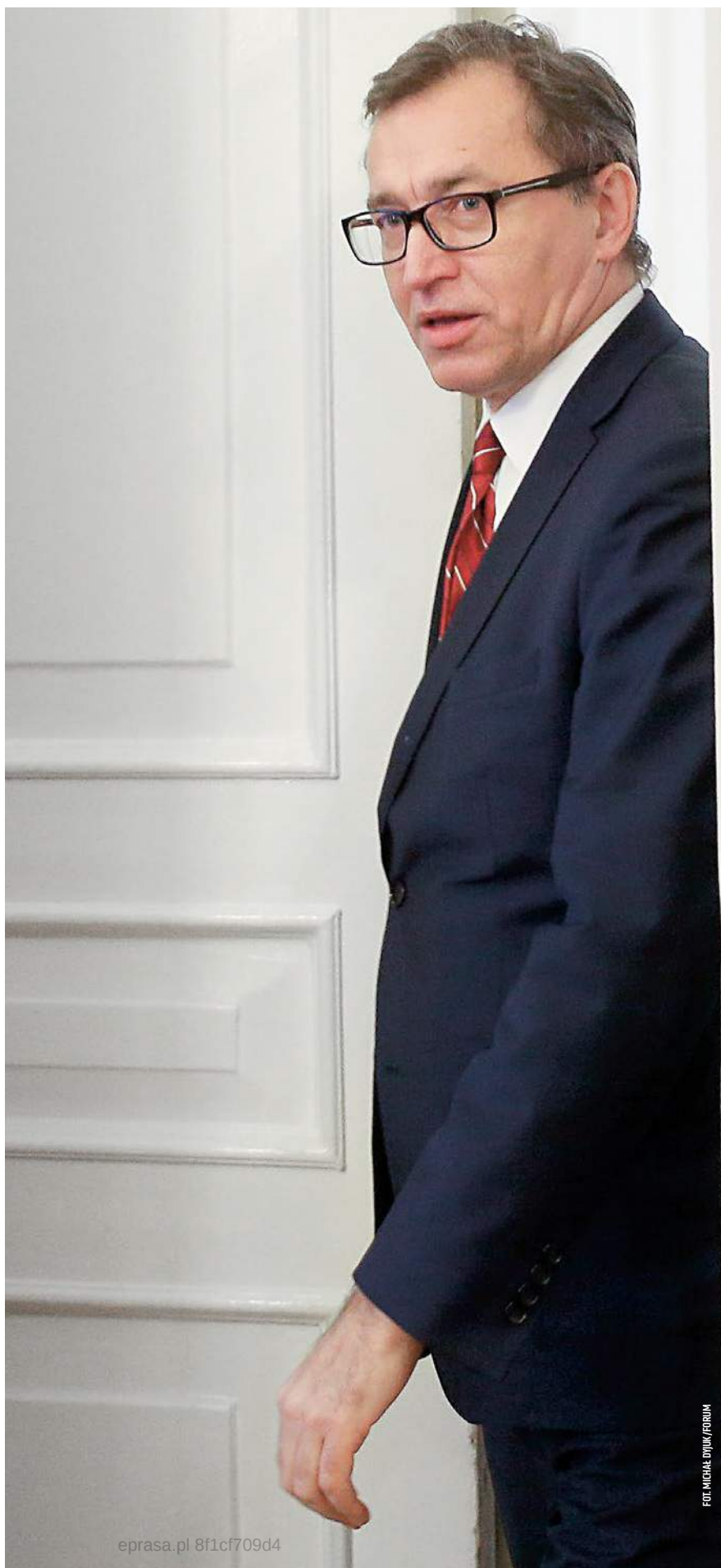
inie. W Winnicy, Chmielnickim i Odessie. Już dostajemy pierwsze dokumenty, niedługo pokażemy dużą wystawę, która powstała na ich podstawie. Owszem, IPN kojarzony jest na świecie z kontrowersyjną nowelą. Jestem jednak pewien, że to się zmieni.

Do kogo ma pan w takim razie pretensje za wciągnięcie IPN w sam środek wojny, której nie chciał wywołać? Do kogoś chyba przecież pretensje mieć trzeba?

Ustawa jest faktem, teraz trzeba się skupić na przyszłości. Dwa lata temu prawodawca rozszerzył naszą działalność, która teraz obejmuje lata 1917–1989. Dlatego skupiamy się na całym zakresie, który do nas należy, a nie tylko na Holokauście. Obecnie celebруем setną rocznicę odzyskania niepodległości, kilkanaście dni temu zorganizowaliśmy międzynarodową sesję naukową w szwajcarskim Rapperswil, gdzie w 1870 r. Władysław Plater założył Muzeum Polskie, w celu zabezpieczenia polskiego dziedzictwa kulturowego. Polscy imigranci postawili w tym mieście kolumnę z wrytym napisem: „Magna Res Libertas” – „Wolność Wielką Rzeczą Jest”. To jest główny nurt naszych dziejów – wierność wolności i zmagania, wokół tego skupiają się najistotniejsze działania IPN. Staramy się nie ograniczać naszej aktywności do dużych miast, ale wyraźnie wyszliśmy do tzw. Polski powiatowej – w ponad 120 miejscach na „Biało-czerwonym szlaku” pokazujemy wystawę „Ojcowie Niepodległości”, organizujemy wykłady „Akademii Niepodległości”, niezliczone prelekcje, popularyzujemy dzieje żołnierzy wyklętych, mówimy o Polakach ratujących Żydów, mamy setki publikacji, animacji 3D o historii Polski. Jesteśmy obecni od Kanady, USA, przez Kazachstan do Australii. A niektóre osoby i tak myślą o nas jako o tych, którzy jedynie będą wykonywać wspomnianą ustawę. Wcześniej byliśmy tylko „instytutem teczek”. I co możemy poradzić na tak krzywdzące uproszczenie? Niestety, tak często działają media i polityka.

Tylko czyja to wina? Mediów czy Instytutu, który nie potrafi dobrze komunikować swoich zasług?

Ma pan częściowo rację, na polu komunikacji mamy dużo więcej do zrobienia. Tylko czasami aż ręce opadają. Robimy np. konferencję o operacji polskiej NKWD pod patronatem prezydenta. Wmurowano tablicę w Krakowie z nazwiskami ofiar, drukujemy materiały, zakładamy stronę, wydajemy publikacje książkowe i zapraszamy do współpracy dziennikarzy. I potem na



FOT. MICHAŁ DZIUK/FORUM

koniec w niektórych serwisach informacyjnych pojawia się kilkunastosekundowa wzmianka. Publikujemy miliony dokumentów archiwalnych bezpieki, które można przeglądać nawet na smartfonie – temat na jeden dzień. A wystarczy ostrzejsza wypowiedź na granicy polityki i afery na tydzień. Niestety, w takim świecie żyjemy. Nie da się uciec od wszechobecnej powierzchowności i czasami padamy tego ofiarą.

W środę 27 czerwca ekspresowo uchwalono „nowelizację nowelizacji” ustawy o IPN. Z jej treści znikną najbardziej kontrowersyjne zapisy, m.in. te dotyczące odpowiedzialności karnej za kłamstwa historyczne. Dobra decyzja?

Powtórzę to, co mówiłem wielokrotnie: IPN nie jest podmiotem, który uczestniczy w procesie legislacyjnym. Jest instytucją państwową powołaną przez parlament, do realizacji konkretnych, w naszym wypadku wielokrotnie poszerzanych, zadań. Rada Ministrów ma pełne prawo do składania propozycji w zakresie rozwiązań ustawowych. Wynika ono wprost z konstytucyjnie opisanej procedury legislacyjnej. Rządowi przysługuje prawo do inicjatywy ustawodawczej, a suwerenny parlament podejmuje decyzje. Jeżeli na etapie prac sejmowych i senackich Instytut zostanie poproszony o wyrażenie opinii, to – jak zawsze – starannie się do tego przygotowujemy. Muszę jednak powtórzyć, że w wypadku tej ustawy dotychczasowe konsultacje nie były zbyt szerokie...

Jak odbiera pan decyzję rządu, która zapadła jeszcze przed wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego? Czego w takim razie będzie dotyczyć wyrok? Ustawy, która już nie obowiązuje?

To suwerenna decyzja rządu, z pewnością poprzedzona analizami. Nie będę jej komentował, bo to nie moja rola. Moją rolą jest kierowanie powierzoną mi dwa lata temu instytucją i realizowanie zadań określonych przez parlament. Rada Ministrów i Trybunał Konstytucyjny funkcjonują w zakresie określonym ustawą zasadniczą i zapewne były już przypadki nowelizowania ustaw czekających na rozstrzygnięcia Trybunału.

Michał Dworczyk powiedział w „Sygnałach dnia” radiowej Jedynki, że rząd chce odstąpić od części przepisów w ustawie, ale „IPN cały czas pozostaje uzbrojony w skuteczniejszy instrument, czyli narzędzia cywilnoprawne” i – jak tłumaczył – na drodze cywilnej będzie mógł walczyć w imieniu państwa polskiego z kłamstwami historycznymi. Zgadza się pan z jego słowami?

Określenie „skuteczniejszy” zakłada stopniowanie. Funkcjonowanie tych zapisów, które w ostatnich miesiącach były tak szeroko komentowane, jest na tyle krótkie, że nie pozwala jeszcze na dogłębne porównywanie trybu karnego i trybu cywilnego. Tryb cywilny może być instrumentem skutecznym.

Czy czuje pan brak wystarczającego wsparcia ze strony rządu?

Nie mogę powiedzieć o braku wsparcia, ale warto, aby była większa świadomość, czym się zajmuje Instytut. Nie jesteśmy

Musimy zacząć uzupełniać swoje kompetencje, a nie przerzucać się odpowiedzialnością

od błyskawicznego gaszenia kryzysów wizerunkowych za granicą, gdyż nie mamy do tego narzędzi. Potrzebne są realne działania, budowanie propolskich środowisk za granicą, polskiego lobby. My możemy każdemu zapewnić merytoryczny wkład, materiały i opracowania w wielu językach, ale nie przekształcimy się w agencję PR i nie zastąpimy organów państwa.

Panu może nie wypada, ale ja dopowiem: „Nie jesteśmy MSZ”.

Nie o to chodzi, bo akurat z Ministerstwem Spraw Zagranicznych mamy bardzo dobre relacje. Problem jest szerszy – aby promować na świecie naszą perspektywę historyczną, nie wystarczą tylko IPN albo tylko MSZ. Konieczna jest całościowa strategia. Musimy zacząć uzupełniać swoje kompetencje, a nie przerzucać się odpowiedzialnością. Mamy bowiem do czynienia nie tylko z nieznaną nam historią naszych dziejów poza granicami, lecz także z wtórnym afabetyzmem historycznym w Polsce. Nie tak dawno na drugim roku dziennikarstwa usłyszałem od studentów, że Inka kojarzy się im z kawą. Młodzież chodzi teraz w koszulkach z Pileckim, świetnie sprzedaje się biznes patriotyczny. Tylko co za tym idzie? Często niewiele. Jakbyśmy uśpili swoją aktywność, bo obóz patriotyczny rządzi, to nie trzeba naszego wysiłku. Niestety, najlepiej pracujemy w opresji, ale to już chyba taka polska przypadłość.

Zmieniając nieco temat. Niedawno prof. Sławomir Cenckiewicz przedstawił dowody na niszczenie akt

tajnych służb i Wojska Polskiego za lata 1990–2009. Chodzi o archiwizację wojskową w Gdyni, Nowym Dworze Mazowieckim i Rembertowie. Sprawa trafiła do prokuratury i pionu śledczego IPN. Co dalej?

To jest szerszy problem, bo mówimy oczywiście o procederze przestępczym, za który sprawcy muszą ponieść odpowiedzialność. To jednak pokazuje, ile PRL-u było i jest w III RP. Nawet pomimo upływu trzech dekad nie możemy się pozbyć balastu, który pozostawił po sobie komunizm. Niszczenie akt to dowód, że nawet po jego upadku ludzie tamtego systemu potrafią zacierać ślady swojej działalności. To w jakimś sensie pokłosie płynnego przejścia z jednej rzeczywistości politycznej w drugą. Tymczasem nawet mała Litwa po 1989 r. potrafiła przyjąć symbolicznie na jeden dzień przedwojenną konstytucję, rozpoczynając nowy rozdział swojej niepodległości. A my budowaliśmy hybrydę, łączącą Rzeczpospolitą z Rzeczpospolitą „Ludową”. A to są sprawy nie do połączenia. Niestety, obserwuję dzisiaj, nawet w obozie prawicowym, lęk przed krytyką PRL, ponieważ liczy się na jakiś szczątkowy elektorat postkomunistyczny, nie biorąc pod uwagę, że traci się wyborców niepodległościowych. Jednak ktoś tak kalkuluje. Trudno.

W marcu 2016 r. ówczesny szef IPN Łukasz Kamiński zapowiedział przeniesienie pomników sowieckich do skansenu. MSZ Rosji plany te określiło „haniebną wojną pomnikową, która graniczy z barbarzyństwem”. Wiemy, że Instytut planuje wrócić do tematu. Jak wygląda nowy projekt?

Mamy pomysł w tej kwestii i trochę inaczej go realizujemy. Mowa o Podbojsku, wsi w województwie zachodniopomorskim, w której Armia Czerwona zlokalizowała część swojego arsenału nuklearnego. Większość schronów jest bardzo dobrze zachowana, a jeden niemal kompletnie, z całą infrastrukturą, systemem wentylacji i sterowania. I w tym miejscu, z którego Sowietzi chcieli zgładzić Zachód, chcemy zrobić wystawę muzealną – placówkę edukacyjną wraz z resztkami po pomnikach ilustrującą sowiecką obecność w Polsce. Chcemy, aby ta ekspozycja wzbogaciła została również o życiorysy ludzi, którzy tej okupacji stawiali opór. Zarówno czynny – z bronią w ręku, jak i polityczny. Nie skansen, ale placówka edukacyjna, która pokaże losy tamtych monumentów w całym ich ponurym kontekście, i odda należne miejsce w historii naszym bohaterom. Niech to będzie przestroga dla przyszłych pokoleń, jak wiele się traci, nie mając niepodległości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 2
LIPCA
2018

ÓSMY ODCINEK SERII
Solidni jak Polacy

Wyjaśniamy, jak zbudowaliśmy nowoczesne państwo
w czasach Kazimierza Wielkiego.

ZWYCIĘZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIĘZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna



Sławomir Cenckiewicz

Wiemy o niszczeniu akt bezpieczeństwa i PZPR. Jednak dotąd nie znaleźliśmy skali niszczenia archiwów wojskowych. Okazuje się ona wstrząsająca

Analiza skali niszczenia archiwów wojskowych po 1989 r. jest jak wejście do lasu, w którym najpierw napotykamy zagajniki, potem niewielkie drzewa, aż w końcu olbrzymie i gęste drzewa przesłaniają słońce oraz drogę wyjścia. Podobnie jest z rekonstrukcją procesu niszczenia dokumentów – zaczyna się od znalezienia niewielkiego „spisu brakowania akt” i zapisku o zniszczeniu teczek „perspektywicznych oficerów” z lat 1980–1981, by po paru godzinach dosłownie utonąć w setkach rejestrów odnotowujących „brakowanie” akt służb specjalnych PRL, Sztabu Generalnego, współpracy z Sowietami, broni atomowej czy PZPR.

WYOBRAŻNIA I ZŁUDZENIA

Proces niszczenia dokumentów cywilnej bezpieki i PZPR z lat 1989–1990 jest na ogół rozpoznany, a nawet opisany przez historyków i archiwistów. Nasza archiwalna świadomość nie wykracza poza cezurę 1990 r. Nie dopuszczamy do siebie myśli, że ten przestępczy proceder mógł trwać znacznie dłużej. Nawet przypadek kradzieży i niszczenia dokumentów związanych z przeszłością agenturalną Wałęsy w latach 1992–1995 czy liczne przykłady „zaginięcia” akt sądowych uważane są za incydentalne wysoki w dziejach archiwistyki III RP.

W świecie medialnych kreacji i wyobrażeń historia archiwistyki wojskowej w ogóle nie zaistniała. Centralne Archiwum Wojskowe i podległe mu placówki archiwalne – mając status tzw. archiwum wyodrębnionego będącego częścią Ministerstwa Obrony Narodowej – znalazły się faktycznie poza instytucjonalną kontrolą (nie mówiąc już o jakiegokolwiek kontroli społecznej). Kierujące CAW hermetyczne towarzystwo oficerów politycznych (po latach służby w LWP przebranych często w cy-

Jeden z magazynów Centralnego Archiwum Wojskowego w Wesołej (2016) FOT. S. CENCKIEWICZ

Niszczycielskie „dzieci Kiszczaka”

wilne ciuszki), ich żon, kuzynów i dzieci trwale i w zasadzie skutecznie zamknęło wojskowe archiwa nie tylko przed kontrolą, lecz także często także przed historykami, zwłaszcza tymi, których badania obejmowały okres PRL. Wielu uczciwych archiwistów, często nawet o poglądach antykomunistycznych, nie było w stanie zmienić takiego stanu rzeczy, gdyż nie pełnili w CAW żadnych stanowisk kierowniczych.

Praktyki stosowane w CAW są w środowisku historyków spoza kręgu „znajomych królika” owiane legendą. Brak dostępnych inwentarzy, zakaz fotografowania zbiorów, niedostępność akt, znikające dokumenty z przedwojennych zespołów, nieopracowanie całych kolekcji archiwalnych, prywatyzacja zasobu, mania utajniania akt z PRL, niekończąca się budowa nowej siedziby, a nawet zamykanie na długie okresy czytelni to tylko część pejzażu patologii, jaki spotkałem w 2016 r. Jednak przyjmując propozycję ministra Antoniego Macierewicza, nie myślałem, że odkryję tak liczne dowody masowego niszczenia dokumentów niemal w całym okresie istnienia CAW po 1989 r.

Wprawdzie dochodziły do mnie sygnały o takich praktykach, ale polegając na elementarnym zaufaniu do archiwistów wojskowych, przyjąłem ich wyjaśnienia o brakowaniu jedynie mało istotnych materiałów dotyczących spraw osób korzystających z naszego zasobu, kwestii uposażeń, ZUS i innych spraw socjalnych.

Przełomem okazało się odsunięcie ludzi LWP i wprowadzenie na początku 2017 r. do podległego mi archiwum wojskowego w Nowym Dworze Mazowieckim nowego dyrektora – Łukasza Cięgotury. Była to sprawa – jak się okazało – o wielkim znaczeniu, gdyż wspomniane archiwum obsługiwało przez długie lata tzw. centralne instytucje MON, a zatem gromadziło najważniejsze dokumenty wojskowe z okresu PRL i nowej Polski. I właśnie tam znaleźliśmy pierwsze ślady masowego niszczenia akt.

TROPEM „ZŁOTEGO FUNDUSZU”

Zaczęło się od poszukiwań dokumentacji tzw. Złotego Funduszu, czyli Funduszu Przyspieszonego Rozwoju oficerów LWP – specjalnej kategorii uprzywilejowanego i perspektywicz-

nego kształtowania kadr oficerskich LWP pod nadzorem tajnych służb, partii i Sowietów. Okazało się, że w jednym ze spisów brakowania akt z 2009 r. znaleźliśmy informację o zniszczeniu teczki zatytułowanej „Złoty Fundusz” z lat 1980–1981. Zaczęliśmy analizować spisy z lat 2006–2009 i przecieraliśmy oczy ze zdumienia, bo na wykazach zniszczonych akt znaleźliśmy zapisy o bezprawnym wybrakowaniu akt Wojskowej Służby Wewnętrznej (kontrwywiadu) z lat 1967–1970, komunikatów i informacji Zarządu II (wywiadu) Sztabu Generalnego z roku 1973 oraz

go Rozwoju, WSI, Wojskowego Instytutu Historycznego, Sztabu Generalnego (dekada lat 80.), Naczelnej Prokuratury Wojskowej i Wojskowej Akademii Politycznej, a nawet dokumentację i korespondencję wiceministra obrony narodowej z 1997 r. Wówczas okazało się dla nas jasne, że nie można się zatrzymać na archiwum modlińskim i musimy zweryfikować cały proces brakowania akt w wojskowej sieci archiwalnej, czyli w Warszawie, Toruniu, Gdyni, we Wrocławiu-Oleśnicy i innych miejscach.

Kolejne poszukiwania dawały jeszcze większe efekty. Na przykład w Rember-

ODDZIAŁ II ROZPOZNAWCZY SZTABU MW							
788.	Wyciągi z rozkazów personalnych MON i korespondencja w sprawach personalnych oddziału.	Bc	1954	1954	96	1584/57/5	
789.	Materiały rozpoznawcze dot. sił zbrojnych państw obcych ze Sztabu Gen. Zarządu II – kopie.	Bc	1953	1953	153	1584/57/19	
790.	Sprawozdania z rozpoznawczych radiotechnicznych z jednostek – kopie wchodzące.	Bc	1955	1955	388	1586/57/2	
791.	- " -	Bc	1956	1956	696	1588/57/2	

Teczka ze spisami zniszczonych akt w Archiwum Marynarki Wojennej w Gdyni w 2000 r. FOT. ZBIÓR WBH

szefostwa Wojsk Ochrony Pogranicza z lat 1975–1985. Akta tych instytucji, które ustawa o IPN kwalifikuje jako „organy bezpieczeństwa państwa”, są szczególnie chronione i powinny zostać po 1998 r. (uchwalenie ustawy o IPN) przekazane do IPN!

Potem było jeszcze gorzej, gdyż okazało się, że w Archiwum Wojskowym w Nowym Dworze Mazowieckim zniszczono również inne, ważne z historycznego punktu widzenia dokumenty, m.in. meldunki o nastrojach w LWP, akta Głównego Zarządu Politycznego, dokumenty dotyczące słuchaczy i kursantów akademii sowieckich, akta RSW „Prasa-Książka-Ruch”, akta gabinetu MON, Departamentu Kadr, Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych, Funduszu Przyspieszone-

towie znaleźliśmy kolejne dowody na niszczenie akt tajnych służb PRL, które od blisko 20 lat powinny być przechowywane w IPN. W 2003 r. zniszczono m.in. notatki Zarządu II dotyczące zmian w naczelnym dowództwie Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych z 1959 r. (68 stron), wzory dokumentów operacyjnych z 1957 r. (355 stron), zamówienia sprzętu specjalnego dokonane przez Zarząd II z lat 1967–1968 (blisko 700 stron) oraz dokumenty: Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z lat 1953–1954, ataszatów PRL za granicą z 1953 r., Zarządu II Sztabu Generalnego z 1953 r. (41 stron), Głównego Zarządu Informacji z lat 1954–1955, Polskiej Misji w Berlinie z 1951 r. Poza tym zniszczono m.in. korespondencję MON ws.

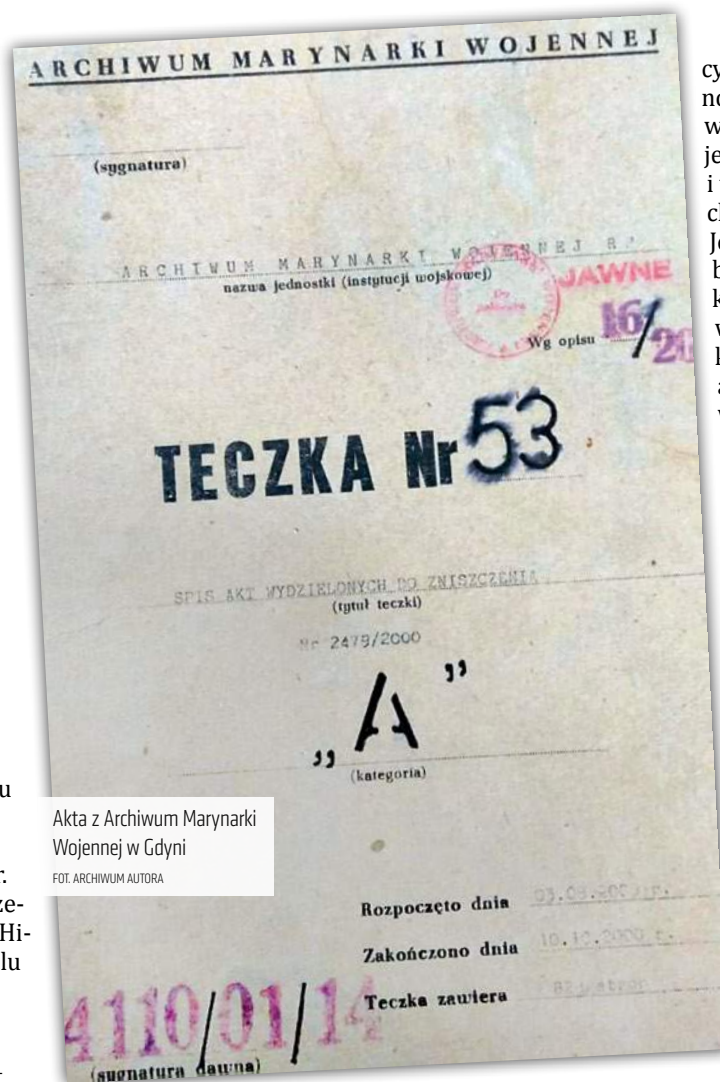
wyroków sądowych, Mariana Spychalskiego ws. nieuczciwości posłów (468 stron!), materiały różne dotyczące sądownictwa i porządku publicznego z 1955 r. (592 stron!), sprawozdania okresowe z pracy partyjno-politycznej z 1956 r., rozkazy szefa Sztabu Generalnego z lat 1957–1958, sprawy broni atomowej, importu i eksportu do ZSRS, akta cenzury wojskowej z lat 1968–1969, wymiany sprzętu/obrotu specjalnego z NRD, Bułgarią, Głównego Zarządu Politycznego, wyjazdów do ZSRS (w tym typowania na wyjazdy do ZSRS), materiały dotyczące osób powracających z zagranicy z 1951 r., dokumenty ZMP z 1951 r., sprawy oficerów zwiadu z 1948 r., dokumenty POP PZPR, protokoły akt zdanych do archiwum...

W spisach z Gdyni z kolei znaleźliśmy potwierdzenie bezprawnego niszczenia akt Oddziału II Rozpoznawczego Sztabu MW będącego częścią Zarządu II SG (wywiadu wojskowego) w 2000 r. Poznaliśmy też sporą skalę niszczenia akt w Wojskowym Instytucie Historycznym w Warszawie i w wielu innych miejscach.

MECHANIZM POŻOGI

Analiza procesu niszczenia akt w latach 1990–2015 wciąż trwa i codziennie przynosi zaskakujące odkrycia, ale już dziś można powiedzieć, że w przypadku CAW i podległych mu archiwów mieliśmy do czynienia z przymysłowym charakterem brakowania dokumentów wojskowych. W przypadku akt niepodlegających przekazaniu do IPN proces ten miał pozory prawnego legalizmu, opartego głównie na „Instrukcji o zasadach archiwizacji dokumentacji wojskowej” wydanej przez szefa Sztabu Generalnego LWP gen. Józefa Użyckiego z 13 października 1988 r. To paradoks, ale akt prawny wydany w PRL przez członka WRON stał się podstawą pożogi archiwalnej niemal w całym okresie III RP, bo instrukcję znowelizowano później w 2013 r. (za czasów ministra Tomasza Siemoniaka) i 2016 r. (za czasów ministra Antoniego Macierewicza).

Całość tego procesu oparta była na przepisach instrukcji (art. 21 i 69–70)



Akta z Archiwum Marynarki Wojennej w Gdyni
FOT. ARCHIWUM AUTORA

dotyczących przekwalifikowywania materiałów archiwalnych (kategoria „A”) na niearchiwalne (kategoria „B”) i zasad brakowania. A więc była formalnie powołana komisja, która sprawdzała „prawidłowość kwalifikacji dokumentacji kategorii »B« wydzielonej do zniszczenia” i „sporządzała spisy akt wydzielonych do zniszczenia”, które potwierdzał swoim podpisem szef CAW. Dzięki temu możemy poznać skalę zniszczeń oraz osoby zaangażowane w ten proces, gdyż członkowie komisji i szefowie CAW składali swoje podpisy pod decyzjami o brakowaniu akt.

Ten pozór legalizmu łatwo zakwestionować, gdyż nawet w instrukcji z 1988 r. można dostrzec zapisy odnoszące się do niektórych rodzajów dokumentacji (np. do akt pracy partyjno-politycznej w wojsku), które winny posiadać kategorię „A” i być więc chronione. Także w kolejnych nowelach instrukcji archiwalnych formalnie zawarto restryk-

cyjne zasady. I tak np. akta normatywne (rozkazy czy wytyczne dla działalności jednostek organizacyjnych i wojskowych) miały być chronione kategorią „A”. Jednak lektura spisów brakowania temu wszystkiemu przeczy! Wystarczy wskazać na te z wybrakowanych jednostek archiwalnych, które zawierały rozkazy i wytyczne chociażby Szefa Sztabu Generalnego LWP i MON, by zakwestionować uczciwość postępowania archiwistów.

Ta praktyka jest zresztą charakterystyczna dla wojskowych archiwistów niemal od zawsze. Z różnych dostępnych nam dokumentów wynika jednak, że nawet „instrukcja Użyckiego” była interpretowana dowolnie. Już ze sprawozdania z selekcji materiałów archiwalnych w Wojskowym Okręgu Wojskowym z czerwca 1988 r. (ale zaakceptowanej w styczniu 1989 r.)

wynika, że towarzysze oficerowie archiwiści podjęli decyzję, iż różne materiały partyjne (wytyczne, koncepcje i oceny dotyczące pracy lektorskiej, politycznej i propagandowej) należy przechowywać jedynie przez 30 lat, a więc powinny posiadać kategorię materiałów niearchiwalnych („B-30”).

Kwestie prawne rozstrzygnie prokuratura, do której złożyłem zawiadomienia o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez kierownictwo i pracowników Centralnego Archiwum Wojskowego oraz podległe mu jednostki. Osoby zaangażowane w proces niszczenia dokumentów zostały w trybie dyscyplinarnym zwolnione z pracy w WBH. Uważam bowiem, że muszą zostać wyciągnięte konsekwencje służbowe i prawne wobec wszystkich osób zaangażowanych w proces masowego niszczenia dokumentów wojskowych w latach 1990–2015!

Z Małgorzatą Wassermann, przewodniczącą komisji śledczej ds. wyjaśnienia sprawy Amber Gold, kandydatką PiS na prezydenta Krakowa

rozmawia

Kamila Baranowska



KAMILA BARANOWSKA: Woli pani być marszałkiem Sejmu czy prezydentem Krakowa?

MAŁGORZATA WASSERMANN: Chcę być prezydentem Krakowa i zrobić wszystko, żeby tak było. Mam pomysł, mam wizję i świadomie zdecydowałam się kandydować. Te i inne pojawiające się plotki o moich funkcjach w rządzie czy parlamencie są po prostu nieprawdziwe i nie ma sensu ich komentować.

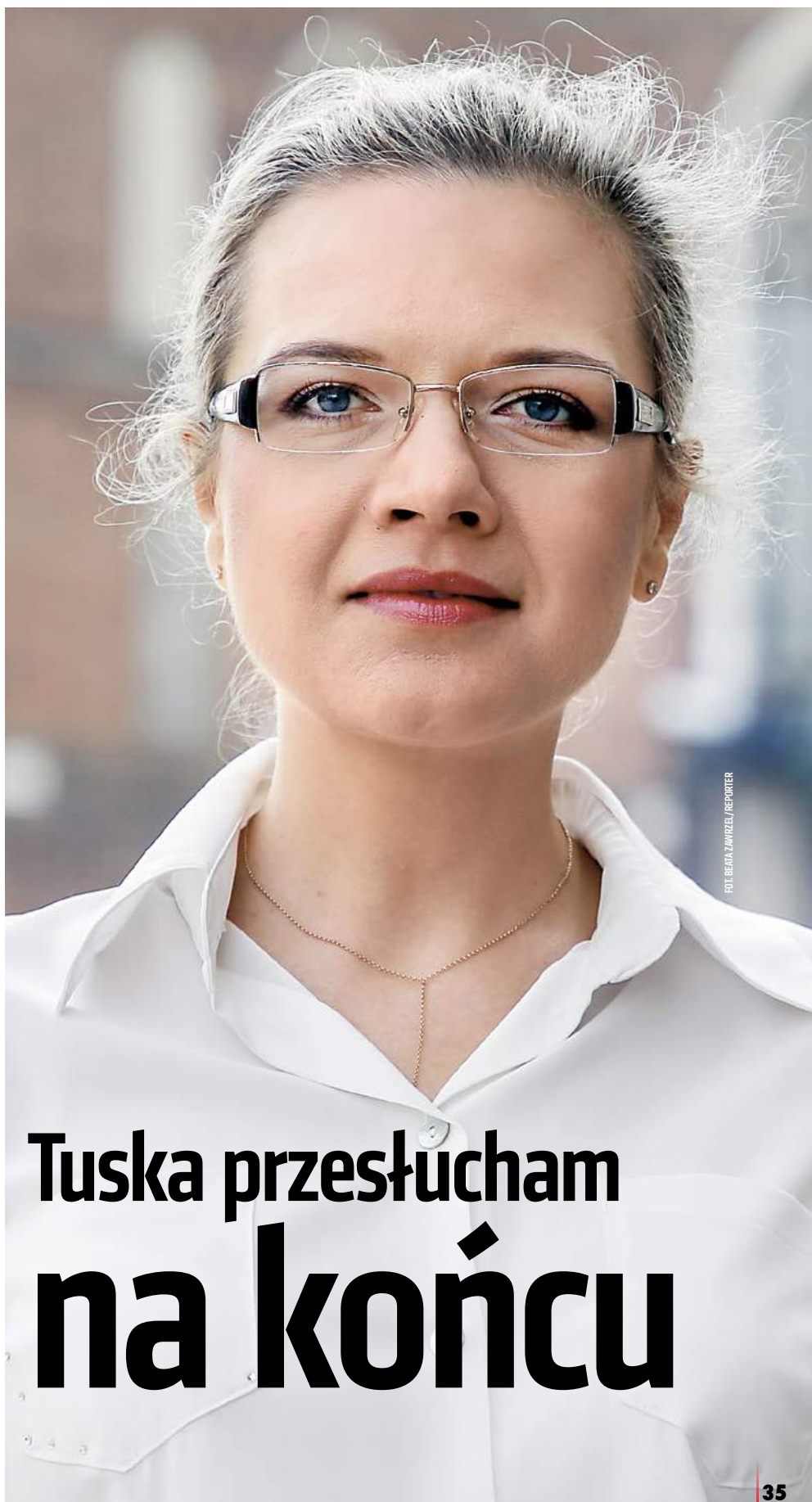
Może te plotki biorą się stąd, że dobrze sobie pani radzi w dużej polityce i z punktu widzenia PiS lepiej mieć panią w Warszawie?

Decyzja o kandydowaniu na prezydenta Krakowa została i przeze mnie, i przez władze Prawa i Sprawiedliwości dobrze przemyślana. I jest już podjęta. Kraków jest pięknym, dużym i bardzo ważnym, także politycznie, miastem. Nie tylko z punktu widzenia mieszkańców Krakowa ważne jest, by to miasto było dobrze zarządzane, lecz także z punktu widzenia całej Polski.

Jak pani ocenia swoje szanse w Krakowie? W sondażach prowadzi dotychczasowy prezydent Jacek Majchrowski.

Prowadzi, ale ta przewaga nie jest aż tak duża, przynajmniej w tych sondażach, które znam. Zaznaczam, że jeszcze nie zaczęła się kampania wyborcza. Nigdy w swojej działalności nie kierowałam się sondażami i nie będę tego robić. Trzy lata temu krakowianie i Małopolanie bardzo mi zaufali, głosując na mnie w wyborach do Sejmu, i mam nadzieję, że ich nie zawiodłam, że zaufają mi także i tym razem. Myślę, że pokazałam, iż potrafię bardzo ciężko pracować, radząc sobie z niesamowicie trudną materią.

Mówi pani o swojej pracy w komisji śledczej ds. wyjaśnienia sprawy Amber Gold?



FOT. BETA Z WIRZEL/REPORTER

Tuska przesłucham na końcu

Tak, kończę właśnie prace nad materiałem, nad którym pracowało kilkanaście prokuratur w Polsce, kilkudziesięciu funkcjonariuszy, kilkudziesięciu prokuratorów, a sprawy były prowadzone w kilkunastu urzędach przez okres kilku lat. Ja zrobiłam to wszystko w dwa lata. Pokazałam, że tylko taka forma, czyli uchwycenie sprawy w sposób całościowy, daje możliwość wyjaśnienia afery. Wcześniej każdy z prokuratorów i funkcjonariuszy zajmował się jednym małym fragmentem – efekt państwo znają.

Czy jeśli idzie o sympatie wyborcze, ale i problemy, Kraków jest miastem podobnym do Warszawy?

Nie znam dobrze Warszawy, więc trudno mi porównywać. Urodziłam się w Krakowie i to Kraków jest moim miastem. Oczywiście „odbicie miasta” z rąk Jacka Majchrowskiego będzie bardzo trudnym zadaniem, jednak pracując nad planem dla Krakowa, widzę wiele słabych punktów jego prezydentury. Odnoszę też wrażenie, że obraz obecnego prezydenta, jaki mają krakowianie, jest obrazem sztucznie wykreowanym. To obraz stabilizacji i spokoju, pewnego ładu przestrzennego, który teoretycznie jest, ładnych parków i pięknych imprez. Tylko że jeśli przyjrzymy się temu wszystkiemu bardziej wnikliwie, to zobaczymy dużą liczbę problemów – niesprawiedliwych, złych decyzji, błędów,

na rozliczaniu błędów, poprawianiu niedociągnięć, eliminowaniu wad czy krytykowaniu niesprawiedliwych decyzji. Oczywiście jeśli wygram, muszę zacząć od audytu, czyli zorientowania się, w jakim stanie przejmuję miasto. Chciałabym jednak wyraźnie podkreślić, że nie zamierzam zwalniać wszystkich urzędników. A wiem, że takie plotki szeptanki są w Krakowie rozpuszczane. Jest naturalne, że jak przychodzi nowy prezydent, to chce mieć swoją kadrę kierowniczą, ale tysiące urzędników pracujących w instytucjach w Krakowie i mających swoje zadania oraz doświadczenie na pewno będzie nadal pracować i będą przeze mnie doceniani, a może i awansowani.

Jak zamierza pani przekonać tych wyborców, którzy może i głosowaliby na Małgorzatę Wassermann, ale nie wyobrażają sobie głosowania na PiS?

Udało mi się już raz ich przekonać – w wyborach parlamentarnych wygrałam w Krakowie. To kwestia dotarcia do mieszkańców i uświadomienia im, że PiS nie tylko nie jest taki straszny, ale że bardzo dużo dobrego zrobił. Druga ważna sprawa to pokazanie, że nie ma kandydatów niewspieranych przez ugrupowania polityczne, nawet jeśli na takich się kreują. Przy czym w przypadku Jacka Majchrowskiego konotacje partyjno-polityczne są dużo gorsze niż „znieprawdzone Prawo

partią absolutnie się identyfikuję. Tylko dlatego w stosunku do mnie miałby to być zarzut, a w stosunku do pozostałych nie?

Prezes Jarosław Kaczyński stawia na młodych. Pani w Krakowie, Patryk Jaki w Warszawie, Kacper Płażyński w Gdańsku, Sylwester Tułajew w Lublinie. Widać chęć zawalczenia o duże miasta, z którymi PiS ma kłopot.

Nie deprecjonuję i nigdy nie będę deprecjonować wieku, bo wiek wiąże się też z doświadczeniem życiowym, które jest w polityce niesamowicie istotne. W moim przypadku jest tak, że i mam swoje lata, swoje doświadczenie zawodowe, także dość ciężkie życiowe, ale jeszcze jestem na tyle młoda, że mam bardzo dużo energii i dużo mi się chce. Mam nadzieję, że również to przekona krakowian, aby oddali na mnie swój głos.

Grzegorz Schetyna apeluje, by pani oraz Patryk Jaki w związku ze startem w wyborach zrezygnowali z przewodzenia swoim komisjom. Rozważa to pani?

Nie, a takie apele uważam za śmieszne. Po pierwsze, zaczynając pracę w komisji, powiedziałam, że do zbadania sprawy Amber Gold potrzebujemy dwóch lat. Dwa lata mijają jesienią i ja ten plan zrealizuję. Po drugie, pobieram z tego tytułu wynagrodzenie, więc trudno, bym brała pieniądze i nie wykonywała swojej pracy. Nie mam innych źródeł dochodu, żyję z pracy własnych rąk. Dzisiaj moją pracą jest wykonywanie obowiązków w Sejmie, w tym przewodzenie komisji śledczej. Pomijając jednak to wszystko, gdyby ktokolwiek dziś przyjechał do Krakowa, zobaczyłby, że od maja, czyli od ogłoszenia przez prezydenta Majchrowskiego, że jednak zamierza kandydować, miasto zamieniło się w jeden wielki festyn wyborczy. Nie ma dnia ani weekendu, by nie doszło do jakiegoś otwarcia, ogłoszenia, przecięcia wstęgi itd. Jeżeli dzisiaj ktoś miałby do kogoś apelować, to raczej ja do obecnego prezydenta, aby zaprzestał prowadzenia regularnej, ogromnej kampanii wyborczej przy użyciu aparatu samorządowego i przede wszystkim pieniędzy samorządowych.

Planowane na jesień przesłuchanie Donalda Tuska wpisze się idealnie w kampanię wyborczą. Nie ucieknie pani przed zarzutem, że to celowe działanie.

Wiem, że tak to może wyglądać. Wiem też, że dwa lata temu, zaczynając

„Odbicie miasta” z rąk Jacka Majchrowskiego będzie bardzo trudnym zadaniem, jednak pracując nad planem dla Krakowa, widzę wiele słabych punktów jego prezydentury

braku spójności w polityce zabudowy miasta, skończywszy na tym, że Kraków stoi w gigantycznych korkach. Mam jasno zdefiniowane to, co chciałabym poprawić. Uważam, że Kraków nie potrzebuje dziś rewolucji, ale sprawnego i dobrego zarządzania.

Skoro rewolucja niepotrzebna, to po co nowy prezydent?

Kraków jest miastem konserwatywnym, spokojnym, inteligentnym, z wielką liczbą ośrodków naukowych i dlatego rewolucje mu niepotrzebne. Nie chciałabym budować swojej kampanii ani rządzić Krakowem, skupiając się tylko

i Sprawiedliwości”, bo sięgają PZPR i PSL. Majchrowski i jego otoczenie to nie są ludzie, którzy pojawili się znikąd. Inny mój kontrkandydat Łukasz Gibała był najpierw związany z PO, potem z Ruchem Palikota, żaden z niego bezpartyjny samorządowiec. Tak mamy w Polsce ukształtowany system polityczny, że ludzie, którzy chcą robić coś dla dobra publicznego, czy to w skali regionu, czy całej Polski, grupują się w partie polityczne. To partie, mając struktury i siłę, nominują swoich kandydatów. Nie uważam, by było w tym coś złego. Nie jestem co prawda członkiem PiS, ale jestem przez PiS popierana i z tą

pracę w komisji, zapowiedziałam, że Donalda Tuska będę chciała przesłuchać na samym końcu. Prowadząc takie sprawy, zawsze idzie się od dołu do góry, a nie odwrotnie. Zawsze idziemy od najniższego urzędnika, a na końcu przesłuchujemy szefa. W związku z tym „szefa wszystkich szefów” przesłuchiwać będziemy na końcu. Jeśli chodzi o samo przesłuchanie Donalda Tuska, to jestem przekonana, że kiedykolwiek by się ono odbywało i tak byłoby zarzuty, że jest to robione pod wybory, po wyborach, przed wyborami, bo mamy przed sobą cały maraton wyborczy. Pewnie, że dla spokoju wolałabym mieć Tuska przesłuchanego wcześniej, ale nie mogę tego zrobić, bo to byłoby bez sensu z punktu widzenia harmonogramu prac komisji.

Przesłuchanie Tuska może okazać się przełomowe?

Budujemy obraz tego, co się stało na podstawie obszernej dokumentacji i zeznań świadków. Każde przesłuchanie z naszego punktu widzenia jest istotne. Opinia publiczna i media odbierają to inaczej, bo ich interesują głośne nazwiska. Dla nas najczęściej najbardziej interesujące są przesłuchania osób, których nazwiska mediom nic nie mówią. Przełomem było na przykład przesłuchanie policjantki z komendy miejskiej policji. Politycy są dla mnie ważni, ale nie najważniejsi. Często odpowiedzialność karna dotyczy tego, kto jest niżej, niekoniecznie polityka. To jest oczywiście kwestia dalszej pracy prokuratury, czy ta osoba, która ma zarzuty, podejmowała decyzję samodzielnie, czy była inspirowana.

Odpowiedzialność karna to jedno, a czy z ostatecznego raportu z prac komisji dowiemy się, kto politycznie za tę aferę odpowiada?

Dzisiaj mogę powiedzieć, że od strony politycznej skrajnie negatywnie oceniam działania ministra Jacka Cichockiego, całej ABW, działania ministra Sławomira Nowaka i jego nadzoru, tego, co działa się w Urzędzie Lotnictwa Cywilnego. Bardzo źle oceniam też pracę prokuratury. Oczywiście, że w przypadku szefów tych instytucji dość trudno jest mówić o odpowiedzialności karnej, bo jako prawnik wiem, że aby taka odpowiedzialność mogła być przypisana, muszą być wszystkie przesłanki spełnione. Jednak odpowie-

dzialność polityczna na pewno po stronie tych osób leży.

I co dalej? Trybunał Stanu? W jednym z wywiadów mówiła pani, że nie da się tego wykluczyć.

Ani tego nie wykluczam, ani nie przesądzam. Po każdym posiedzeniu mamy posiedzenie zamknięte, na którym ustalamy, kto może ponieść taką odpowiedzialność. I proszę mi uwierzyć, że w 99,7 proc. te wnioski są wspólne. Tak samo będzie po zakończeniu prac

W sprawie Amber Gold od strony politycznej skrajnie negatywnie oceniam działania ministra Jacka Cichockiego, całej ABW, ministra Sławomira Nowaka. Bardzo źle oceniam też pracę prokuratury

komisji. Oczywiście mogę sobie wyobrazić, że będzie tu więcej emocji i polityki, zwłaszcza ze strony posłów partii opozycyjnych, ale do tej pory prawie zawsze byliśmy zgodni.

Komisja ds. Amber Gold miała być bombą, która pogrąży Platformę Obywatelską, tymczasem mamy żmudną pracę, setki długich przesłuchań i w sumie dość mało polityki.

To była moja świadoma decyzja, by obrać taką, a nie inną drogę. Przy tak ogromnej sprawie miałam do wyboru dwie możliwości: albo zrobimy fajerwerki i show – krótko, szybko i tak by przyciągnąć uwagę mediów – albo uczciwie i bardzo powoli wyjaśnimy tę sprawę. Zdawałam sobie sprawę, że takie wyjaśnianie może w pewnym momencie doprowadzić do tego, że opinia publiczna nie będzie tym zainteresowana. Tylko że ja umówiłam się z Polakami, a także ze swoimi przełożonymi, że mam tę sprawę wyjaśnić uczciwie, rzetelnie, do samego spodu. Nie chciałam zbijać na tym kapitału politycznego ani robić show. Wydaje mi się, że wiele osób, gdy ta komisja powstawała, nie zdawało sobie sprawy z ogromu materiałów i wielkości tej sprawy.

A ze strony partii nie było uwag, by komisja działała szybciej albo bardziej medialnie?

Nigdy ze strony kierownictwa partii nie dostałam takich sugestii. Usłyszałam za to kilka ciepłych i dobrych słów, że komisja jest profesjonalnie prowadzona. Nigdy nie padło polecenie, kogo wezwać, kogo nie wzywać, albo żeby coś zrobić tak, a nie inaczej.

W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” powiedziała pani, że w kampanii chciałyby pokazać, że „nie jest taka, jaką pokazuje ją media”. To jaka jest Małgorzata Wassermann?

Normalna!!! Żyjąca jak każdy człowiek, śmiejąca się, bawiąca, pracująca, jeżdżąca na wakacje. Mam mniejsze i większe problemy, lepsze i gorsze dni. Mam mnóstwo zainteresowań pozawodowych. Nie mam jednak potrzeby pokazywania przed kamerami prywatnej Małgorzaty Wassermann.

Państwo znają mnie z mojej pracy i z tego powinniście mnie znać. Co nie znaczy, że mam tylko taką twarz: osoby, która na komisji przesłuchuje innych i zawsze jest poważna i smutna. Chciałabym, aby dotarło do opinii publicznej, że jestem normalną kobietą, ale też chcę wyraźnie zaznaczyć, że nigdy dla celów wyborczych nie dopuszczę, by kamery weszły do mojego domu i mojej rodziny.

W kampanii dla ocieplenia wizerunku politycy robią różne rzeczy.

I często to tworzenie fałszywego obrazu. Uważam, że w polityce chodzi o to, czy ktoś jest pracowity, czy jest uczciwy, czy robi to, do czego się zobowiązał wobec wyborców. Mam nadzieję, że w moim przypadku widać efekty pracy, którą wykonuję sumiennie. I z tego chciałam być rozliczana. A nie z tego, czy dam się sfotografować, np. jak gotuję u siebie w domu, czy jak ćwiczę na siłowni. To byłoby niezgodne z moim charakterem i zasadami, które sobie wypracowałam i których za żadną cenę nie złamię.

To nie tylko kwestia bycia córką posła trzech kadencji i obserwowania z boku, jak wygląda poważna polityka. To też kwestia moich życiowych zasad i doświadczenia. Nie jestem osobą, która dąży do celu po trupach i za wszelką cenę. Dla mnie najważniejsze jest, bym codziennie rano patrząc w lustro, miała poczucie, że postępuję uczciwie i sprawiedliwie. Mam nadzieję, że wyborcy to zrozumieją i docenią. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Czas czarnych ptaków



Łukasz Zboralski

**Nad dachami polskich miast krążą już często tylko wrony.
Wyparły inne ptaki. I sami to im umożliwiliśmy.
A to nie koniec, bo po nich nadlecą kruki**

Pamiętają państwo jeszcze śpiew kosa albo pogwizdywanie szpaka? A zwykłe ćwierkanie wróbli? W wielu miastach Polski te przyjemne dla mieszkańców odgłosy to już daleka przeszłość. Na drzewach wokół

naszych domów i bloków widać głównie czerni i szarość. A słyszeć krakanie. To wrony. Są cwane, drapieżne i przejmują nawet te terytoria, które wcześniej zagospodarowały sobie inne krukowate – sroki.

Mieszkańcy stolicy zastanawiają się, dlaczego nie widują już innych ptaków, które jeszcze 10–20 lat temu przysiadają na drzewach i parkanach na ich osiedlach. A w okresie lęgowym zdarza się, że i ludzie są przez te ptaki atakowani. Podziobani przez wrony zgłaszali się do mediów i w tym roku w maju.

Doktor Andrzej Kruszewicz, ornitolog i dyrektor zoo w Warszawie, zauważył, że nie jest to zjawisko dotyczące tylko ostatniej dekady, a miejska inwazja wron zaczęła się dużo wcześniej. – Obserwujemy to od lat 70. albo nawet jeszcze dłużej – mówi. Dlaczego akurat te ptaki zajmują miejsce innych w miastach? – Wrony to



dr hab. Grzegorz Lesiński z SGGW prowadzi ornitologiczny monitoring. Z tych obserwacji wiadomo, że w latach 80. i 90. teren podbijała sroka. Na początku lat dwutysięcznych zaczęły się tam pojawiać wrony. I szybko zajęły ich miejsce. Dzisiaj jest tam jedna trzecia liczby srok sprzed dekad, rządzi wrona z zagęszczeniem występowania 60 par na 100 ha.

– Faktycznie, wrona siwa jest bardzo liczna w Warszawie i w innych miastach tak dużo jej nie ma, a są nawet takie, gdzie jest rzadka – mówi Krzysztof Janus, który w pracy naukowej w SGGW skupił się właśnie na ptakach krukowatych. Dlaczego? – O, gdybym znał prostą odpowiedź, to swój doktorat miałbym już z głowy! – śmieje się badacz. – Jednak poważnie mówiąc, to złożyło się na to zapewne wiele różnych czynników. Nie bez znaczenia jest na pewno sposób gospodarowania zielenią. Preferowane są gatunki ozdobne i nierodzące. Często są to jakieś iglaki. Brakuje żywopłotów, zagajników, zarośli.

Na te same przyczyny wskazuje dr Kruszewicz: – W parkach powycinano różne skupiska krzewów, żeby nie chowali się w nich zboczeńcy. No a jak zboczeniec się tam już nie schowa, to nie schowają się także pokrzewka czy kos. Brakuje takich skupisk krzewów dla ptactwa. Przekształcamy świat wokół siebie i to skutkuje tym, że jedne ptaki się wycofują, a takie jak wrony radzą sobie świetnie. Ostatnio do miast wchodzi też sójki, coraz więcej jest też kruków, więc prawdopodobnie kruki posprzątają...

KOSOM, ŚMIERĆ

Nowe osiedla, które wokół

budynków mają tylko

wypiełgnowane traw-

niki i kilka ozdobnych drzew,

to nie miejsca dla ptaków, które mogłyby się skryć i założyć otwarte gniazda. Za to są idealnymi miejscami dla srok czy wron.

Jednak nie tylko to, jaką zielenią się otaczamy, utorowało wronom drogę do zagarnięcia miejskich przestrzeni. Chodzi także o to, jak o nią dbamy. Produkujemy wiele odpadów, śmieci są wszędzie i ptaki mają łatwy dostęp do takiego pokarmu.

W stolicy jest jeszcze trzeci problem. To bardzo duża liczba kotów i kun

oportuniści, są cwane, lepiej sobie radzą w mieście, no i oczywiście zjadają także inne ptaki – tłumaczy. – Miasto przestaje sprzyjać innym gatunkom, a krukowate są lepiej do nowej sytuacji przystosowane i lepiej sobie radzą. To wina człowieka, który w mieście narozrabia.

WYKRAKANA STOLICA

Zwiększająca się liczba wron niepokoi mieszkańców wielu miejscowości nie od dziś. „Co powiecie na temat naszego dobrzyńskiego rynku? Wydaje mi się, że został całkowicie opanowany przez te czarne skrzeczące ptaszyska. Ławki w parku, alejki przyległe wokół parku

i parkingi to jedna wielka ptasia kupa. No i ten złowieszczy skrzek tych ptaków rano i wieczorem – jak na jakimś cmentarzysku” – pisał kilka lat temu na miejskim forum jeden z mieszkańców Gólibia-Dobrzynia.

Eksperci wskazują jednak, że największy szturm wrony przypuściły na polską stolicę. Według danych ornitologów takiego zagęszczenia wron nie ma w żadnym innym mieście. Chociaż jeszcze niedawno w stolicy notowano najwyższe na świecie zagęszczenie sroki. Ta musiała ustąpić pola silniejszej krewnej.

Dobrym przykładem jest warszawskie osiedle Wrzeciono, na którym od 1984 r.

domowych. Dla nich ptasie jaja i młode pisklaki to też łatwy łup.

Ekspansja wron oznacza wypieranie innych gatunków, które chętnie gniazdowały w miastach. Które z nich giną? – Ptaki możemy generalnie podzielić na dziuplaki, czyli takie, które budują gniazda w dziuplach czy w szczelinach budynków oraz skrzynkach lęgowych. To są też tzw. dziuplaki wtórne, bo te pierwotne to np. dzięcioły, które same wykuwają dziuple. A są ptaki, które korzystają już z gotowych dziupli czy takich miejsc w budynkach. Oprócz nich są też ptaki, które budują gniazda otwarte. Zakładają je na drzewach, czasami też na budynkach – tłumaczy Krzysztof Janus. – No i w Warszawie z tą nienormalną sytuacją ornitologiczną, czyli takim zagęszczeniem ptaków krukowatych, radzą sobie jeszcze te dziuplaki. Bo krukowate mają utrudniony dostęp do lęgów. To są wróble, mazurki, szpaki, języki, sikory, muchołówki. Chociaż też nie jesteśmy pewni, co się z nimi do końca dzieje. Na pewno udaje im się wysiedzieć jaja do momentu wyklucia się piskląt i etapu podlotów – młodych ptaków, które opuszczają gniazda. Jednak co z tymi młodymi ptakami dalej się dzieje, nie wiadomo. Niewiele mam stwierdzeń takich młodych wróbli, mazurków, szpaków i sikor. Podejrzewam, że część z nich pada ofiarą m.in. kosy Skierniewiczych.

W Łodzi czy Skierniewicach, gdzie wron i srok jest mało, oko i ucho mieszkańców cieszy dużo bardziej zróżnicowana gromada ptaków. W Skierniewicach jest wiele gatunków budujących otwarte gniazda – szczygły, dzwońce, zięby, drozdy, kosy, kwiczoły, sierpówki, grzywacze. – W stolicy już tych gatunków nie ma – zauważa Janus. – Ludzie się dziwią, bo gdzieś jeszcze te kosy słyszą, ale już prawie tylko w miejskich parkach, zieleńcach, przy cmentarzach. W terenie zabudowanym w osiedlach bardzo trudno znaleźć już kosa, a ekstremalnie trudno znaleźć gniazdo kosa z młodymi. Czasem widuję jeszcze po prostu stare, puste gniazda.

Badacz wskazuje, że od 2007 r. w stolicy w obszarach zabudowy znalazł zaledwie kilka gniazd z lęgami ptaków budujących gniazda otwarte. Była to m.in. para grzywaczy, która wysiadywała jaja, ale po kilku dniach i to gniazdo zniknęło.

W stolicy były też kiedyś gniazdujące na ziemi dzierlatki. Od lat 80. miały się

w Warszawie całkiem nieźle. Jednak kiedy w latach 90. pojawiało się coraz więcej srok, to dzierlatek ubywało. Ostatnią parę widziano w 2005 r. Od tego czasu tych ptaków w stolicy nie zaobserwowano.

WYDZIOBANE MŁODE

Dla ekspertów oczywiste jest to, że wrony zjadają inne ptaki i niszczą ich gniazda. Daje się to potwierdzić za pomocą sztucznych gniazd, do których wkłada się jaja przepiórcze i jedno wykonane z plasteliny. Na nim potem widać, czyim padły łupem – czy to była kuna, czy ptak krukowaty.

Wiadomo też, że wrony czy sroki nie zawsze plądrują gniazda innych ptaków,



Wrony plądrują gniazda innych ptaków, dlatego tam, gdzie jest ich wiele, przestają gniazdować m.in. kosy. FOT. FOTOLIA

by się najeść. Czasem nawet nie zjadają piskląt, które zadziobią bądź wyrzucą z gniazda.

– Mam kilka obserwacji plądrowania wrony u innych gatunków. Widziałem, jak wrona zabierała jaja z gniazda sroki do zjedzenia poza nim – opowiada Janus. – Widziałem też, jak napadła na młode pisklę sierpówki, zadziobiła je i częściowo zjadła. Zdarza się też, że wrona zapoluje na dużego gołębia miejskiego. Potrafi go zabić i też częściowo zjeść. To jest padlinożerca, więc jak znajdzie rozjechanego jeża, to też go sobie zje. To kaloryczne białko, które potrzebne jest im szczególnie przy wychowie piskląt. Korzysta zatem z łatwo dostępnych lęgów ptaków gniazdujących w otwartych gniazdach.

Doktor Andrzej Kruszewicz zauważa, że inwazja wron w miastach nie jest zjawiskiem dotyczącym wyłącznie Polski. – Jest tak w wielu miastach – mówi. – W Wiedniu jest wiele wron, choć akurat tam są wrony czarne, a nie siwe.

Tak samo jest w Moskwie, w Berlinie – wylicza.

CIEMNA PRZYSZŁOŚĆ

Miasto to nie jest naturalne środowisko. A wielu ludzi wolałoby mieszkać nie tylko wśród wron. Eksperci nie pozo- stawiają jednak złudzeń – ich zdaniem nie ma szans na szybką zmianę. Przenoszenie ptaków czy niszczenie wronich gniazd poza okresem lęgowym, a nawet odstrzał nie miałyby ich zdaniem sensu. Dopóki bowiem warunki sprzyjać będą krukowatym, dopóty one wciąż będą się pojawiać w miastach i siłą przejmować teren innych ptaków.

– Można sobie poteoretyzować, ale to są niewykonalne rzeczy – uważa dr Kruszewicz. – Kiedyś podsuwałem np. pomysł, żeby podmieniać wronom jajka na ugotowane, ale to by wymagało ogromnej dyscypliny, zawarcia umowy z różnymi podmiotami, które miałyby m.in. podnośniki, żeby do tych gniazd mieć dostęp. Byłyby to ogromne koszty i trzeba by to było robić przez wiele lat.

Jaka jest więc recepta? Zdaniem badaczy – cierpliwie czekać. Na przykład na powrót ostrych zim, które też zawsze wrony z miast wyganiały. Generalnie trzeba nastawić się na lata krakania. A do tego czasu można za to się zastanowić, jak gospodarować śmieciami. Gdy będzie mniej łatwego jedzenia dla wron, to będzie im trudniej.

– Odłowy i wyłapywanie nie przyniosą rezultatu, tych wron jest już tyle, że na miejsca odłowionych natychmiast pojawią się kolejne pary. W Warszawie jest np. mnóstwo wron niełgowych, czyli takich, które tu są, ale już nie mają miejsca na zakładanie gniazd – mówi Krzysztof Janus. – Swoje zrobi czas. Każdy gatunek ma pewną dynamikę, która powoduje, że w pewnych okresach jest liczny, a potem samoczynnie lub ze względu na inne czynniki, których nawet nie zauważamy, zmniejsza swoją liczebność – tłumaczy.

Wydaje się też, że dobrym pomysłem będzie pokochanie pewnego nieładu w zieleni. Może krzaki nie są takie złe i nie cała roślinność musi wyglądać tak, jakby wyszła prosto spod nożyc ogrodnika? Zanim posadzimy inną roślinność i zanim ona uchroni na tyle, by w swej zieleni dać schronienie kosom czy drozdom, musimy znosić krakanie. To potrwa – niestety – kilka ładnych lat. Chyba że w miastach nie zmieni się nic, ale lepiej tego nie wykrakać... © Wszelkie prawa zastrzeżone

Muzykami nie jesteśmy, ale...

GRAMY NAJLEPIEJ W POLSCE

Trójka
POLSKIE RADIO





Piotr Gociek

Amerykański gigant streamingowy wybrał smutną odpowiedź na swoje ostatnie wizerunkowe kłopoty. To ideologiczne wzmocnienie

Opopularnym serwisie streamingowym mówi się ostatnio dużo, ale w sposób, który spędza sen z powiek jego specjalistom od PR. Wiadomość sprzed kilku dni: Netflix zwolnił jednego z ważnych menedżerów Jonathana Friedlanda, ponieważ dwukrotnie użył słowa „nigger” („czarnuch”), które choć częste w ustach czarnych mieszkańców USA, uważane jest za skrajnie obraźliwe, gdy wypowiada je biały. W celu poprawienia wizerunku Netflix odpalił reklamówkę „A Great Day in Hollywood”, w której chwali się kilkudziesięcioma czarnoskórymi twórcami, którzy znaleźli zajęcie w jego produkcjach.

Wiadomość sprzed dwóch tygodni: Netflix w ramach walki z molestowaniem seksualnym wprowadza nowe zasady zachowania na planie filmowym. Nie można patrzeć na siebie dłużej niż pięć sekund, flirtować, prosić o prywatne numery telefonów, mieć tylko nadzieję, że zasada „pięciu sekund” nie obowiązuje spojrzeń okiem kamery, bo inaczej trzeba będzie wszystkie filmy montować z czterosekundowych scen. Wiadomość sprzed miesiąca: konserwatyści w USA nawołują do bojkotu Netflix’a po tym, jak firma ogłosiła podpisanie wielkiej, wieloletniej umowy z Michelle i Barackiem Obamami. Spektrum współpracy jest zadziwiająco szerokie, takie, o jakim nie mogliby marzyć nawet najbardziej rozchwytywany aktor czy reżyser świata. Państwo Obamowie mają bowiem dla Netflix’a robić wszystko: talk-show, filmy, seriale, dokumenty. Mam nadzieję, że nie patrząc na innych dłużej niż przez pięć sekund.

„Zasada pięciu sekund” to coś więcej niż dołączenie przez Netflix’a do ruchu #MeToo, to odpowiedź na własne problemy. Także w Polsce głośno było o tym, jak po oskarżeniach o molestowanie seksualne rolę w serialu „House of Cards” stracił Kevin Spacey. Mniej słyszeliśmy o innym skandalu – z serialu komedio-



wego „Ranczo” wyrzucony został Danny Masterson, aktor znany m.in. z sitcomu „Różowe lata 70.”. Powód? Oskarżenie o gwałt. Stanowczość działań nie dziwi, Netflix chwali się 125 mln użytkowników na całym świecie (nie ujawnia, ilu ich jest w Polsce), firma ma więc sporo do stracenia.

Hałas wokół kontraktu z byłą parą prezydencką to z kolei coś więcej niż tylko okazja do gniewnych pomruków zwolenników Donalda Trumpa. To okazja do dyskusji nad kilkoma tematami. Gdzie jest granica między rozrywką a perswazją? Czy widzowie o konserwatywnych poglądach są dyskryminowani albo w najlepszym przypadku pomijani? Jak w kulturowej wojnie wygląda dziś rola tak znaczącego jak Netflix pośrednika między twórcą a widzem?

Najłatwiej odpowiedzieć na ostatnie pytanie. Tak, doświadczenia ostatnich miesięcy i lat pokazują, że rośnie rola pośredników, których reszta coraz trudniej pominąć. Możesz uruchomić nowy kanał telewizyjny – ale nie dotrzesz z nim do nikogo, jeśli nie znajdziesz chętnych do włączenia go do oferty sieci kablowej albo platformy cyfrowej. Możesz wyczyniać cuda na Facebooku czy YouTube, pisać najbardziej błyskotliwe i zabawne teksty, wzbudzać dyskusje kontrowersyjnymi tezami i ściągać tysiące obserwujących, ale w każdej chwili możesz paść ofiarą cenzury. Wystarczy odpowiednia liczba zgłoszeń od osób, które czują się urażone – i ciach, masz zablokowane konto. Dożyliśmy bowiem czasów, w których powszechnie stosowaną metodą roz-



W celu poprawienia wizerunku Netflix odpalił reklamówkę „A Great Day in Hollywood” FOT. NETFLIX

nikowi do obejrzenia. Każdy abonent Netflixu zaznajomiony jest z informacjami, które objaśniają, że ludzie, którzy oglądali film lub serial X, wybrali także film Y. I z paskiem „rekomendacja dla ciebie”, który powstaje na podstawie listy filmów i seriali, które wcześniej wybieraliśmy. Mało kto wie jednak, jak bardzo te podpowiedzi sterują zawartością tego, co wyświetla się na stronie wyboru, tej podstawowej bramce wejściowej do oferty Netflixu.

Najprościej mówiąc, jeśli obejrzałeś na początku swej przygody z serwisem kilka produkcji fantastycznych, algorytm będzie proponował ci kolejne, kosztem komedii czy westernów. Im bardziej będziesz korzystał z tych podpowiedzi, tym bardziej będziesz zamykany w szufladce „typowy zjadacz tego czy tamtego”. Doprowadza to do sytuacji, w której nie masz zielonego pojęcia o tym, że w ofercie pojawiły się propozycje z zupełnie innej bajki. Są dla ciebie niewidzialne, póki sam ich nie wyszukasz. Sam pewnego razu przeprowadziłem eksperyment, przeszukując bazę Netflixu na rozmaite sposoby za pomocą mniej komercyjnych haseł. Po wpisaniu „Fellini” nie znalazłem co prawda żadnych filmów włoskiego czarodzieja kina, ale odkryłem, że Netflix oferuje do obejrzenia „Ojca chrzestnego”, „Okruchy dnia”, „Śniadanie u Tiffany’ego” czy „Między słowami”, czyli produkcje, których nie rekomenduje między „Star Trekiem” a „House of Cards”. Wpisanie hasła „Polański” nie zaowocowało „Dzieckiem Rosemary” czy „Pianistą”, ale umożliwiło mi wydobyć z otchłani Netflixu „Zapachu kobiety”, „Konesera” i „Lektora”.

W roku 2016 na łamach „Marie Claire” ukazał się zresztą artykuł April Joyner, sporo piszącej do nowojorskiej prasy i dla internetowych tytułów, w którym zastanawiała się, na ile algorytm Netflixu jest rasistowski. Okazją do rozważań była kategoria „African American movies”. Autorka ucieszyła się, że po obejrzeniu kilku takich produkcji system stworzył dla niej właśnie taką ścieżkę podpowiedzi, ale jednocześnie lamentowała, że dorobek takich twórców jest ukryty, to znaczy porozrzucany po innych kategoriach, i nie wychodzi na jaw, póki widz nie okaże wyraźnego zainteresowania taką niszą: czyż to nie rasistowskie? Sprawa ciekawa, bo pokazuje schizofrenię działaczy na rzecz równouprawnienia: czego właściwie chcą? Jeśli równego

traktowania, to przecież najzdrowsza jest właśnie sytuacja, w której gatunek/podgatunek oraz popularność filmu, a nie rasa jego twórcy decyduje o tym, gdzie go znaleźć. Jeśli stygmatyzacji, to tworzenie „separatystycznych” kategorii jest ku temu dobrą drogą. Moim zdaniem chodzi po prostu o afirmację i wyróżnienie, czyli debatę na temat tego, jak po latach „opresji białych” docenić, dopieścić i wyeksponować mniejszości.

Na razie chyba wszystko działa jak wcześniej, przynajmniej w polskiej końcówce Netflixu. Podczas pisania tego tekstu sprawdziłem, co serwis podpowie mi, kiedy w wyszukiwarkę wpiszę „Mudbound”. To tytuł filmu, który Netflix kupił w ubiegłym roku na wyłączność, a który mówi o rasizmie na amerykańskiej prowincji po zakończeniu II wojny światowej. Nakręcony przez ciemnoskórą reżyser, z gwiazdą R’n’B Mary J. Blige w jednej z ról, był nominowany do Oscara w czterech kategoriach. Algorytm zadziałał bez rasowych dodatków. Netflix podpowiedział mi co prawda w pierwszej kolejności film „Beasts of No Nation”, czyli opowieść o dziecięcych żołnierzach w Afryce, ale także ekranizację prozy Kinga „1922” (domyślam się, że z powodu miejsca akcji – też prowincja) czy film „Najpierw zabili mojego ojca” o okrucieństwach Czerwonych Khmerów w Kambodży.

Od wyczynów algorytmów ważniejsze jest oczywiście co innego – polityka produkcyjna i dystrybucyjna. Ten problem jest oczywiście większy niż Netflix. O liberalnym (po amerykańsku, czyli po naszymu – lewicowym) Hollywood można by napisać osobną książkę. Kilka zresztą powstało, jak choćby niewydana w Polsce niestety „Primetime Propaganda: The True Hollywood Story of How the Left Took Over Your TV” Bena Shapiro.

OSWAJANIE

Kiedyś, jeszcze na łamach oryginalnego „Uważam Rze”, przyglądałem się w jednym z tekstów „oswajaniu” i podkolorowywaniu związków homoseksualnych na przykładzie popularnych seriali telewizyjnych. Wówczas dominującym trendem było przedstawianie takich par jedнопłciowych jako idealnych rodziców, bo na tapcie było propagowanie adopcji dzieci w ich wykonaniu. Dzisiaj sprawy poszły jeszcze dalej. Z kina czy telewizji dowiadujemy się, że bohaterowie znani dotąd jako hetero tak naprawdę byli

strzygania sporów światopoglądowych jest nie debata, ale żądanie zakneblowania przeciwnika.

Kto rządzi w tym świecie? Nie ten, kto produkuje przekaz, ale ten, kto pośredniczy w dostarczaniu treści do użytkownika. Kto ma w ręku światłowód, ten ma władzę. Od niego może zależeć, co ostatecznie pojawi się na ekranie twojego telewizora, tabletu, smartfonu.

ALGORYTM NETFLIXA

W przypadku takiego giganta streamingu, jakim jest Netflix, nakładają się na siebie dwa problemy. Pierwszy nazywałbym „technicznym”, choć oczywiście przekłada się jak najbardziej na kwestie merytoryczne. Chodzi o osławiony algorytm Netflixu, który decyduje o tym, jakie produkcje podpowiedzieć użytkownikowi.

■ homoseksualistami. Na przykład słynny pirat Flint w serialu „Black Sails” (u nas znanym jako „Piraci”) czy porucznik Sulu w nowych kinowych „Star Trekach”. Wątki homoseksualne (i odpowiednie do tego sceny seksu) zostały dopisane przez scenarzystów do serialu „Gra o tron” – w literackim oryginale ich nie było.

Czy to znaczy, że wszyscy w obrazkowym show-biznesie z rozkoszą zamienili się w propagandystów spod flagi LGBT? Większość nie musiała się zamieniać, bo jak sądzić, po prostu ma takie poglądy. Ci, którzy pałają mniejszym entuzjazmem, wiedzą, że warto dla świętego spokoju odpowiednie dopiski w scenariuszach uczynić. Lobby homoseksualne jest świetnie zorganizowane i bardzo skuteczne, jeśli chodzi o robienie hałasu wokół wszystkich uznanych za „wrogów sprawy”. Nie zmienia to faktu, że to ogon merda psem, a nie odwrotnie. Wspiera na przez wpływowe media i większość elit politycznych mniejszość skutecznie zmienia obraz popkultury.

No dobrze, ale poza tym wszystkim, poza politpoprawną bańką istnieje jeszcze rzeczywistość, żyją ludzie, którzy mają odmienne światopoglądy i co więcej, mają swoje dolary, funty czy złotówki do wydania. Co z nimi? Przecież w jednych krajach to większość, w innych połowa, w jeszcze innych nieznaczna mniejszość (świat mediów nigdzie nie oddaje tego rozkładu poglądów, wszędzie jest przechył na lewo). Tam, gdzie w grę wchodzi naprawdę duże pieniądze, wygrywa zdrowa kalkulacja i opisany wyżej proces trwa dużo wolniej. Wielkie superprodukcje (od komiksowych hitów Marvela po „Gwiezdne wojny”) trzymają się od spraw obyczajowych z dala, ograniczając na razie do celebrowania nowych bohaterów o odmiennym od białego kolorze skóry oraz przywiązywaniu coraz większej wagi do silnych postaci kobiecych.

„SENSE8” VS „RANCZO”

Netflix odebrał niedawno bolesną lekcję. Po dwóch sezonach przerwał produkcję jednego ze swoich najdroższych seriali, czyli „Sense8”, w którym każdy odcinek kosztował ok. 9 mln dol. Był to jednocześnie jeden z najbardziej wychwalanych przez wspólnotę LGBT seriali, reżyserowany przez rodzeństwo Wachowskich (twórców „Matrixa”), niegdyś mężczyzn, dziś kobiet, po operacjach, zmieniających płeć na żeńską. „Sense8”, choć udawał filozoficzną scien-

ce fiction okazał się nadętą chałwą skierowaną przede wszystkim do środowisk gejowskich i transgender. Oglądalność była jednak tak mała, że Netflix wyciągnął wtyczkę.

Co ciekawe, mniej więcej w tym samym czasie amerykański gigant wstydliwie przyznał, że jednym z najchętniej oglądanych seriali w serwisie jest sitcom „Ranczo”, na którym krytycy w większości nie zostawili suchej nitki, uznając go za zbyt wtórny i konserwatywny. „Ranczo” to opowieść o farmerach z małego miasteczka w Kolorado, którzy lubią piwo, strzelby, steki i muzykę country, a w telewizji wybierają futbol. Nie ma w nim żadnych gejów, są za to ładne, sympatyczne, biuściaste dziewczęta, nie najmądrzejsi chłopcy i wielu ludzi dobrej roboty, którzy harują od świtu do nocy, żeby związać koniec z końcem. Kiedy

Wątki homoseksualne (i odpowiednie do tego sceny seksu) zostały dopisane przez scenarzystów do serialu „Gra o tron” – w literackim oryginale ich nie było

dziewczyna głównego bohatera zachodzi w ciążę, myśli przez chwilę o aborcji, ale oczywiście decyduje się urodzić dziecko. A wszyscy wokół powtarzają, że rodzina jest najważniejsza. Normalna rodzina.

Sukces staromodnego „Rancza”, podobnie jak świetne wyniki oglądalności wskrzeszonego po latach sitcomu „Roseanne” w sieci ABC (skasowanego niedawno po rasistowskim tweecie aktorki grającej główną bohaterkę), pokazuje, że istnieje życie poza liberalnym Hollywood. A przecież obydwie produkcje wykipiwały swoich bohaterów. Tyle że robią to delikatnie i z sercem, pokazując ich jako normalnych ludzi. Jedną z bohaterek „Rancza” traci pracę, bo rząd zamyka miejscową szkołę. Mąż Roseanne (gra go John Goodman), prowadzący małą firmę remontową, nie może sprostać konkurencji sięgającej po nielegalnych imigrantów jako tanią siłę roboczą. To problemy dużo bliższe milionom Amerykanów niż rozważania, z jakimi hasłami powinny maszerować ulicami miast w tym roku Parady Równości.

Zatem panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek? Nie do końca, ogarków mamy całe morze, a „Ranczo” to w Netflixie specyficzny wyjątek. Rzecz można listek figowy. Dużo bliżej „ideologicznej średniej” serwisu lokuje się miniserial współprodukowany przez Netflix z BBC. Czyli kryminał „Collateral”, w którym na biednych imigrantów (oczywiście głównie kobiety, dzieci i kobiety w ciąży – co jak wiadomo, niewiele ma wspólnego z przeciętnym portretem nielegalnego imigranta) czyhają wstrętne angielscy policjanci, wstrętne angielskie służby i chciwi angielscy kapitaliści (to oni, wedle twórców, organizują przemysł ludzi).

ALLA POLACCA

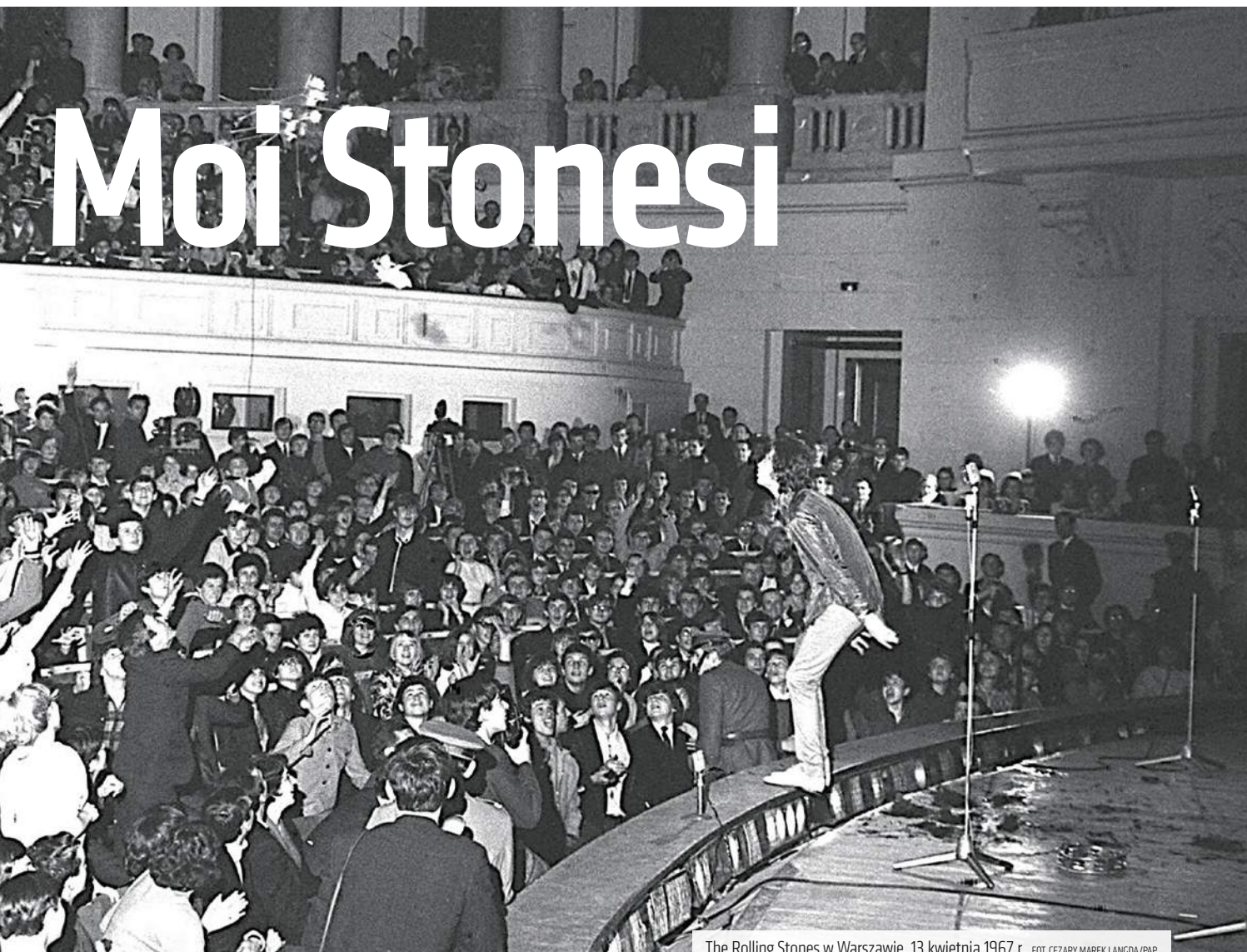
Z lekkim i zrozumiałym niepokojem czekam więc na produkcję Netflixu skierowaną na rynek polski i robione rękami polskich twórców. W końcu polską „ideologiczną średnią” wyznaczają Paweł Pawlikowski, Krystyna Janda i Agnieszka Holland, a nie na przykład Wojciech Tomczyk. To właśnie Holland (która reżyserowała dla Netflixu niektóre odcinki „House of Cards”) pracuje właśnie nad pierwszą polskojęzyczną propozycją amerykańskiego giganta. Jest to serial zatytułowany „1983”.

Ma być to historia alternatywna, w której inaczej potoczyły się losy zimnej wojny – Związek Sowiecki nie upadł i wciąż istnieje w roku 2003. Jedno zdanie z opisu fabuły lekko mnie zmroziło: „Po dwóch dekadach pokoju i dobrobytu przywódcy reżimu wcielają w życie tajny plan”. Hm, pokoju i dobrobytu... Cóż, jeśli amerykańscy producenci tak wyobrażają sobie alternatywne losy komunizmu w Polsce, to znaczy, że możemy spodziewać się naprawdę wszystkiego. A jeśli się weźmie pod uwagę, że Agnieszka Holland w kwestii oceny politycznych wydarzeń w Polsce od dawna znajduje się w rzeczywistości alternatywnej, to nie zdziwiłbym się, gdyby komunistyczny alternatywny reżim miał twarz „alternatywnych” Orbána i Kaczyńskiego. Zwłaszcza że drogę już wskazali producenci serialu „Homeland”, którzy w ostatnim odcinku siódmego sezonu serii kazali amerykańskiej prezydent lamentować, że w Turcji, Polsce, Nikaragui, na Węgrzech i Filipinach demokracja właśnie umiera.

Jeśli takie są trendy, to pytanie o to, jaką drogę wybierze dalej Netflix, jest już bezzasadne. Trudniejsze pytanie brzmi: Co można zrobić w odpowiedzi?

© 2018 Wszystkie prawa zastrzeżone

Moi Stonesi



The Rolling Stones w Warszawie, 13 kwietnia 1967 r. FOT. CEZARY MAREK LANGDA/PAP



Krzysztof Masłoń

8 lipca na Stadionie Narodowym w Warszawie po raz czwarty zobaczę Rolling Stonesów. Nie byłem na żadnym ich koncercie za granicą, zaliczyłem za to wszystkie polskie. Włącznie z tym z 13 kwietnia 1967 r. (tym wcześniejszym, były dwa). Nie miałem jeszcze wtedy skończonych 14 lat

Na ich następny koncert w Polsce czekałem 31 lat. 14 sierpnia 1998 r. w Chorzowie, na Stadionie Śląskim, oglądałem ich z żoną i córkami. Taki rodzinny odbiór kompletnie kłócił się z wizją rockandrollowego buntu, który przez te wszystkie lata niosła muzyka Jaggera, Richardsa and Co., ale po pierwsze – Stonesi funkcjonowali już jako matuzalemowie rocka, a po drugie – chciałem unaocznić najbliższemu, co

pokochałem kiedyś i czemu pozostałem wierny. Co w jakiejś mierze mi się udało.

Ten trzeci, znów warszawski koncert – na Wyścigach na Służewcu – zaliczyłem 25 lipca 2007 r., w swoje imieniny; to był wymarzony prezent. Prawdę mówiąc, już wtedy miałem nadzieję, że przynajmniej raz jeszcze zobaczę Stonesów w Polsce. I to się teraz urzeczywistnia: Keith Richards w grudniu skończy 75 lat, Charlie Watts ma lat 77, Ronnie Wood (małolat

w tym gronie) – 71, Mick Jagger 26 lipca obchodzić będzie 75. urodziny. Ten ostatni w sierpniu 1972 r. zapowiadał: „Skończę karierę, jak będę miał 33 lata. [...] Nie chcę być przez całe życie gwiazdą rocka. Nie potrafiłbym skończyć tak jak Elvis Presley i śpiewać przed starymi gospodyniemi w kasynach Las Vegas. To coś okropnego”. To prawda. Jednak po co się pchać do domów gry w Vegas?

INTERNACJONAL ROCK'N'ROLLA

Z pewnością nie byłem ani nie jestem żadnym wyjątkowym fanem Stonesów. Nie pojechałem np. jak niektórzy moi znajomi w 1990 r. do Pragi, gdzie 18 sierpnia na jednym z największych stadionów świata, na Strahovie, zespół zagrał dla ponad 100 tys. ludzi. Niemal dokładnie w 22. rocznicę agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Stonesów podjął w zamku na Hradczach-

■ nach prezydent Václav Havel z żoną Olgą, wcześniej wybrali się wspólnie na piwo. Na cokole pod wielkim pomnikiem Stalina widniał Stonesowy jeźor, a Pragę zdobyły transparenty z napisem: „Tanks are rolling out, the Stones are rolling in”, co podobało się znacznie bardziej niż znane aż do bólu zapewnienia o tym, że nasi południowi sąsiedzi pozostaną „se Sovětským svazem na věčné časy” („ze Związkiem Sowieckim na wieczne czasy”).

Tamtej absencji żałowałem, dobrze się natomiast stało, że nie wpadło mi do głowy wybrać się grubo wcześniej, bo w 1969 r. do Berlina. Wschodniego, wschodniego. Historia nie jest powszechnie znana, więc ją tu przytoczę. Na, jak się miało okazać, nie najmądrzejszy pomysł rozpowszechnienia w eterze nieprawdziwej informacji o koncercie R-S przy berlińskim murze wpadł niejaki Kai Bloemer z zachodnio-niemieckiej, ale powszechnie słuchanej i w NRD, radiostacji Rias. Powiedział on, że 7 października, w 20. rocznicę powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Stonesi zagrają na dachu wieżowca Springera usytuowanego tuż obok muru. Co prawda, żartowniś zdementował swoje „info” pod koniec audycji, ale wieść się rozniosła i feralnego dnia po wschodniej stronie muru zgromadziło się kilka tysięcy młodych ludzi (różne dane mówią o dwóch, ale i o 10 tys.). Stonesów się nie doczekali, za to oddziałów Volkspolizei jak najbardziej. Do aresztu trafiło prawie 400 osób, najaktywniejsi (i najgłośniejsi) stanęli przed sądem.

Na koncert we wschodniej części Berlina Stonesi musieli poczekać do końca komunizmu. Jakoś zresztą nie bardzo wyobrażałem sobie występ zespołu w państwie Waltera Ulbrichta, a potem Ericha Honeckera. Łatwiej było tam spacyfikować młodzież przy użyciu transporterów opancerzonych, niż zgodzić się na rocka w Stonesowym wydaniu. To nie ta estetyka, którą preferowali partyjni bonzowie, i to nie tylko za naszą wschodnią granicą. U nas było nie inaczej, czasem tylko śrubę dokręcono mocniej, a niekiedy dawano trochę luzu. W każdym razie między bajki włożyłbym historię o tym, jakoby na pobyt Stonesów w Warszawie w 1967 r. osobiście wydał zgodę, poproszony o to przez wnuczki, towarzyszy Gomulka. Nie zapłacono też zespołowi za popisy w Sali Kongresowej dwoma wagonami gorzały. Honorarium było niewielkie – to akurat prawda – a koszty pobytu w Polsce (dla Stonesów!) bardzo wysokie, niemniej

jednak koncerty rozliczono i zapłacono za nie, m.in. jakąś superkombinacją z biletami lotniczymi w roli głównej. Nie rozrzucał Stonesi w Warszawie płyt (byłby to album „Between the Buttons”), co powyżej rozdali może trochę egzemplarzy. Rzucali w tłum natomiast... kostkami do gry na gitarze, ale to dopiero na koncercie w 2007 r. Czyli jak w Radiu Erewan... Kolejna bzdura to rzekome rozprowadzanie biletów do Kongresowej poprzez struktury partyjne. Historię, skąd się wzięła na koncercie w PKiN, z detalami kiedyś już opisałem; nie będę jej teraz powtarzał, ale jest faktem, że bilet dostałem od mamy, której ofiarował go jako rodzaj giftu pewien warszawski rzemieślnik z PZPR mający tyle wspólnego, ile moja rodzicielka, czyli nic. W ogóle w legendach otaczających tamto wydarzenie najwięcej jest absolutnych zmyśleń, niemniej jednak

co się zowie, ale i tak nikt nie dorówna Barackowi Obamie, który stanowił jakby forpczę występu Stonesów na Kubie w 2016 r. Ze względu na historyczny przyjazd amerykańskiego prezydenta koncert zespołu w Hawanie przesunięto o kilka dni, ale nie obniżyło to frekwencji. „Satisfaction” śpiewało tam z Jaggerem ponad milion Kubańczyków.

Stonesi i polityka to neverending story. Przyglądam się ostatnio wyczynom kanadyjskiego premiera Justina Trudeau, któremu przy każdej okazji przypomina się tatusia, też premiera Kanady – Pierre’a Trudeau. Rządziej mówi się o mamie polityka, Margaret z domu Sinclair. Urodziła mężowi trzech synów i gdy najstarszy z nich, Justin, miał sześć lat, opuściła rodzinę. Była aktorką, fotografką, pojawiała się w telewizji, na pewno hipisowała, a – bywało – prowadziła się

Nie jest prawdą, że Stonesom za popisy w Sali Kongresowej zapłacono dwoma wagonami gorzały. Honorarium było niewielkie, koncerty rozliczono i zapłacono za nie, m.in. jakąś superkombinacją z biletami lotniczymi w roli głównej

są też fakty zadziwiające, takie jak ten, że o koncercie poinformowano zaledwie kilka dni wcześniej, a w tłumie pod Pałacem Kultury słyszało się języki czeski i węgierski na równi z polskim. No ale rockowa międzynarodówka była bardzo sprawna.

NIEKOŃCZĄCA SIĘ OPOWIEŚĆ

Jako support wystąpili wówczas przed Stonesami Czerwono-Czarni. Wybór tego akurat zespołu był najgorszy z możliwych; o mszy beatowej „Pan przyjacielem moim” nikt w tym ansamblu ani myślał jeszcze (nawiasem mówiąc tamta, na owe czasy, świetna muzyka Katarzyny Gaertner byłaby pewnie dla pałacowych decydentów jeszcze trudniejsza do przełknięcia niż Jagger z Richardsem i Jonesem). I nie chodziło tylko o to, co grano, ale może przede wszystkim o wygląd i zachowanie muzyków. Z jednej strony rockowa przebieranka, z drugiej solenne smokingi. No, rozpacz.

W Chorzowie przed Stonesami popisywał się Dżem (oczywiście, ten post-Riedlowy), na Służewcu – Steve Harvey i grupa Cockney Rebel, teraz w atmosferę koncertu wprowadzić ma widowię trębacz i puzonista z Nowego Orleanu, Trombone Shorty. To na pewno muzyk

z Mickiem Jaggerem. Wprawdzie dementowała sugestie, jakoby przeżyła z nim upojny romans, ale dementi było jednostronne. A kobiet o nazwiskach znanych nie tylko z rubryk towarzyskich w otoczeniu frontmana The Rolling Stones nigdy nie brakowało, że wspomnę tylko o Carli Bruni, późniejszej żonie francuskiego prezydenta, Nicolasa Sarkozy’ego.

W żonach i kochankach Micka Jaggera trudno się zresztą połapać. Ma ośmiu oficjalnie uznanych potomków, najmłodszy syn, Deveraux, urodził się w grudniu 2016 r., najstarsza córka, Karis, 46 lat wcześniej. Innym Stonesom kudy do Micka, choć starali się i Keith Richards (pięcioro dzieci), i Ronnie Wood (szóstka). W tej materii Charlie Watts też, jak zwykle, zajmuje chatę skraja – z jedną żoną i jedną córką.

W opowieści o Rolling Stonesach musi się zmieścić to wszystko: i pałowanie na placu Defilad w Warszawie, i nagie ciało Briana Jonesa unoszące się w basenie w kupionej przez niego posiadłości po twórcy „Kubusia Puchatka”, i tragiczne wydarzenie na koncercie w Altamont w 1969 r. (cztery miesiące po Woodstock!), gdzie Hell’s Angels zamordowali czarnoskórego chłopaka oraz przyczynili

się do śmierci trzech innych osób, i wyroki skazujące za posiadanie i rozprowadzanie narkotyków, po których wydaniu Stonesi wychodzili na wolność następnego dnia, i tytuł szlachecki dla Micka Jaggera, i obsceniczne, wulgarne zachowania na scenie i poza nią, tabuny groupies i damy z towarzystwa... Toczyły się te kamienie, i jeszcze się toczą.

CO SPADŁO Z NIEBA

A co znajduje się w moim niezbędniku fana R-S? Naturalnie książki z opasłym tomiszczem Billa Wymana na czele, ale i z polskim wkładem w stonessologię stosowaną „The Rolling Stones. Satysfakcja” Daniela Wyszogrodzkiego, i z fantastycznym od strony zdjęciowej albumem „Mick Jagger” z tekstem Billy’ego Altmana, i z niekoniecznie stuprocentowo wiarygodną, za to więcej niż ciekawą opowieścią A.E. Hotchnera „Blown Away” (to tu znajduje się zupełnie inna niż oficjalnie obowiązująca wersja śmierci Briana Jonesa), i wiele innych książek i książeczek, nie tylko autoryzowanych.

Oczywiście mam kilka płyt DVD z filmami ze Stonesami i o Stonesach. Nie będę specjalnie oryginalny, szczególnie wyróżniając wśród nich obraz Martina Scorsese z 2008 r., „The Rolling Stones: Shine a Light”. W blasku światła ustawionych przez tego mistrza kina w nowojorskim Beacon Theatre znalazł się m.in. Aleksander Kwaśniewski, którego muzykom przedstawił prowadzący na koncercie konferansjerkę Bill Clinton. Przyjęto go wprawdzie owacją równą tej, z jaką spotkała się występująca wtedy u boku Jaggera Christina Aguilera, ale i tak trafiło się Kwachowi złote ziarno.

Płyt na półce (naprawdę na półkach, gdzieby bowiem na jednej zmieściło się to wszystko!) jest co niemiara, ale co począć, że tych najbardziej kochanych nie ma wśród nich. Nie zachowały się przede wszystkim te z nich, które płytami... nie były. Myślę tu o tzw. pocztówkach dźwiękowych, bo to z nich, odtwarzanych na adapterze Bambino (o Mister Hicie nikt wtedy jeszcze nie słyszał), uczyłem się Stonesów. Wbrew panującej opinii kupowało się je nie tylko na bazarze. Oprócz takich z jedną piosenką, na licu mających najczęściej kwiatki, były także odpowiedniki singli, z dwoma utworami utrwalonymi na prostokątnym kawałku plastiku, bez żadnych widoczków czy innych ozdobiaków. I jedno, i drugie można było nabyć w regularnych sklepach i na stoiskach

muzycznych, takiego np. pedetu (czytaj: Powszechnego Domu Towarowego). Pamiętam, że w połowie lat 60. pojedyncze kosztowały 12 zł, podwójne – 20. Wcale nie mała, zważywszy, że za bilet na koncert, dajmy na to, w Hali Gwardii płaciłem raptem dychę więcej. Płyta długogrająca, oczywiście krajowej produkcji – bo i jakiej? – kosztowała 80 zł, przy czym staniała później do 65 zł, co w kraju, w którym taniały jedynie lokomotywy, było ewenementem. A wracając do Stonesów, to do dziś jedną z ich piosenek, która wywołuje u mnie najsilniejsze dreszcze emocji, jest „19 załamanie nerwowe”, czyli „19th Nervous Breakdown”. Na pocztówce, którą miałem i którą zjechałem do szczytu, sąsiadowała z „As Tears Go Bye”. Dokładnie jak w legendarnym singlu z 1966 r. O tym, że w moich pocztówkowych zbiorach znajdowały się takie hiciory jak: „Satisfaction” czy „Get Off of My Cloud”, nie powinienem nawet wspominać, bo to oczywiste. Jednak – co wspominam ze zdumieniem – trafiły wówczas do moich rąk także prawdziwe single Stonesów: „The Last Time/ Play With Fire” i „Have You Seen Your Mother Baby, Standing In The Shadow?/ Who’s Driving Your Plane”. Jakim cudem? – nie wiem. To, że ktoś przyniósł je do mnie np. na prywatkę i nie zabrał ze sobą z powrotem, jest wykluczone. Nie przypominam sobie, bym je kupił ani ukraść. Spadły mi z nieba?

Z longplayami sprawa też jest skomplikowana. Dumnym posiadaczem składanki „Big Hits (High Tide and Green Grass)” i „Aftermath”, płyty z tego samego 1966 r., zostałem drogą niezwykle skomplikowanych wymian, które obejmowały m.in. kolekcję znaczków pocztowych, mikroskop, radio, komplet cyrkli, inne płyty, a i chyba musiałem coś jeszcze dopłacać. Ojciec, gdy zorientował się, że uszczupliłem nie tylko swój zbiór filatelistyczny, lecz także i jego, wpadł – ma się rozumieć – w szal. Ale co on tam rozumiał! Po winylach tych zresztą nie ma śladu; uległy – nazwę to tak – dekapitalizacji. Jednak moimi Stonesami naj, naj... byli ci z, rzekomo niezbyt udanej, produkcji: „Between the Buttons”. I co z tego, że płyta ta pozbawiona była przebojów, skoro to na niej znajdowały się dźwięki, które słyshałem na pamiętnym koncercie w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki, niegdyś imienia Józefa Stalina.

A przegląd mojego stonessowego niezbędnika, zdominowanego dziś przez płyty CD, zakończę jeszcze jednym zdziwieniem. Otóż z tych wszystkich burz

dziejowych, które skutecznie wymiotły mi pamiętki heroicznego okresu mego zauroczenia muzyką obszcymurów z Dartford rodem, uratowali się pozostający w jako takiej kondycji Stonesi, powiedziałbym, zarażeni komunizmem. Czyli „Black and Blue” z 1976 r. w edycji czeskosłowackiego Supraphonu (tyle że „podziła się” gdzieś okładka), o rok wcześniejsza, wydana przez bułgarski Balkanton składanka „Made in the Shade” z „Brown Sugar” i „Tumbling Dice”, wreszcie płyta już firmowana przez rodzimych Arston – „Steel Wheels”.

SZEWSKI PRZYCZYNEK

O Stonesach przypominają jednak i inne pamiętki z czasów dawno oraz słusznie minionych. Jak taki np. w sumie dość koszmarny składak zatytułowany „Cocktail młodości” ze znajdującą się tam znaną wszystkim pokoleniom Polaków piosenką i „Tyłko wróć” śpiewaną przez Wojciecha Gąsowskiego i Romana Hoszowskiego. Popularność tego nie do końca zrozumiałego przez młodych evergreena Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza z tekstem Wojciecha Młynarskiego wzięła się z przypominanego na okrągło serialu Jerzego Gruzego „Wojna domowa”. W jednym z odcinków młodociany bohater serialu, Paweł, wraz z kolegami przygotowuje ten właśnie numer na przegląd młodych talentów, w którym chłopcy (z grającą na perkusji koleżanką) biorą udział. I oto układają słowa piosenki, w której mowa jest o rozklejeniu się „cud bitels-buta” i szewcu, który „robi już rolingstonki”. Cóż to było za obuwie! Jedne buty od drugich różniła przede wszystkim toporna kłamra charakterystyczna dla „rolingstonek”, które poza tym były nieco wyższe od „bitelsówek” i miały po bokach elastyczną gumę. Takie same były za to wysokie obcasy i pajacowate zadarte szpice. Jako posiadacz o wiele ładniejszych, obiektywnie rzecz biorąc, „bitelsówek”, martwiłem się jednak, gdyż uważając się za fana Stonesów, chciałem mieć te drugie. Niestety, buty były drogie (dostępne wyłącznie w sklepach prywatnych i na bazarach) i musiałem chodzić w „bitelsówkach” sprezentowanych przez zamożną ciotkę.

Ktoś powie: żałosne te twoje okołostonessowe wspominki. No i dobrze. Inni i takich nie mają. I niech żałują, bo z The Rolling Stones pewne było zawsze jedno, że nigdy nie dadzą o sobie zapomnieć. I to się sprawdza.



Przemysław Skrzydelski

Krzysztof Warlikowski po dłuższej przerwie powrócił i wziął głęboki oddech. Dzięki temu cały jego teatr odetchnął: nabrał ironii, dystansu i klarowności

Wieczna melancholia

Wszyscy, którzy stanęli między mną i śmiercią, umarli. Nic mnie już od niej nie dzieli” – jedno z ostatnich zdań, które pada w nowym przedstawieniu Krzysztofa Warlikowskiego, z powodzeniem mogłoby posłużyć jako pojemne podsumowanie całości realizacji według dramatu Hanocha Levina „Pakujemy manatki”. Warlikowski chyba po raz pierwszy przemawia do nas z tak wyraźną dawką rozczarowania rzeczywistością, ale jednocześnie z jakimś wewnętrznym pogodzeniem z życiem, jakby spojrzął – znów po raz pierwszy – na swoich bohaterów wysoko z góry, ba, zaskakująco wysoko dla każdego, kto zna jego teatr z minionych co najmniej 15 lat. Teatr, który nieraz zatracił się w literackich asocjacjach i kolażach, często niestety się wykluczających, nazbyt usprawiedliwiających chęcią powiedzenia o świecie wszystkiego, co można ująć w inscenizacjach o ogromnej skali, zarówno tej literackiej, jak i tej dosłownej – przestrzennej.

W „(A)pollonii” sprzed dziewięciu lat bardzo drażniła naciągana publicystyka na

czele z monologiem o holokauście zwierząt wplecionym w zgrabnie opartą na tragedii antycznej narrację o sensie ofiary i cierpienia za innych. Z kolei we „Francuzach” z 2015 r. trudno było się pogodzić z tym, że efektowna, przejmująca chłodem adaptacja „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta sprowadzała międzyludzkie relacje przede wszystkim do sfery pożądania, lekceważenia i ostatecznie pogardy. To był poważny problem, bo odnosiło się wrażenie, że mimo znakomicie budowanego napięcia spektakl tonął w dialogach wciąż prowadzących do podobnych wniosków. Jakby skala świata Warlikowskiego była zbyt wąska, by objąć różne wymiary człowieczeństwa z wielkiej powieści. Zresztą chyba nie ma większej tajemnicy w tym, że powracający temat seksualności naznaczał do znudzenia również wcześniejsze realizacje reżysera od czasu słynnych „Oczyszczonych” z 2002 r. To już drażniło.

Sam chwilę po premierze „Francuzów” pisałem, że próba ta powinna stanowić zwiastun czegoś nowego, wywołać u reżysera potrzebę przełamania i przewarto-

ściowania przeciwczonych tropów. No i być może przede wszystkim wskazywała na konieczność powrotu do zwartej narracji. Ostatnie przedstawienie oparte na tekście dramatycznym, „Anioły w Ameryce” Tony’ego Kushnera, wystawił Warlikowski w 2007 r., wówczas jeszcze nie w Nowym Teatrze, lecz w TR Warszawa, którego markę w tamtej epoce budował do spółki z Grzegorzem Jarzyną.

PUNKT ODNIESIENIA

Dwa lata wcześniej był „Krum” Hanocha Levina – dziś już zgodnie przez wszystkich, także krytyków teatru tego twórcy, uważany za jedno z najważniejszych wydarzeń na polskiej scenie lat dwutysięcznych. Niektórzy twierdzą – i chyba mógłbym się do nich zaliczyć – że to w ogóle najważniejsza praca Warlikowskiego, który do dziś ma na koncie już ok. 40 tytułów na scenach dramatycznych w Polsce i za granicą.

„Krum” dość szybko stał się punktem odniesienia w szerszym znaczeniu. To po tej premierze nastąpiła eksplozja zaintere-



FOT. JACQUA HUECKEL

Warlikowski podkreślał, że „Krum” był spektaklem bardzo polskim, bo opowiadając o synu marnotrawnym, który wraca do rodzinnej miejsciny, nie zyskawszy nic na obczyźnie, opowiadał o pokoleniach stłamszonych przez PRL – odartych z chęci do życia i pozbawionych wszelkiego znaczenia niezależnie od tego, w jak atrakcyjnych miejscach znalazły chwilowy azyl.

W „Krumie” kanwę stanowił powrót do jedyne miejsca, w którym tytułowy bohater mógł być sobą. Do rozgoryczonej matki, śmiesznych sąsiadów i problemów sprzed wyjazdu. Wszystko to razem w istocie pozostało takie samo. W „Pakujemy manatki”, które Krzysztof Warlikowski wystawił pod jeszcze bardziej frapującym tytułem „Wyjeżdżamy” – nad wyraz sprytnie dorzucając do scenariusza liczne fragmenty z innych sztuk Levina, a także z inscenizacji Tadeusza Kantora i pism Henryka Grynberga – wszyscy chcą się wyrwać z mentalnej nędzy, o powrocie w ogóle nie myśląc. Chociaż mówiąc dokładniej: to młodzi chcą porzucić starszych, bo ci zapowiadają śmierć. I rzeczywiście ci, którzy pozostają, umierają.

KRUM DOŚWIADCZONY

Warlikowski odmienił tonację swego teatru i przywrócił mu dawne proporcje: zwartość i jasność. Do jakiegoś stopnia bowiem „Wyjeżdżamy” jest rewersem „Kruma”. Pojawiają się tu postacie będące pośrednią kontynuacją tamtej historii, przeglądające się w swoich odśłonach sprzed 13 lat. I teraz nie odnajduję już u reżysera potrzeby wchodzenia na obszar psychologii za wszelką cenę, jak zdarzało się w kilku jego wcześniejszych inscenizacjach. Przede wszystkim tym razem się powściągnął, wychodząc z założenia, że nie każdy tekst, na który się decyduje, musi być jednocześnie walką o własną pozycję, własny światopogląd i w końcu walką o ustalenie wyłącznie własnych warunków opisu świata. Jest zupełnie inaczej. Jak zresztą w podtytule tego dramatu Levina: „Komedia na osiem pogrzebów”, Warlikowski godzi tragizm z czystym humorem i nawet wyraźniej niż autor ucieka w najprostszy żart tylko dla scenicznej frajdy. Przy tym współczuje swym postaciom jak nigdy dotąd. Nawet Alberto Pinkas, fenomenalnie grany przez

Andrzeja Chyrę podlec, którego trudno żałować, jest tu jedynie pokraczną ofiarą siebie. Po co go potępiać, skoro czeka go koniec równie przykry jak w przypadku innych?

W „Wyjeżdżamy” wytwarza się mikrowspólnota na opak, wykoślawiona, wymęczona w kraju, którego historię tak trudno pojąć. O tyle to wspólnota dziwna, że istnieje wbrew wszystkiemu, gdyż im więcej tu coraz szybciej następujących pogrzebów, tym bardziej sama siebie powinna wykończyć, budując ją bowiem przeciwstawne żywioły. Jednak mimo wszystko każdego ciągnie tu do tego drugiego. Mimo wszystko. Frapującym zamysłem Warlikowskiego jest wyświetlanie na ekranie ponad sceną prywatnych zdjęć aktorów z ich młodości, w chwilach, gdy ich postacie umierają i odczytywane są mowy pogrzebowe na ich cześć. To także jakieś wspólnotowe zastanawianie się aktorów tak blisko związanych ze swoim reżyserem, przenoszenie tematu śmierci na własny poziom. W jakimś stopniu też zrównanie w poczuciu zespołowości. Każdy ma tu bowiem swą przypisaną rolę, własną partię do odegrania i możliwość gwiazdorskiego popisu, lecz przecież liczy się coś innego. Widać to również w grupowym ironicznym finale.

Kiedy w jednej z ostatnich scen Dani Gelernter we wspólnym ujęciu Jacka

Poniedziałka spotyka się ze zmarłymi rodzicami i wypowiada tę tak istotną kwestię: „Wszyscy, którzy stanęli między mną i śmiercią, umarli. Nic mnie już od niej nie dzieli”, wszystko staje się oczywiste. Krum powrócił, a potem już nigdzie nie wyjechał, patrzył jedynie, jak wyjeżdżają inni, i chyba miał świadomość, że nie ma w tym żadnego sensu. To Krum doświadczony, choć przecież przez cały czas Jacek Poniedziałek gra swą postać w czapce bejsbolowej, niczym nastolatek z podziwem obserwując odważne decyzje starszych kolegów. Czy zatem ta historia o życiu i śmierci ma właściwy koniec i początek? A może w ogóle jest tak, że nie istnieją żadne wyjazdy ani powroty? Że jedynym miejscem,

w którym tak naprawdę zawsze przebywamy, jesteśmy my sami i tych kilka osób wokół nas? I tylko to się liczy.



**„WYJEŹDZAMY”
NA PODSTAWIE
„PAKUJEMY
MANATKI”
HANOCHA LEVINA,
REŻ. KRZYSZTOF
WARLIKOWSKI,
NOWY TEATR
W WARSZAWIE,
PREMIERA:
14 CZERWCA 2018**

sowania Levinem nad Wisłą. Izraelski autor, którego rodzice wychowali się w Łodzi, zaskakująco łatwo przyjął się na naszych scenach i do dziś chyba nikt nie udzielił przekonującej odpowiedzi, dlaczego tak się stało. Trudno bowiem tego autora pożenić z naszymi literackimi doświadczeniami, wydaje się kimś nieznanym. Owszem, niby to krewny absurdystów, na pewno można w niego odnaleźć język groteski – to kod w różnych wariantach nam znany – ale realia jego tekstów są odległe. To świat żydowski w satyrycznej i wulgarnej formie podważający sam siebie. Levin we własnym kraju, zwłaszcza u progu twórczości, był pisarzem wykłętym, kiedy choćby wyśmiewał sens wojny sześciopodnowej. Do końca swych dni pozostał zresztą dramaturgiem skrajnie naznaczonym miejscem narodzenia i specyficzną mentalnością rodaków. A może to, że tak sprawdził się w Polsce, wynika z tej dobrze rozpoznawanej przez nas szarzyzny, klaustrofobii miasteczek z ludźmi niezdolnymi do podejmowania decyzji, przegranymi już na starcie? Sam



FOT. MATERIAŁY PRODUKOWE

WIESŁAW
CHĘLMNIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Pieczęto zamarzło

Moda na satanistyczne horrory skończyła się z dość oczywistego powodu. Ludzie przestali lękać się Boga, zaś jego odwiecznego przeciwnika wygnali do krainy baśni. Być może przekonanie opinii publicznej, że nie istnieje, jest najbardziej perfidną z diabelskich sztuczek, ale Belzebub zredukowany do rozmiarów pociesznej figurki, sprzedawanej w sklepach z pamiątkami dla turystów, to – bez dwóch zdań – wizerunkowa katastrofa.

Degradację Księcia Ciemności popkultura odczuła boleśnie. Drzewiej suweren, oglądając „Omen” czy „Egzorcystę”, truchlał ze zgrozy. Dzisiaj z kin wyświetlających demoniczne produkcje coraz częściej słychać szyderczy śmiech młodzieży. Nawet Polańskiemu nie udało się drugi raz wejść do tej samej rzeki. „Dziwiąte wrota”, które

popęłił u progu nowego wieku, mają się do „Dziecka Rosemary” mniej więcej tak jak katar do grypy hiszpanki.

Trudno jednak oczekiwać od weteranów odświeżania zmurszałych konwencji. To zadanie dla twórców młodych i bezczelnych. Takich jak Ari Aster. Na dobry początek nowojorczyk nakręcił i wrzucił do sieci półgodzinny filmik o kazirodzkiej czarnoskórej rodzinie. Prowokacja się udała, lecz na pełnometrażowy debiut musiał jeszcze kilka lat poczekać. „Dziedzictwo” też opowiada o rodzinie.

Grahamów poznajemy, gdy są w żałobie po śmierci 78-letniej Ellen. Nieboszczka pozostawiła po sobie złe wspomnienia, wspólny język znajdowała tylko z małą wnuczką, również zapowiadającą się na dziwaczkę. Jej brat raczej wdał się w ojca – pocziwca. Matka, pochłonięta konstruowaniem

miniatury domków, czasem zachowuje się dziwnie. Mieszkają w domu zbudowanym w środku lasu.

„Dziedzictwo” to kino psychologiczne i – do czasu – realistyczne. Nadchodzącą katastrofę długo zwiastuje jedynie złowroga muzyka. Akcja rozkręca się powoli. Widzowie są w rozterce. Uwierzyć, że na Grahamach rzeczywiście ciąży jakaś klątwa, zaś Ellen wcale nie umarła? A jeśli to wszystko pic i fotomontaż? Zważywszy na historię rodzinnych przypadłości (psychoza depresyjna, demencja, rozdwojenie jaźni, histeria, autoagresja, lunatykowanie) możemy wszak mieć do czynienia z projekcjami chorego umysłu.

Markowego reżysera poznajemy po tym, jak kończy. Aster przygotował sobie szalupę ratunkową, lecz z niej nie skorzystał. Uległ szatańskim podszeptom i rozwiązał wszelkie wątpliwości, ze szkodą dla filmu. „Dziedzictwo” warto obejrzeć głównie dla Toni Collette. Australijka daje tu koncert aktorskiej gry na poziomie nieosiągalnym dla jej hollywoodzkich rówieśniczek. Za występy w horrorach Oscarów nie dają, brawa muszą wystarczyć. ©



★★★★★
REŻ. ARI ASTER
„DZIEDZICTWO”
(„HEREDITARY”)
USA 2018

wyst. Toni Collette,
Gabriel Byrne,
Alex Wolff



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „41 DNI NADZIEI”

Opowieść z życia wzięta – para zakonanych przeżywa przygodę życia, lecz w nieoczekiwanej wersji ekstremalnej, bo zamiast odpoczywać na beztrudnych wakacjach, musi zmierzyć się z niespotykaną potężnym huraganem. Za reżyserię odpowiada twórca, któremu nieźle idzie pokazywanie potęg

natury – Baltasar Kormákur pokazał to w filmach „Everest” i „Na głębini”. ©
Piotr Gociek

• „41 dni nadziei” („Adrift”),
reż. Baltasar Kormákur,
wyst. Shailene Woodley, Sam Claflin,
Grace Palmer, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Whitney”, reż. Kevin Macdonald, USA 2018
- „Berek” („Tag”), reż. Jeff Tomsic, USA 2018
- „Dwie Ireny” („As Duas Irenas”), reż. Fabio Meira, Brazylia 2017
- „Blanka”, reż. Kohki Hasei, Filipiny/Japonia 2015

Wyspa neurotyków

Polacy dopiero niedawno zaczęli kolonizować Islandię, lecz już osiągnęli spore sukcesy. Hafsteinn Gunnar Sigurðsson, zapowiadając swój nowy film, przeklina w języku Adama Mickiewicza, perorę kończy zaś toastem: „Na zdrowie!”. Mógł jeszcze podziękować Monice Lenczewskiej za świetne zdjęcia, lecz i tak – jak na nordyka – okazał się bardzo wylewny. Życie w kraju, w którym wszyscy się znają, musi być straszne. Sądząc z czarnej komedii „W cieniu drzewa”, Islandczycy zachowują się gorzej niż Sarmaci z Fredrowskiej „Zemsty”. Wet za wet, oko za oko, ząb za ząb. Eskalacji konfliktu nie zapobiegają ani humorzaste panie, ani ofermowaci

panowie, pragnący udowodnić sobie i światu, że tak naprawdę są twardzielami. Bohaterowie filmu, z pozoru grzeczni i kulturalni, pielęgnują w sobie poczucie niezaskuszonej krzywdy.



★★★★★
REŻ. HAFSTEINN
GUNNAR
SIGURÐSSON
„W CINIU
DRZEWA”
(„UNDIR TRÉNU”)
ISLANDIA/POLSKA/
DANIA 2017

wyst. Steinþór Hróar
Steinþórsson, Edda
Björgvinsdóttir,
Sigurður
Sigurjónsson

Casus belli trochę zaskakuje. Jest nim okazały kłon, rzucający cień na działkę sąsiadów. Tak się składa, że drzewa i światło słoneczne są na Islandii dobrem deficytowym. Gdy te dwie wartości wejdą w kolizję, otrzymujemy gotowy przepis na tragedię w stylu Eurypidesa. Dałoby się jej uniknąć, gdyby jeden z protagonistów nie szukał ukojenia w słuchaniu głośnej muzyki. Drogi czytelniku, zdejmij słuchawki! Brak kontaktu z otoczeniem może cię drogo kosztować. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MOJA AMERYKAŃSKA DZIEWCZYNA

Nominacja do Oscara za najlepszy scenariusz była w pełni zasłużona: „I tak cię kocham” to kino gadane w najlepszym wydaniu, gdzie wszystko zależy od tekstu. Pierwsza połowa historii początkującego pakistańskiego komika i jego amerykańskiej sympatii przypomina trochę filmy Woody’ego Allena, a trochę sitcom „Kroniki Seinfelda”.



★★★★★
REŻ. MICHAEL
SHOWALTER
„I TAK CIĘ
KOCHAM”
(„THE BIG SICK”)
USA 2017,
GUTK FILM

wyst. Kumail Nanjiani, Zoe Kazan,
Holly Hunter

mnożstwo dialogów niby o niczym, ale za to celnych i zabawnych. W drugiej połowie mamy już melodramat, ale serwowany z taktem. I okazuje się też, że ta romantyczna komedia to także opowieść o kilku innych sprawach: kulturowej odmienności (momentami i o rasizmie), trudnych relacjach dzieci z rodzicami, spóźnionym dojrzewaniu. Kumail Nanjiani, aktor i komik znany polskiej publiczności przede wszystkim z serialu „Dolina Krzemowa”, spisał się świetnie w głównej roli, zaś do scenariusza włożył mnóstwo własnych doświadczeń. Trudno w to uwierzyć, ale pomyśl na fabułę też wziął się z życia: tak właśnie Kumail poznał i poślubił swą żonę Emily.

TWARDZIEL KONTRA TWARDZIEL

Stawką jest łup z banku, który nigdy jeszcze nie został okradziony (choć próbowano 53 razy). Skok organizuje bandzior z wojskową przeszłością, plany próbuje mu pokrzyżować policjant stosujący niezbyt legalne metody. Każdy z nich ma swoją wierną załogę. Niemal od początku obie strony wiedzą, co się święci. Kto kogo przechrzty? Działają blisko siebie, zastawiają na siebie pułapki, a kluczową postacią jest kierowca rabusiów, którego zmuszono do gry na dwie strony. Są filmy, które gubi przesył: za dużo fajerków, pościgów, mordobić. „Skok stulecia” udowadnia, że można też przesadzić w intensywności dialogów i charakterystyce postaci – wszystkie są tu przesadzone, jakby twórcy chcieli nas na siłę przekonać, że bohaterowie są prawdziwymi macho. Wyszła z tego nieco karykaturalna „Gorączka” (pamiętacie film Michaela Manna?) w wersji dla mało wymagających. ©©



★★★★★
REŻ. CHRISTIAN
GUDECAST
„SKOK STULECIA”
(„DEN OF
THIEVES”)
USA 2018,
MONOLITH

wyst. Gerard Butler, Pablo Schreiber,
O’Shea Jackson Jr.

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „CALL OF DUTY: WWII UNITED FRONT”

„Zjednoczony front” to trzeci z czterech planowanych dodatków do jednej z najpopularniejszych strzelanek ubiegłego roku – „Call of Duty: WWII”. Tym razem do historycznych miejsc potyczek II wojny światowej dołączą Stalingrad, Market Garden oraz bitwa o Monte Cassino. Jako nowość wpro-

wadzano tryb „Supercharge”, podczas którego będzie można wziąć udział w desancie spadochronowym na Tunezję. Klasycznie pojawi się również nowa odsłona dodatku, w którym zmierzmy się z „zombi nazistami”. Co boli z perspektywy realizmu historycznego? Pod Monte Cassino



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

widac Francuzów i Brytyjczyków, ale nie uświadczysz się Polaków. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: FPS
- Platforma: PS4
- Producent, dystrybutor: Sledgehammer Games/Activision
- Klasyfikacja PEGI: 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wspólny przytułek

To nieprawda, że nasz dom jest tam, gdzie żyjemy, pracujemy i zarabiamy na chleb. Praca to tylko praca. Przekonują się o tym bohaterowie powieści Wojciecha Kudyby, odkrywając, że „człowiek czasem nie wie, że najbardziej mieszka w tym, o czym nie myśli – w swojej mowie”. Symboliczna jest jej utrata po udarze, który przeżył mieszkający od 30 lat w Niemczech, dokładnie w Ingolstadt, powieściowy Karol Tracz. Poddany leczeniu i rehabilitacji odzyskuje utraconą polszczyznę, a wraz z nią polskość. Tyle że jest to polskość dawna, zapomniana, mityczna, ale – jak się okazuje – ważniejsza od tej rzeczywistej, oczywiście bliskiej i kochanej, rozczarowującej jednak, choć przecież nie w tym stopniu co świat, który stać się miał drugim domem, a okazał się przytułkiem.

Obcość tej ziemi została zmultiplikowana po mużułmańskim najezdzie na Europę. Na początku 2016 r. – stwierdza Tracz – „poczuliśmy, że coś jest w Niemczech nie tak”, a niebawem miało się okazać, że w okolicy pobudowano już dziewięć meczetów. Identyczne było odczucie jego interlokutorki – Aliny Sznajder z Bochum, które nagle stało się „mużułmańskim miastem”.

Spotkanie tych dwojga niemłodych, utrudzonych emigracyjnym życiem ludzi ma miejsce w pociągu z Poznania do Krakowa, wlokącym się przez Wrocław, Opole, Katowice... W pociągu, którego w nowym rozkładzie jazdy już pewnie nie będzie. Bo też nie pasuje do nowoczesnych składów kolejowych przemieszczających się błyskawicznie z miasta do miasta, niemniej jednak mamy przecucie graniczące z pewnością, że w pociągach kursujących według nowego rozkładu takie spotkania jak to – dwojga ludzi „po przejściach”, którzy „wyjechali po to, żeby stać się nikim” – mogą już się nie przydarzyć.



FOT. WŁODZIMIEZ WASILUK/REPORTER

Na pewno książkę można odczytać w kontekście bieżących wydarzeń politycznych i społecznych, ciekawsza jednak wydaje się jej lektura jako opowieści o losie ludzi oderwanych od korzeni. Nie tylko narodowych, lecz także cywilizacyjnych, kulturowych, religijnych. Szczególnie te ostatnie wydają się interesujące, gdy skonfrontujemy je z takimi wypowiedziami jak ta: „Może w Polsce Bóg jeszcze jest, ale u nich [czytaj: Niemców] już dawno umarł”. Błędne byłoby wyciąganie z takich uwag wniosków o religijności Polaków, gdyż ta zagrożona jest w takim samym stopniu. To odchodzącej już generacji, osobom starszym i wręcz starym zawdzięczamy niecałkowitą skuteczność prowadzonej pod wieloma sztyldami ateizacji. Chodzi tu również o przywiązanie do konkretnej rzymskokatolickiej religii, a nie o bliżej nieokreśloną wiarę w Istotę Najwyższą. To pochodząca ze Śląska babcia kiedy trzeba, potrafi huknąć, że „nie strzymie z tymi pierońskimi heretykami”, i z pogardą odrzuca przygotowane do święcenia palmy, bo nie spełnia-

ją one wymogów: nie estetycznych, ale religijnych. Dla tej Ślązaczki Niedziela Palmowa to nie jest festyn taki jak każdy inny, podczas gdy dla jej wnuków... Trudno w tej materii o optymizm.

Autor „Imigrantów...” ukazuje kompletne niedopasowanie instytucji i osób teoretycznie mających pomóc w trudnych sytuacjach przybyszom z może nie gorszego, ale na pewno biedniejszego świata. Niby go nawet wspierają pod względem materialnym, co zresztą do końca nie jest pewne, ale tak naprawdę go upokarzają. Kultura masowa oferuje mu natomiast wyłącznie od-móżdżający bełkot. To on sprawia, że patriotyzm w wersji przecież niewyłącznie niemieckiej sprowadza się na szczeblu małych ojczyzn do kibicowania miejscowej drużynie futbolowej, zaś w skali kraju – na uwielbieniu reprezentacyjnej kadry piłkarskiej. Żałosne są głosy niechęci wobec nieproszonych przybyszów ze świata arabskiego podyktowane tym właśnie, że nie dołączają oni ponoć do grona fanów Bayernu, Borussia czy Schalke.

Trudno przeoczyć rozsiane w książce nawiązania do naszej współczesnej historii, do stanu wojennego, Solidarności, a także katastrofy pod Smoleńskiem w kwietniu 2010 r. Zdecydowanie kluczową rolę odgrywa tutaj los, na który mamy ograniczony wpływ. Jakiś jednak mamy i to od nas zależy, jak wypadnie życiowy rachunek sumienia. „Człowieka nie tworzy życiorys – powiada pisarz – ale to, jaki w tym życiorysie był”: dobry czy zły.

Bo to, co osiągnęliśmy w życiu, czego staliśmy się właścicielami, jest drugorzędne. Dla bohatera powieści relikwiami stają się znaczki Solidarności, oporniki, kilka drugoobiegowych książek, do których wykonał ilustracje. Ktoś powie: mało, ktoś inny się skłoni – do samej ziemi. ©©



★★★★★
**WOJCIECH
KUDYBA**
**„IMIGRANTY
WRACAJĄ
DO DOMU”**
PIW 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dobrze mieć przyszłość

Pierwsza próba wprowadzenia tego cyklu na polski rynek się nie powiodła. W roku 2013 pierwszy tom wydała Fabryka Słów, dzieląc opasłą powieść na dwie części. Kolejne tomy już się nie ukazały. Teraz po Coreya sięga wydawnictwo MAG, które będzie miało łatwiej, bo seria zamieniła się tymczasem w serial telewizyjny „The Expanse”, w Polsce dostępny dzięki serwisowi Netflix. W USA dobiega końca emisja trzeciego sezonu, produkcję czwartego przejmie Amazon, a polski czytelnik może sobie na spokojnie przyswoić całą historię od początku, czyli od książek „Przebudzenie Lewiatana” oraz „Wojna Kalibana”. I zastanowić się, skąd niespodziewana popularność serii, o której jeszcze kilka lat temu mało kto mówił.

Moja odpowiedź: optymizm. Chociaż zaczyna się ponuro – od czarnego kryminału skrzyżowanego z naukową intrygą, w której ważną rolę, niestety, odegra masowe morderstwo – to cykl „Ekspansja” rozrasta się niezwykle, a im dalej sięga, tym bardziej przypomina stare, dobre czasy, kiedy Wszechświat poznawali bohaterowie Arthura C. Clarke’a czy Roberta A. Heinleina. Owszem, w XXIII stuleciu ciągle mamy wojny, terrorystów, polityczne intrygi, przestępcze

podziemie, ale wszystko to nie może przesłonić faktu, że ludzkość wyszła z kolebki, skolonizowała Układ Słoneczny i stanęła u progu kontaktu z obcą cywilizacją. Na razie złe dobre początki, bo obcy pojawili się pod postacią niezwyklej protomolekuly, która może być najpotężniejszą bronią biologiczną, na jaką ludzka rasa natknęła się w całej swej historii. I jak zwykle w historii rywalizacji zwaśnionych stron (Ziemia, niepodległy Mars i niezależne kolonie w Pasie Asteroidów) o to, kto ma skorzystać na przełomie, grozi wysłaniem całej ludzkości do piekła. Warto jednak nie oceniać pochopnie, tylko poczekać, dokąd cała ta historia prowadzi. Zapewniam – w kierunku podobnym do optymistycznych wizji Clarke’a czy Gregory’ego Benforda (cykl „Centrum Galaktyki”).

To miła odmiana w świecie popkultury zdominowanej od dekad przez specjalistów od straszenia apokalipsą – jak nie zombi, to obcą inwazją lub jakimś

bardziej konwencjonalnym końcem świata. Dobrze jest mieć przyszłość, a autorzy „Ekspansji” (pod pseudonimem James S.A. Corey kryje się duet Daniel Abraham i Ty Franck) mówią: to prawda, zabierzemy ze sobą w Kosmos to, co w nas najgorsze. Jednak to, co najlepsze – także. A za rogiem czekają cuda. ©©



★★★★★
JAMES S.A. COREY
„EKSPANSJA.
PRZEBUDZENIE
LEWIATANA”
MAG 2018

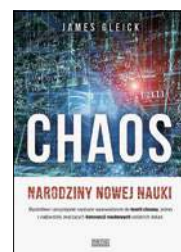
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pięciu pancernych bez psa, czyli pasjonująca powieść historyczna o czołgach gen. Maczka walczących z Niemcami na froncie zachodnim. Inteligentna odpowiedź na PRL-owską agitkę o „Rudym 102”, w dodatku na faktach.



PIOTR LANGENFELD
„PIĘCIU I CZOŁG”
WARBOOK

Gleick to jeden z najlepszych współczesnych popularyzatorów nauki. Dopiero co cieszyliśmy się premierą („Podróż w czasie” ukazały się kilka miesięcy temu), teraz do księgarń trafia wznowienie świetnej książki o teorii chaosu.



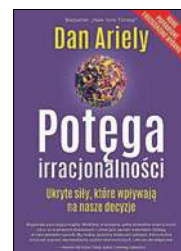
JAMES GLEICK
„CHAOS.
NARODZINY
NOWEJ NAUKI”
ZYSK I S-KA

Zbiór baśni z Wysp Brytyjskich z cudownymi ilustracjami, których autorem był Bogdan Zieleniec. Po raz pierwszy możemy w pełni docenić ich urok, bo niechlujne PRL-owskie wydania bardziej odstraszały, niż zachęcały do lektury.



JOSEPH JACOBS
„BAŚNIE
ANGIELSKIE”
DWIE SIOSTRY

Ceniony psycholog przedstawia wyniki własnych badań rozwijających teorie Tversky’ego i Kahnemana, które legły u podstaw ekonomii behawioralnej. Czyli dlaczego podejmujemy nieracjonalne decyzje i jak poprawić ten feler. ©© **poleca Piotr Gociek**



DAN ARIELY
„POTĘGA
IRRACJO-
NALNOŚCI”
SMAK SŁOWA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Katarzyna Bonda „Czerwony pajak” (Muza)** – ostatni tom kryminalnego cyklu „Cztery żywioły Saszy Zakuskiej” rozpoczętego w 2014 r. powieścią „Pochłaniacz”.
2. **Beata A. Dąbrowska „Dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej” (WAM)** – zbiór przepisów opartych na popularnej diecie. Autorką jest synowa lekarki.
3. **Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała” (Wielka Litera)** – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
4. **Piotr Krysiak „Dziewczyny z Dubaju” (Deadline)** – jak polskie modelki zarabiały na spełnianiu sekszachcianek szejków. Niestety, na faktach.
5. **Stephen King „Outsider” (Prószyński)** – najnowsza powieść króla grozy, łącząca kryminał z elementami horroru.

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook od 1 do 15 czerwca 2018 r.)

Ma niespełna rok, ale nawiązuje do znamienitej tradycji pierwszej w Polsce, Europie i świecie stałej opery, założonej w 1637 r. przez Władysława IV Wazę. Polska Opera Królewska powołana do życia 1 sierpnia ubiegłego roku organizuje swój pierwszy festiwal, składający się z 15 wieczorów muzycznych w Łazienkach Królewskich i kościołach przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Festiwal rozpocznie się 5 lipca premierą „Don Giovanniego” Mozarta (w reżyserii Ryszarda Peryta i pod batutą Łukasza Borowicza) w Teatrze Królewskim w Starej Oranżerii – od listopada ubiegłego roku głównej scenie opery. Tam też będzie można zobaczyć inne premiery sceniczne tego sezonu: „Dziady – Widma”, „Le nozze di Figaro”, „Alexander i Apelles” oraz „Nędza uszczęśliwiona”. Pałac Na Wyspie w Łazienkach



Oratorium „Pieśń o Bogu ukrytym” powstało z inspiracji pierwszym poematem Karola Wojtyły FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Po królewsku

będzie miejscem koncertów polskiej liryki. Wśród kompozytorów, których utwory wykonają artyści, oczywiście wielka polska trójca: Chopin, Paderewski, Szymanowski. W kościołach przy Krakowskim Przedmie-

ściu utwory adekwatne do miejsca. W bazylice Świętego Krzyża zabrzmie „Pieśń o Bogu ukrytym”. To oratorium symfoniczno-jazzowe Włodka Pawlika powstało z inspiracji pierwszym poematem Karola Wojtyły. Z kolei w kościele

św. Anny soliści Opery Królewskiej wystąpią przy akompaniamencie instrumentów dawnych w koncercie muzyki renesansowej. Festiwal potrwa do 27 lipca i tak jak rozpoczęty, zakończony zostanie Mozartem. Premierę „Thamos” zobaczyć będzie można w Amfiteatrze w Łazienkach. Na stronie internetowej opery znajdują państwo pełny program festiwalu, a na jej kanale na YouTube – trailery przedstawień.

Sama opera, choć gości głównie w królewskich, prestiżowych czy sakralnych wnętrzach Warszawy, powołana została z misją propagowania sztuki wysokiej (z dużym naciskiem na polskich kompozytorów) również tam, gdzie dostęp do wysokiej kultury jest ograniczony. Może więc – mam nadzieję, że mieszkańcy stolicy ten pomysł wybaczą – w przyszłorocznej edycji warto z festiwalem ruszyć w Polskę? © © Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

„Teraz, kiedy czuję”

W połowie lat 90. sceną rządziły dziewczęta: Bartosiewicz, Nosowska, Lipnicka, Kayah, Chylińska... i Kasia Kowalska. Śpiewały mocne, niepokorne teksty, marzyły o wielkiej miłości i sprzedawały setki tysięcy płyt. W nowym millennium cierpiały przez złych facetów, a w tej dekadzie odnalazły siebie oraz sens lub bezsens życia.

„Aya” jest pierwszą od 10 lat płytą Kasi z premierowym materiałem. Przez ten czas skupiła się na wychowaniu dzieci i podróżach po świecie. „Aya” to skrót od ayahuaski, rytualnego psychodelika amazońskich Indian, umożliwiającego m.in. poznanie natury wszechświata i wgląd we własne wnętrza. Płyta przynosi jak najbardziej pozytyw-

ne objawienia: „Zatrzymać czas/ Poczuć siłę zwykłych chwil” („Aya”), „Rzuć za siebie/ Zwątpień czarnych garść/ Zajrzyj w siebie/ W świat jaskrawych barw” („Alannah”), „Dziś lepiej niż mej zemsty smak/ Smakuje przebaczenia akt” („Przebaczenia akt”).

Muzycznie przełomów nie ma – melodyjne rockowe kawałki przeplatają się z balladami, a całość okraszona jest folkowymi ornamentami. Głos Kasi jest jej najwspanialszym orężem, a interpretacja sprawia, że wierzymy w to, o czym śpiewa. Niewątpliwie wzrusza „Dla taty” (piosenka o niedawno zmarłym ojcu), przekonuje „Tam, gdzie nie sięga ból”, a energią porywa „Krew ścinanych drzew”. Jak na 10 lat przerwy trochę za mało. © ©



★★★★★
KASIA KOWALSKA
„AYA”
UNIVERSAL



★★★★★
FATHER JOHN MISTY
„GOD'S FAVORITE CUSTOMER”
BELLA UNION

Uwielbiany przez wrażliwe damy Josh Tillman wspaniale uważa się nad sobą i światem. Neohippis gra na nostalgicznej nucie (wygląda jak młody Neil Young, śpiewa jak wcześniejszy Elton John) i zaskakująco odnosi sukcesy. A że to wtórne...



★★★★★
KRZYSZTOF KILJAŃSKI
„WIĘCEJ”
UNIVERSAL

Najlepszy album K.K. od bestsellerowego debiutu z 2005 r. Kiljański ma frajdę z barwę głosu, orkiestra krystalicznie czysto przygrywa między kanałami, a jednak całość brzmi staromodnie. Dla wielbicieli rodzimej, tradycyjnej ballady. © ©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Papierowy bilet elektroniczny

Nie jestem z tych ludzi, którzy uważają, że kiedyś było lepiej. Nie tęsknię za „moimi czasami”. Nie jestem nawet sentymentalny. Ale...

W 1979 r. pojechałem na kolonie do Niemiec. Konkretnie do NRD. Koledzy DDR-owcy nosili białe koszule i czerwone chusty. Byli świetnie zorganizowani. My mieliśmy fajniejsze ciuchy, nie mieliśmy chust i byliśmy rozlaźli. Wszyscy Niemcy potrafili pływać i nie rozumieli, że można nie umieć, więc w ramach żartów wrzucili do basenu polską wychowawczynię. Biedaczka mało nie utonąła.

Podczas jednej z wycieczek pojechaliśmy do Drezna i zwiedziliśmy m.in. oszałamiający skarbiec Augusta Mocnego, znany jako Zielone Sklepienie. To było proste. Pojechaliśmy, pani kupiła bilety, weszliśmy i wyniosłem wspomnienia na resztę życia.

Ponieważ akurat spędzamy wakacje na Dolnym Śląsku, uznałem, że moja rodzina i znajomi też powinni mieć takie wspomnienia. Zarządziłem wyprawę. Nieopatrznie jednak zerknąłem na stronę internetową muzeum, która surowo mnie pouczyła, że bilety do Zielonego Sklepienia należy kupować w internetowej przedsprzedaży, bo inaczej można obejść się smakiem.

Jęknąłem. To oznaczało kolejną rejestrację, kolejny login, kolejne hasło, kolejne podawanie danych, kolejne wklepywanie numeru karty kredytowej. No ale trudno. Chciałem mieć gwarancję, że nie odprawiają nas z kwitkiem.

Przeszedłem przez wszystkie upierdliwe wymagania, wybrałem konkretny termin (o dziwo – było jakieś pół miliarda wolnych miejsc) i zapłaciłem. Co ciekawe, mimo że odwaliłem za nich całą czarną robotę i jeszcze odpaliłem im własne dane osobowe, za każdy kupiony przez Internet bilet musiałem dopłacić ekstra 2 euro – bo przez Internet. Zdziwiło mnie to, ale nie jestem skąpy, a poza tym było to w finale półgodzinnego przedzierania się przez wirtualną kasę. Na końcu ściągnąłem bilety w PDF i zadowolony z siebie pociągnąłem spory łyk armeńskiej brandy.

Następnego dnia pojechaliśmy do Drezna. Oczywiście, nie było żadnego obłączenia, bilety w kasie na każdą godzinę można było kupić bez dodatkowych 2 euro od łebka. Ale nie ma co narzekać. O wyznaczonej godzinie stawiliśmy się przed wejściem. Wyciągnąłem smartfona z elektronicznymi biletami. Pan bileter spojrzał na mnie surowo. – Bilety trzeba mieć w wersji papierowej – wycodził groźnie. – Skąd ja panu wezmę papier? Kupiłem bilety przez Internet! – broniłem się rozpaczliwie. – Proszę iść do kasy i wydrukować – zarządził pan.

Czym prędzej pobiegłem do kasy. Dobiłem do okienka i poprosiłem o wydrukowanie biletów. Normalne były małymi tekturkami, nasze okazały się wielkimi płachtami papieru, a że było ich 10, fińskie lasy musiały boleśnie odczuć naszą wycieczkę.

W 1979 r. było jakoś łatwiej. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Na poczet pocztu

Na marginesie mundialu, który dla nas skończył się bolesnym przekłuciem balonu nadmuchanego przez najnowszą propagandę sukcesu, sny o piłkarskiej potędze okazały się nieuzasadnione, a rozbudzone apetyty przedwczesne – przyszła cokolwiek szokująca wiadomość o karze FIFA za używanie przez kibiców z Polski emblematów z mieczykami Chrobrego.

Podziwiając znajomość historii Polski i zapomnianych nawet u nas tradycji międzywojnia w gronie

muzułmanów w Europie? Co z koroną Łokietka, który – jak wiadomo – represjonował mniejszość niemiecką w Krakowie, nie przestrzegając europejskich norm praworządności, nie mówiąc już o kolumnie Zygmunta, monarchy, który ośmielił się pobić miłującą pokój Moskwę, a nawet wprowadzić swoje wojska na Kreml. Batorego (tego Orbána swoich czasów) lepiej nie wspominajmy!

Skądinąd jak to się dzieje, że dwugłowy orzeł z Kosowa jest zakazany, a ten sam ptaszek jako godło imperium rosyjskiego – poprawny. Trudno sobie nawet wyobrazić znak swastyki na piersiach niemieckich kibiców, ale ten sam symbol solarny u Hindusów nie wzbudziłby niczyjej konsternacji. A co z okrzykami? Czy kibicom z Arabii Saudyjskiej, Iranu czy Maroka wolno wołać „Allah Akbar”, czy też grożą za to srogie kary?

Inna sprawa, że co wolno jednym, to nie uchodzi płazem drugim. Fala hejtu wylała się swego czasu na polskich skoczków, żegnających się przed skokiem, ale nie zauważyłem protestów międzynarodowych ciał czy polskich autorytetów, gdy ten sam gest wykonał zawodnik Kolumbii przed wbiegnięciem na boisko.

Przyczepianie łątek bowiem następuje według reguł dialektycznych, a o tym, kto jest lub nie jest faszystą, mogą decydować wyłącznie antyfaszyszczy. ©©

Czy kibicom z Arabii Saudyjskiej, Iranu czy Maroka wolno wołać „Allah Akbar”, czy też grożą za to srogie kary?

międzynarodowych władz piłkarskich, należy zastanowić się, w czym im nasz Chrobry zawinił? Fakt, dobywał mieczyka chętnie i skutecznie, ale zarazem tworzył z Ottonem III podwaliny zjednoczonej Europy. W dodatku wciągnięcie miecza Chrobrego na indeksy symboli zakazanych może rodzić pytania o dalsze niepoprawne elementy z naszej historii.

Co z wydrą Jana III Sobieskiego, który konsekwentnie sprzeciwiał się relokacji

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Odkąd weszły w życie przepisy RODO, zgodnie z art. 17 „Prawo do bycia zapomnianym” osoba, której dane znalazły się na portalu internetowym, ma prawo żądać natychmiastowego ich usunięcia, jeśli nie zgadza się na ich przetwarzanie. Z obowiązki przepisu nie wyłączono mediów. Czy teraz każdy bohater tekstu będzie mógł się domagać wymazania jego danych?

PROF. PAWEŁ LITWIŃSKI: Prawo do bycia zapomnianym nie ma charakteru absolutnego, a media nie mogą istnieć bez danych osobowych – w końcu piszecie o innych ludziach, czyli ciągle podajecie jakieś dane osobowe. Problem w tym, że twórcy RODO najwidoczniej nie potrafili się dogadać, jak dokładnie powinny wyglądać zasady ochrony danych osobowych przez media, więc zostawili tę decyzję poszczególnym krajom. Jedno tylko wskazano wprost – prawa do bycia zapomnianym nie ma tam, gdzie dane są niezbędne dla wolności wypowiedzi i wolności informacji, czyli np. w prasie, w radiu, w telewizji, w mediach internetowych. Sęk w tym, że ta konstrukcja jest bardzo nieprecyzyjna i ktoś zawsze może twierdzić, że ma prawo zniknąć z tekstu w dzienniku czy na portalu internetowym. Wtedy może wystąpić z takim żądaniem i korzystać z prawa do skargi do prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych, a następnie do sądu. W takim postępowaniu trzeba się bronić, takie postępowanie trwa a nie ma co ukrywać – potrafi kosztować.

Kwestią czasu będzie konieczność rozstrzygnięcia przez sądy, jak długo informacje o osobie mają prawo być dostępne w internetowym wydaniu gazety. Będzie pewnie standardowo podnoszone, że nawet wyroki skazujące się zacierają.

Nie można tego wykluczyć. Tego rodzaju zagrożenia pojawiały się już wcześniej, na kanwie wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE w sprawie Google Spain. Ten wyrok wprowadził ograniczone prawo do bycia zapomnianym – można było zażądać, aby wyszukiwarka internetowa usunęła wyniki wyszukiwania odnoszące się do nas, gdy np. zostaliśmy skazani, a wyrok się zatarł. I takie przypadki się pojawiały – ktoś, kto był skazany za pedofilię i opisał ten fakt media, żądał od Google, żeby po wpisaniu jego nazwiska do wyszukiwarki już nie pojawiały się odesłania do stron opisujących jego sprawę.

Ważne jest też, że nowe przepisy przyjęte przez Polskę wprowadzają nieznaną wcześniej możliwość – tzw. zabezpieczenie. Prezes UODO może tym-



Z dr. Pawłem Litwińskim, prawnikiem, ekspertem w zakresie ochrony danych osobowych rozmawia Wojciech Wybranowski

Furtka do cenzury mediów

czasowo, na czas trwania postępowania, nakazać np. ograniczenie przetwarzania jakichś konkretnych danych osobowych. Czyli wpływa skarga, w której ktoś żąda od prasy „zapomnienia”, prezes UODO ją rozpatruje (to może trwać miesiącami), a na ten czas może nakazać redakcji np. wyłączenie dostępu do konkretnego tekstu. To potencjalnie ogromne zagrożenie.

„Do Rzeczy” zetknęło się już z podobną sytuacją. Napisał do nas niejaki Ryszard Matuszewski, lider sekty Himawanti, który powołując się na art. 17 RODO, zażądał od nas usunięcia ze wszystkich publikacji internetowych jego nazwiska. Zastanawiam się, czy za chwilę mediów nie zasypią podobne wezwania od krytycznie opisywanych przez nie osób. Widzi pan takie ryzyko?

Oczywiście, że tak. Z własnej praktyki mógłbym przywołać już niejedno takie żądanie.

To niepokojące. Mamy dwa rejestry osób skazanych za przestępstwa seksualne, tzw. rejestry pedofilów. Jeden jawny, drugi niejawny. Czy po wejściu w życie RODO osoby, których dane znajdują się w tych rejestrach, a zwłaszcza w tym publicznie dostępnym, mogą ubiegać się o ich skasowanie?

Nie mogą. Prawa do bycia zapomnianym nie ma, gdy baza danych jest prowadzona przez władze publiczne, na podstawie ustawowych

przepisów (art. 17 ust. 3 pkt b RODO). Właśnie tak jest w tym przypadku – rejestry pedofilów są prowadzone na podstawie odpowiednich ustaw.

Brał pan udział w pracach i konsultacjach nad RODO. Dlaczego nie wzięto pod uwagę zasady wolności mediów?

RODO dało państwowym członkowskim taką możliwość, żeby pójść o krok dalej niż ta nieprecyzyjna i ocenna konstrukcja z wolnością wypowiedzi i informacji – można w ogóle wyłączyć prawo do bycia za-

FOU BARA LITWIŃSKI

pomnianym w stosunku do prasy. Czyli przesądzić, że nie można zniknąć z artykułu prasowego bez pozostawiania tej decyzji prezesowi UODO i sądom. Polska, niestety, z tej możliwości nie skorzystała i nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak się stało. A oczywiście jest prawdą, że m.in. ja – w czasie prac nad polskimi przepisami o ochronie danych osobowych – postulowałem takie wyłączenie prawa do bycia zapomnianym.

Kilka dni temu skończył się rok szkolny i słyszymy, że dyrektorzy kilku szkół obawiali się wyczytywania nazwisk wyróżniających się uczniów

bez zgody ich rodziców w obawie, że naruszą przepisy RODO. Słusznie?

Oczywiście, że niesłusznie! To jeden z wielu przykładów „RODO-szaleństwa”, przedziwnego zjawiska z pogranicza prawa, socjologii i psychologii. Otóż w związku z RODO nie zmieniły się żadne przepisy dotyczące ochrony danych osobowych uczniów – za to wiele mówiło się o samym RODO i karach za jego naruszenia. Co więc się stało? Boimy się nieznanego i przesadzamy. Powtórzę więc raz jeszcze – nauczyciel może wywoływać uczniów po nazwisku.

O ile sprawę szkół możemy traktować jako ciekawostkę, o tyle już problemem stało się to – a mamy kilka takich przypadków – że bliscy chorych, rannych, którzy trafili do szpitala, nie mogą uzyskać informacji, gdzie i w jakiej placówce oni są.

Znów to samo – ktoś boi się mitycznego RODO, którego najwidoczniej nie zna. A sytuacja jest taka sama jak ze szkołami: RODO nie zmieniło niczego w zasadach dostępu rodziców do danych osobowych dzieci czy do danych pacjentów.

Poza tym te sytuacje pokazują jedno bardzo negatywne zjawisko: brak procedur. Zasady dostępu do danych osobowych pacjentów powinny regulować procedury obowiązujące w szpitalu. Te procedury powinny być zgodne z prawem, wdrożone i stosowane.

Gdy pojawia się żądanie konkretnych informacji, nie ma czasu na zastanawianie się, czy je podać czy nie – trzeba stosować procedury. O ile oczywiście zostały wdrożone...

Słyszał pan o śmierci radnego Pawła Chruszcza w Głogowie? Dzień po znalezieniu ciała poseł Sylwester Chruszcz zawiadził na policję PIN do telefonu brata oraz odzyskane e-maile ze skrzynki (także te wcześniej skasowane),

mówiąc, że warto je sprawdzić. Policja głogowska odmówiła ich przyjęcia, tłumacząc się przepisami RODO, i oznajmiła, że trzeba czekać na biegłego. A czas płynie.

Nawet nie wiem, jak to skomentować... Artykuł 2 ust. 2 RODO – RODO nie ma zastosowania do przetwarzania danych „przez właściwe organy do celów zapobiegania przestępczości, prowadzenia postępowań przygotowawczych, wykrywania i ścigania czynów zabronionych lub wykonywania kar”. RODO się nie stosuje do prowadzenia postępowań przez policję! To wynika z samego RODO i nie powinno budzić wątpliwości.

Wielu Polaków liczyło, że wejście w życie przepisów RODO zapobiegnie nękanii telefonami od telemarketerów. Przeliczyli się, telefoniczni sprzedawcy dalej są aktywni. Jak z tym walczyć w świetle nowych przepisów?

Akurat tutaj prawo do bycia zapomnianym przyda się jak znalazł: prosimy o usunięcie naszych danych z powołaniem się na art. 17 RODO. Każdy kolejny telefon od tej samej firmy z ofertą marketingową to możliwość wniesienia skargi do prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych, który na oporną firmę może nałożyć bardzo wysokie kary.

Jakie widzi pan największe zalety i zagrożenia wynikające z RODO?

Największą zaletą RODO jest to, że w ogóle jest – stare przepisy o ochronie danych osobowych pochodziły z czasów, gdy Internet w formie, w jakiej go dzisiaj znamy, jeszcze nie istniał, a najszybszą formą komunikacji nie były e-mail czy SMS, ale telegram. Potrzebowaliśmy prawa nadążającego za techniką. Potrzebowaliśmy też prawa ochrony danych osobowych, które można było realnie egzekwować – poprzednia ustawa z 1997 r. miała taką wadę, że w zasadzie nie było żadnych sankcji za jej naruszenie.

Największa wada RODO? Sposób, w jaki RODO zostało napisane: mnóstwo w nim klauzul generalnych i zwrotów niedookreślonych („dostępna technologia”, „duża skala” itp.). Czasem żartuję, że to zemsta Brytyjczyków na reszcie Unii: RODO jest napisane tak, jak pisze się prawo w krajach anglosaskich, podczas gdy Brytyjczycy mają swój brexit i RODO jako takiego stosować nie będą. Mali i średni przedsiębiorcy tego nie rozumieją. Stąd ogromna szkoda, że nie udało się ograniczyć obowiązków, które RODO nakłada na małe i średnie przedsiębiorstwa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Millennials odchodzą z rozmachem



Tomasz P. Terlikowski

Zwolennicy tezy o nieuchronności laicyzacji, która zniszczy także fenomen polskiej religijności, mogą świętować. Badania pokazują, że młodzież na całym świecie odchodzi od religii. W Polsce jest to wyraźnie widoczne

Institut badawczy Pew Research Center to jeden z najpoważniejszych ośrodków zajmujących się analizą fenomenu religijności na świecie, a jego badania trafnie i z ogromną precyzją ukazują zmiany w światowej (a także amerykańskiej) religijności. Badaczom nie można zarzucić pisania dokumentów pod tezę ani tym bardziej antyreligijnej pasji. Jeśli więc badania przeprowadzone w 108 krajach pokazują pewne zjawisko, to warto się nad nim zatrzymać, zamiast chować głowę w piasek. Odpowiedzi nie muszą być jednak tak oczywiste, jak się zdaje części ateistycznych agitatorów, którzy już obwieścili niemal śmierć polskiego katolicyzmu i przekonują, że jesteśmy dokładnie na tej samej drodze co kraje zachodnie i że już za moment okaże się, iż polskie świątynie opustoszały, tak jak te w innych krajach europejskich.

NAJWIĘKSZY SPADEK, NAJBARDZIEJ RELIGIJNI

Zacznijmy jednak od twardych danych. Badacze zadali respondentom cztery pytania: „Czy czujesz się związana/związany z religią?”, „Czy chodzisz co niedzielę do świątyni?”, „Czy religia jest dla ciebie bardzo ważna?”, „Czy codziennie się modlisz?”. Odpowiedzi na całym świecie

wskazują wyraźny spadek religijności wśród młodych ludzi, ale nie ma wątpliwości, że najbardziej widoczny jest on w Polsce. Odpowiedzi na trzy pierwsze pytania pokazują, że Polska jest „liderem” spadku religijności z pokolenia na pokolenie. W przypadku czwartego pytania zajęliśmy drugie miejsce. Co to oznacza? W największym skrócie to, że przepaść w praktykach religijnych między pokoleniami poniżej 39. roku życia i powyżej niego stale się powiększa. Z badań Pew Research Center wynika, że uczestnictwo we mszy świętej deklaruje 55 proc. Polaków po 40. roku życia i tylko 26 proc. młodych. Podobnie w przypadku deklaracji, że wiara jest bardzo ważnym czynnikiem w życiu, jest to różnica 40 proc. do 16 proc. Codziennie modli się zaledwie 14 proc. młodych i 39 proc. dorosłych mieszkańców naszego kraju.

Te dane mogą oczywiście szokować, ale tylko tych, którzy nigdy nie oglądali statystyk. To, że młodzi odchodzą od Kościoła (a szerzej – szczególnie w świecie zachodnim – od zorganizowanej religijności), wiadomo od dawna, a proces ten tylko nabiera tempa. Kościoły/Kościół trącą młodzieżą od dawna i nie bardzo wiadomo, co z tym zrobić ani nawet skąd się ten proces bierze. Josh McDowell amerykański kaznodzieja

i mówca wskazuje, że w Stanach Zjednoczonych ten proces nabiera coraz większego tempa, a Rod Dreher, autor znakomitej „Opcji Benedykta”, wprost stwierdza, że obecne pokolenie Amerykanów, tzw. millennials, będą pierwszym pokoleniem niereligijnym, indyferentnym. Badania Pew Research Center te dane potwierdzają. Wśród młodych Amerykanów stale rośnie liczba osób nieidentyfikujących się z żadnym wyznaniem (obecnie jest to 35 proc., co stanowi aż dwukrotny wzrost w porównaniu z pokoleniem baby boomers (17 proc.) i prawie trzykrotny (11 proc.) w porównaniu z „milczącą generacją” (czyli najstarszymi pokoleniami Amerykanów). Im młodszy Amerykanin, tym jest gorzej.

W Polsce jest podobnie. Jednak – a to istotny element tych badań – wcale nie oznacza to (ani w Polsce, ani w USA), że młodzież staje się ateistyczna albo że nie wyróżnia się na tle innych krajów swoją religijnością. Tak się bowiem składa, że na tle Europy młodzi Polacy nadal są religijni i zaangażowani. Nieznaczny jest także spadek (bo tylko o 6 proc.) deklarowanego przywiązania do Kościoła i zorganizowanej religijności. W tej kwestii, nawet w porównaniu z naszymi sąsiadami (złośliwie można nas porównać do Czechów, gdzie ponad 90 proc. ludzi młodych deklaruje, że





nie jest związane z żadną religią), jest bardzo dobrze. To, że Polska pozostaje liderem spadku religijności, wynika zaś z tego, że polska młodzież spada z wysokiego, jak na warunki europejskie, pułapu.

ROZPAD STRUKTUR SPOŁECZNYCH

Analiza ta nie oznacza, że nie mamy się czym martwić. 26 proc. uczestniczących w mszach świętych młodych Polaków to fakt, a nie interpretacja. A trzeba mieć świadomość, że dane te zawyżają młodzi Polacy z regionów tradycyjnie religijnych, gdzie uczestnictwo we mszy świętej jest – coraz słabiej, ale wciąż jeszcze – elementem tradycji, którą wymusza się społecznie. Ci sami młodzi Polacy – z Podkarpacia, Małopolski czy Podhala – gdy wyjeżdżają na emigrację czy nawet do Warszawy, Wrocławia czy Poznania, nagle przestają praktykować. W Dublinie, Londynie czy Berlinie praktykuje średnio 5 do 10 proc. Polaków, a często do świątyń nie zajądą ci sami, którzy – gdy wracają do siebie – nadal praktykują. Tak dobre (wiem, że to brzmi jak herezja) wyniki praktyk wśród młodych Polaków wynikają więc właśnie z silnych jeszcze struktur społecznych w części Polski.

Jednak i te struktury słabną. To, co było oczywiście jeszcze kilka-kilkanaście lat

temu, to znaczy, że społeczność – w pewnym sensie i w niektórych regionach Polski – „pilnuje” praktyk religijnych, powoli przestaje takie być. Rodzina czy otoczenie zaczyna przesiąkać rzekomą „tolerancją”, przekonaniem o wolności wyboru i nie „wymusza” już praktyk. Efekt jest taki, że religijność (co nie oznacza wiary) przestaje być dziedziczona, a tym, co z niej pozostaje, jest jedynie deklaracja (co doskonale widać po tym, jak wysoki jest wskaźnik deklarowanego katolicyzmu). Jednak i on, co do tego nie ma wątpliwości, zacznie spadać albo stanie się – jak to ma miejsce w Irlandii – wyłącznie określeniem tożsamości społecznej, bez realnego wpływu na życie osobiste czy wspólnotowe. Na ten proces nakłada się inny, jeszcze bardziej niebezpieczny, jakim jest rozpad więzi rodzinnych. Rozwody, rodziny patchworkowe, brak więzi z dziadkami (co przy migracjach nawet wewnątrz Polski staje się normą, a nie wyjątkiem) także osłabiają przekaz religijności czy tradycji.

Co to oznacza dla duszpasterzy czy zaangażowanych w ewangelizację wiernych? Odpowiedź jest prosta. Trzeba przestać opierać przekaz wiary na strukturach społecznych czy nawet rodzinie (choć ona pozostaje głównym przekazywaniem wiary), a także na tradycji (choć pozostaje ona

ważnym elementem każdej religii), a skupić się na budzeniu w młodych ludziach osobistej relacji do Jezusa Chrystusa. Jeśli nie uda się tego zrobić w okresie szkolnym czy najpóźniej uniwersyteckim, to jest bardzo prawdopodobne, że młodzi – wcześniej czy później – odpłyną od Kościoła i religii. Duszpasterstwo musi się stawać coraz bardziej osobiste, musi być towarzyszeniem w rodzeniu osobistej wiary, a nie jedynie skupianiem się na kontrolowaniu czy pielęgnowaniu tradycyjnej religijności. W świecie zniszczonych struktur społecznych religijność i wiara przestają być dziedziczone, a muszą stawać się osobistym wyborem. Wyborem, który – to jest kluczowe dla przyszłości katolicyzmu w Polsce – musi opierać się na racjonalności, uzasadnieniu, rozumności. Emocjonalność, przeżywanie jest dobre na krótko, ale jeśli wiara ma przetrwać, to musi opierać się na mocnym, racjonalnym uzasadnieniu.

MŁODZI MAJĄ STAĆ SIĘ STARZY

Zmiana duszpasterska, o której tu mowa, nie powinna jednak opierać się na próbie dostosowania się do młodych, zrobienia duszpasterstwa młodzieżowego, które uszyte będzie na miarę potrzeb millennialów. To jeden z błędów, które niszczą dojrzałą religijność. Młodość ma bowiem to do siebie, że jest „chorobą, która szybko mija”, a powinna prowadzić do dojrzałości, a nie do pielęgnowania niedojrzałości. Pomysł, by w miejsce normalnego duszpasterstwa wprowadzić duszpasterstwo na modłę młodzieży, prowadzi nie tyle do przyciągnięcia młodzieży, ile do... infantylizacji wiary, która nikogo do wiary nie zachęca, a raczej do niej zniechęca. Ani specjalne młodzieżowe liturgie, ani dostosowanie przekazu do młodych wcale nie przyczynia się do rozwoju wiary.

Przesada? Niestety, nie. Wystarczy zobaczyć, że... na mszach trydenckich, choć akurat one nie są w niczym dostosowane do młodych, jest wielu, bardzo wielu młodych mężczyzn, którzy nie chcą uczestniczyć w papce, jaką coraz częściej oferuje im Kościół. Twardy pokarm, piękna liturgia, jasna teologia jest czymś, co przyciąga młodzież. I dlatego zamiast rozmyślać, rozmiękczać, upodabniać się do świata, lepiej zaoferować młodym ortodoksyjny, nawet jeśli niekoniecznie tradycyjny katolicyzm. Nie ma innej drogi ich pozyskania dla wiary, jak właśnie budzenie osobistej wiary w Jezusa w połączeniu z racjonalnym uzasadnieniem i pięknem tradycji Kościoła.



Talary złej sławy



Jan Krzysztof Kelus

Medal – niewielki, najczęściej okrągły lub owalny, płaski wytwór metalowy wykonany zazwyczaj techniką odlewu lub bicia – taka jest krótka definicja. Nadawany po to, by upamiętnić jakieś wydarzenie, czyjeś zasługi, kogoś uhonorować. A czy można się nim posłużyć po to, by kogoś potępić, pohańbić bądź ośmieszyć? Owszem, trzeba tylko mieć trochę wiedzy historycznej, fantazji i energii, by fantazję zamienić w czyn

Tych dwóch pierwszych przymiotów nie brakowało Jerzemu Giedroycowi, który na początku stanu wojennego przysłał podziemnemu wydawnictwu CDN piękne repliki carskiego medalu „Za Uśmierzenie Buntu Polskiego” – медаль „За усмирение польского мятежа” (chodziło o powstanie styczniowe). Wskazał wytypowanych przez siebie „kawalerów orderu”, a resztę listy mieliśmy za zadanie wedle naszego krajowego rozeznania uzupełnić. W akcji dystrybuowania odznaczeń niestety nie mogłem wziąć udziału, bo mnie internowali. Kiedy wyszedłem na wolność, mój przyjaciel Czesław Bielecki opowiedział mi z detalami, jak to wyglądało. Każdy infamis prócz orderu otrzymał dyplom od gen. Jaruzelskiego, z jego podpisem perfekcyjnie sfalszowanym przez nieodżałowanej pamięci Marysię Twardowską. Część przesyłek poszła pocztą, część przez umyślnych posłańców. Nazwisk infamisów dla oszczędności miejsca nie wymienię, ale zaręczam, że każdy z nich na infamię pracowicie zapracował.

Jak to odebrali? Nie wiem, gdyż w takim towarzystwie się nie obracałem. Dotarła do mnie tylko jedna relacja z jakichś przecieków. I był to szok, histeria oraz atak wściekłości.

Skąd mi się wzięło na wspominki? Przyśnił mi się mianowicie mój nauczyciel historii z podstawówki pan Kawecki. Przyśnił się i pyta: „Jasiu, wiesz, czym był talar targowicki?”. A ja ani be, ani me. Coś było. Ale czy to był medal, czy pieniądz? Dziura w głowie. „No to jak nie wiesz, to się dowiedz” – nakazał profesor.

Obudziłem się i do komputera. Po minucie mogłem się mu – to znaczy talarowi – dokładnie przyjrzeć. Po półgodzinie dowiedziałem się o nim całkiem sporo. Tyle przynajmniej, by odpowiedzieć na pytanie profesora. A trzeba przyznać, że było ono podchwytliwe. Był to bowiem po części medal, po części pieniądz. Obejrzyjcie sobie i sami się dowiedzieć.

Czas, by te dwa wątki ze sobą połączyć. Rzucam oto pomysł, by ktoś młodszy, energiczniejszy i niemieszający jak ja pod lasem, wykonał repliki talara targowickiego, powielając pomysł księcia Giedroycia. Analogie historyczne się narzucają. One są wprost zawarte w inskrypcjach na owym medalopieniądzu:

**CIVIBUS
QUORUM PIETAS
CONIURATIONE DIE III.
MAI. MDCCXCI OBRUTAM
ET DELETAM LIBERTA
TE POLONA TUERI
CONABATUR RESPU
BLICA RESUR
GENS.**

A zatem, w wolnym przekładzie:

**OBYWATEŁOM, KTÓRZY MIŁOŚCIĄ DO KRAJU
WIEDZENI,
PRÓBĘ OBRONY WOLNOŚCI POLSKI,
ZNISZCZONEJ PRZEZ SPISEK Z DNIA 3 MAJA
1791 ROKU PODJĘLI
RZECZPOSPOLITA POWSTAJĄCA.**

I zaiste: był to trochę medal, trochę pieniądź. Jako medal został rozdany prominentnym obrońcom starego ładu Rzeczypospolitej magnackiej, ale jako moneta bita w Mennicy Królewskiej o określonym nominale był też legalnym środkiem płatniczym, czyli pieniądzem wartym osiem złotych. I do tej właśnie wartości ośmiu złotych odwoływały się wierszki pisane przez

lud warszawski na murach stolicy w roku Pańskim 1793:

**SOBIE I SVOIM ROZDAJ PO TALARZE BITYM,
JEŚLI CHCESZ W POTOMNOŚCI POZOSTAĆ
ZNAKOMITYM,
KSIĄDZ BISKUP KOSSAKOWSKI ZA
SZCZEGÓLNE CNOTY
ZE STOLICY PETERSBURSKIEJ ODEBRAŁ
KLEJNOTY
A WY DROBNIEJSZE ŁOTRY, CO MNIEJ JADU
MACIE
PO OSIEM TYLKO ZŁOTYCH WEŹMIECIE
W ZAPŁACIE.**

„I tak moneta wybita, jako element propagandy, stała się niemą bohaterką i wylądowała na śmietniku historii pośród uszczypliwych wierszyków” – kwituje historię blogger Eleniasz, autor strony o monetach SAP, z której o talarze targowickim znacznie więcej się dowiedzie.

Bardzo namawiam, by go teraz ze śmietnika historii wydobyć. Potrzeba jest pilna, a zrobienie repliki to naprawdę ani wielki koszt, ani wielki wysiłek. Nie bardzo wiem, kogo do tego namawiać: chyba nie Mennicę Państwową.

Może raczej Redutę Dobrego Imienia albo jakąś inną instytucję? Chociaż niekoniecznie. To może zrobić każdy drobny przedsiębiorca, kilku przyjaciół, którzy zainwestują w to trochę czasu i trochę grosza. A dystrybucja? No... nie wiem. Jednak jakby tak ktoś dowcipny przekazał talary w numizmatycznych puzderkach Guyowi Verhofstadtowi z prośbą, by uhonorował nimi swych ulubionych polskich eurodeputowanych, to chyba by ich uhonorował. Podejrzewam, że ani w łacinie, ani w historii Polski raczej niekumaty. Chyba że nie miałby kto do niego zaufania, to ostatecznie można by przez Schetynę. Jest podobno okropnie pamiętliwy, więc zemstę za złamanie dyscypliny partyjnej miałby jak znalazł. Co wybór – to beka, że aż się rozmarzyłem.

Skończmy na poważnie. Reasumując: po ostatnich wyczynach naszych neotargowician pomysł jest wart realizacji. Pomysłodawcą jest Jerzy Giedroyc i gdyby żył, to medale z listą zasłużonych z pewnością by już nadeszły z Paryża.

Ja tylko o jego pomysły przypomniałem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Serce w Serce

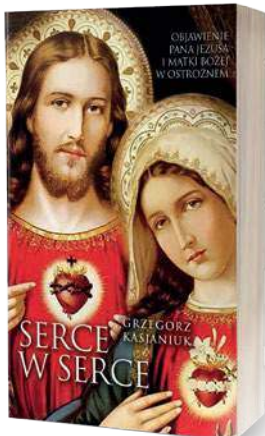
Rozmowa z Grzegorzem Kasjaniukiem, autorem książki „Serce w Serce”.

Objawienia w Ostrożnem są mało znane Polakom. Co wydarzyło się w Ostrożnem?

Ostrożne to wieś położona niedaleko Zambrowa w województwie podlaskim. Od połowy lat osiemdziesiątych mieszkająca tam siostra ma mistyczne wizje. Przez wiele lat informacja o tym miejscu była znana tylko lokalnej społeczności i Kościołowi.

Kiedy miały miejsce pierwsze objawienia?

Wszystko zaczęło się w poniedziałek rano, 30 lipca 1984 r. Siostra Czesława Polak, wtedy jeszcze osoba świecka, przechodziła skrajem sosnowego zagajnika z naręczem polnych kwiatów. Nagle zauważyła postać przypominającą Zbawiciela. Nieznajomy, w jasnej szacie, niepodobnej do współczesnych ubrań, szedł z pochyloną głową. Odezwał się do niej. Do Czesławy dotarło, że dane jej było spotkać samego Jezusa Chrystusa. 6 grudnia 1991 r., w pierwszy piątek miesiąca, s. Czesława widziała też Matkę Bożą zdążającą do kaplicy. Od tego momentu Niepokalana stale towarzyszy siostrze zakonnej w wizjach. Te zdarzenia odmieniły życie s. Czesławy.



Kim jest siostra Czesława Polak?

Czesława Polak jest prostą siostrą, która otrzymała pozwolenie na pustelnicze życie bezpośrednio od Jana Pawła II. Siostra nie szuka rozgłosu i nie rozmawia z mediami. Kiedy dowiedziałem się o Ostrożnem, postanowiłem spotkać się z Siostrą, ale byłem przekonany, że odmówi udzielenia wywiadu. Nie sądziłem, że opowie o tym, co zdarzyło się w tym miejscu w 1984 roku, a także o późniejszych objawieniach. Polana, na której stoi kaplica p.w. Matki Bożej Anielskiej, jest już miejscem kultu. Jest tam postawiona figura Pana Jezusa, w miejscu, w którym został odcisnięty ślad Jego stopy. Wiele osób tam się nawraca i jest uzdrawianych. Książka „Serce w Serce” jest opowieścią o siostrze Czesławie Polak, o objawieniach w Ostrożnem, a także o życiu współczesnych nam rodaków, których powikłane losy prowadzą do tej wsi przytoczonymi na potrzeby tej książki świadectwami nawrócenia i wiary. Przede wszystkim zwracam w niej jednak uwagę na aspekt bliskości Serc Jezusa Chrystusa i jego Matki.



Adam Zubek

Jak pokazuje historia, zagłada naszego świata może nadejść ze strony Kosmosu w każdej chwili

Trudno wyobrazić sobie miejsce bardziej niedostępne, bardziej nieprzyjazne ludziom niż ten region Syberii, gdzie 30 czerwca 1908 r. doszło do katastrofy tunguskiej. W wyniku ogromnej eksplozji widzianej

z przeszkód, które piętrzyły się przed kolejnymi wyprawami badawczymi, były komary. Sformułowano nawet hipotezę, że katastrofa tunguska była wynikiem samozapłonu jakiejś kolosalnej chmury komarów unoszącej się nad tym bagnistym regionem.

MILCZĄCY ŚWIADKOWIE

Albo historia innego zdarzenia. Od lat geologów i paleontologów nurtuje zagadka wielkiego, największego w dziejach Ziemi wymierania, sprzed 250 mln lat, na granicy ery paleozoicznej i mezozoicznej, kiedy to wyginęło na Ziemi 95 proc. wszystkich gatunków.

najpóźniej odkrytym, niezamieszkałym kontynencie, czyli na Antarktydzie. Pod grubą, dwukilometrową warstwą lodu stwierdzono anomalię liczącą ponad 300 km średnicy i – jak wykazały badania radarowe – znajdującą się w środku 500-kilometrowej kolistej struktury otoczonej skalistym grzbiem. Na ślad krateru na Antarktydzie natrafili dwaj geolodzy z Ohio State University, prof. Ralph von Frese i dr Laramie Potts, analizując dane dostarczone przez dwa satelity Grace (wystrzelone przez NASA w 2002 r. w celu pomiarów ziemskiego pola grawitacyjnego). Według nich anomalia ma wszelkie cechy krateru uderze-



Śmierć z

w promieniu ponad 600 km. Nic dziwnego, że ludzie Zachodu ograniczyli się jedynie do zachwytów nad niezwykłymi zjawiskami optycznymi w atmosferze, że nie zainteresowały się bliżej tym zdarzeniem środowiska naukowe ówczesnej Rosji, że musiało minąć 19 lat, zanim samotny pasjonat, Leonid Aleksiejewicz Kulik, młody naukowiec z petersburskiego Muzeum Mineralogicznego, postanowił wyjaśniać zagadkę na miejscu, w skrajnie nieprzyjazznych warunkach. Nawiasem mówiąc, jedną

Podejrzewano, że przyczyna mogła być taka sama jak w przypadku zagłady dinozaurów 185 mln lat później, czyli impakt – upadek jakiegoś ciała niebieskiego (meteorytu, planetoidy, komety) wielkich rozmiarów. Jednak gdzie ślad tego zbrodniarza? Gdzie krater podobny do tego, który w przypadku dinozaurów z najwyższym trudem zlokalizowano głęboko w wodach Morza Karaibskiego? Dowód tej największej w dziejach świata zbrodni natura ukryła bardzo skrzętnie – na najdalszym, niedostępnym,

niowego, którego sprawcą był meteoryt o mniej więcej 50-kilometrowej średnicy – zapewne przyczyna największego z wymierań świata żywego.

Albo jeszcze inna historia. Aż do lat 60. XX w. mieszkańcy pewnego szwabskiego miasteczka, Nördlingen, żyli spokojnie, ciesząc się malowniczym położeniem w pięknej kotlinie. Ich przodkowie nie mieli problemu z materiałem budowlanym – na okolicznych wzgórzach pełno było skalistych odkrywek. Przed 50 laty odwiedził to piękne, choć

senne miasteczko pewien amerykański astronom. Zamiast jednak zajmować się niebem i gwiazdami, wpatrywał się pilnie pod nogi i w mury starych kamieniczek. Eugene Shoemaker długo krążył zwłaszcza wokół ratusza i średniowiecznego kościoła św. Jerzego. Wkrótce zdumieni mieszkańcy dowiedzieli się, że do powstania ich miasta i całej okolicy przyczyniły się siły pozaziemskie. Malownicza kotlina, w której jest ono położone, to wielki krater meteorytowy, a większość miejskich budowli wzniesiono ze skał, które uformowały się podczas uderzenia kosmicznego ciała.

pozostawiła nam w całej okazałości, jakby specjalnie dla nauki i przestrogi. Jednak tej lekcji ludzkość też nie odrobiła.

TYLKO CIEKAWOSTKA?

Karl G. Gilbert, który pod koniec XIX w. pierwszy spojrział okiem geologa na ten krater, był przeświadczony, że ma przed sobą krater wygasłego wulkanu. Ślady gwałtownego wybuchu były wyraźne: urwiste zbocza, wał wyrzucenych i pokruszonych skał dookoła... Coś się jednak nie zgadzało. Mimo szczegółowych badań Gilbert nie natrafił na wulkaniczne skały i minerały. Myśl, która

nie to dzieło ziemskich sił. I choć odkryć przybywało (w 1937 r. znano na Ziemi 10 kraterów uderzeniowych, w 1963 r. – 25, a w 1982 r. – 100), to geolodzy traktowali je zupełnie marginesowo – jako bardzo wątpliwą ciekawostkę, ewentualnie jako atrakcję turystyczną. Po publikacji Gilberta całymi latami zawzięcie dyskutowano, podając w wątpliwość ich pozaziemskie pochodzenie. Sprawa co najmniej dziwna. Przecież już sto lat wcześniej oficjalna akademicka nauka pogodziła się, choć nie przyszło jej to łatwo, z myślą, że kamienie mogą spadać z nieba. Nie oznaczało to jednak, że dostrzeżono związek przyczynowy

Kosmosu



Przez długie lata podawano w wątpliwość tezę o pozaziemskim pochodzeniu krateru uderzeniowego w Arizonie. FOT. FOTOLIA

Shoemaker to nieżyjący już amerykański geolog i astronom, uważany za ojca współczesnej impaktologii, a Nördlingen to światowa mekka impaktologów. Szkoili się tu amerykańscy astronauta przed misjami Apollo.

Skąd Shoemaker wiedział, czego szukać? Od jakiegoś czasu interesował się słynnym kraterem położonym na pustyni w Arizonie (Canyon Diablo, Meteor Crater, Barringer Crater) i poznał wszystkie jego tajemnice. A jest ten krater jedynym chyba na Ziemi obiektem, który natura

przyszła mu do głowy, wydawała się nieprawdopodobna, jednak zdecydował się zawrzeć ją w swojej relacji z badań. Tytuł publikacji brzmiał: „A meteorite crater” („Krater meteorytowy”). Ukazała się ona w 1891 r. I choć Gilbert wkrótce wycofał się z tego pomysłu (uznał, że krater jednak powstał w wyniku wybuchu par i gazów wulkanicznych), to data ta pozostaje datą odkrycia pierwszego Krateru Meteorytowego na Ziemi.

Jeszcze w latach 50. XX w. ukazywały się prace dowodzące, że krater w Arizo-

między upadkami meteorytów a istnieniem kraterów na powierzchni lądów. Nie została bowiem odrobiona lekcja, do której wstęp stworzył Galileusz.

W 1609 r. Galileusz skierował skonstruowaną przez siebie lunetę w stronę Księżyca. Dostrzegł tam dziwne koliste góry. Kolejni obserwatorzy słusznie dopatrzili się w nich kraterów. Niestety, jedynymi kraterami, które wówczas znano, były krater wulkaniczne. I tak też zaklasyfikowano krajobraz księżycowy. Dopiero gdy na przełomie XVIII i XIX w.

pojawiły się nieśmiałe głosy o meteorytowym pochodzeniu kraterów księżycowych. Ostateczne potwierdzenie przyniosła dopiero era lotów kosmicznych, ale i to nie oznaczało, że domyślano się roli, jaką impakty odgrywały w dziejach życia na Ziemi.

Na nasze usprawiedliwienie mamy to, że Ziemia ma wyjątkowy dar szybkiego zablizniania ran zadawanych jej przez różne kataklizmy, w tym także przez przybyszów z Kosmosu. Sprawia to aktywność naszej planety. Erozyja i wietrzenie, działalność lodowców, wędrówka kontynentów, wulkanizm, górotwórczość, zjawiska atmosferyczne oraz zmienność klimatu i – wreszcie – życie. To wszystko nieustannie i bardzo gruntownie przeobraża krajobraz Ziemi. Możemy mówić o prawdziwym szczęściu, że arizońska pustynia tak znakomicie zakonserwowała ślad po zdarzeniu sprzed 50 tys. lat.

Jednak gdyby nie warstewka iłu wśród wapieni z okolic Gubbio w Apeninach, która zafrapowała młodego amerykańskiego geologa Waltera Alvara, nadal traktowalibyśmy informacje o odkryciu kolejnych kraterów jako ciekawostkę krajoznawczą. Alvarez znalazł w tej centymetrowej warstewce dowód na to, że granica mezozoiku i kenozoiku (zwana też granicą kreda/trzeciorzęd) to ślad po globalnym kataklizmie, który wywołał kolejne wielkie wymieranie. Najbardziej znanymi ofiarami tego wymierania były dinozaury. Sprawcą kataklizmu był impakt – zderzenie z Ziemią planetoidy, stosunkowo niedużego, 10-kilometrowego ciała niebieskiego. A dowodem była podwyższona zawartość irydu – pierwiastka, który stanowi swoisty „autograf” owego ciała niebieskiego. Wkrótce odkryto pozostałości krateru, zlokalizowano go na dnie Zatoki Meksykańskiej w pobliżu półwyspu Jukatan.

ROZSZYFROWANY SCENARIUSZ

Nadal jednak nie potrafią sobie wyobrazić, jak takie lokalne zdarzenie może doprowadzić do wymierania na skalę globalną. Z pomocą przyszli klimatolodzy i geofizycy, a w dalszej kolejności biolodzy i ekologodzy. Okazuje się, że uderzenie ciała niebieskiego tej wielkości uruchamia wszystkich „Jeźdźców Apokalipsy”. Pył wyrzucony w atmosferę po eksplozji, a także dym i sadza z pożarów sprawiają, że stru-

mień energii słonecznej docierającej do powierzchni Ziemi maleje do poziomu poniżej 10 proc. strumienia normalnego. Rzecz jasna, odbija się to na życiu roślin i zwierząt, zakłócając poważnie ciągłość łańcucha pokarmowego. Temperatura po kilku tygodniach osiąga minimum i spada do –23 st. C – nastaje tzw. zima impaktowa, powodująca duże zmiany w cyrkulacji atmosferycznej i oceanicznej. Mróz skuwa lodem jeziora i rzeki na półkuli północnej, a okres wychłodzenia Ziemi może trwać rok lub dłużej. Kolejne efekty wywołują powstałe w kuli ognistej wybuchu tlenki azotu i różne gazy toksyczne. Skutkiem są kwaśne deszcze, a raczej deszcze kwasu – głównie azotowego. Kwas ten opada z deszczem na ziemię, zabijając zwierzęta i rośliny oraz rozpuszczając skały. Zniszczona zostaje

Ziemia ma wyjątkowy dar szybkiego zablizniania ran zadawanych jej przez różne kataklizmy, w tym także przez przybyszów z Kosmosu

w dużym stopniu warstwa ozonowa. Obraz uzupełniają kolosalne trzęsienia ziemi, tsunami i ożywienie wulkanów. Potem do głosu dochodzi efekt cieplarniany. Powstałe w wyniku wybuchu gazy cieplarniane – tlenek i dwutlenek węgla, metan, tlenki azotu, para wodna – zatrzymują promieniowanie ciepłe. Klimatolodzy są zdania, że musiały upłynąć tysiące lat, zanim zawartość dwutlenku węgla w atmosferze wróciła do normy.

Lekcja, którą tak wzorowo odrobili Alvarezowie (Walter i jego ojciec Louis, noblista w dziedzinie fizyki), zrobiła wielkie wrażenie nie tylko w środowisku naukowym. Świadomość zagrożenia z Kosmosu jest już dziś powszechna. Wkrótce zresztą otrzymaliśmy kolejną, już naoczną lekcję. Dała ją nam kometa Shoemaker-Levy 9, która w 1994 r. zbliżyła się do Jowisza. Złożona z 21 kawałków o kilkukilometrowych rozmiarach wyglądała jak rząd płonących latarni. W lipcu 1994 r. pierwszy fragment z prędkością 60 km/s uderzył w powierzchnię Jowisza. Wywołał eksplozję tak ogromną, że odłamki i strumienie gazów uniosły się 3200 km nad warstwą chmur planety. Kolejny fragment

wywołał zaburzenia w całej gazowej powłoce Jowisza, które trwały przez niemal rok ziemski. Nic dziwnego, że Austen Atkinson, brytyjski dziennikarz, bojownik o sprawę ochrony Ziemi przed zabójczym impaktem, apelował: „Patrz i ucz się, ludzkości”.

Wkrótce NASA zapoczątkowała program śledzenia obiektów bliskich Ziemi (NEAT). Powstała i wciąż jest aktualizowana lista takich obiektów (Near Earth Object – NEO), a wśród nich grupa PHA – potencjalnie niebezpiecznych asteroid. Obiektów typu NEO znanych jest ok. 15 tys. Z tego ok. 10 proc. sklasyfikowano jako potencjalnie niebezpieczne. Jednak każdy, kto śledzi doniesienia na ten temat, zauważy, że są to programy dalekie od doskonałości. Raz po raz pojawiają się alarmistyczne informacje o odkryciu obiektów znajdujących się na trajektorii kolizyjnej z orbitą Ziemi. Zapewne przedwczesne, bo po dokładniejszych obserwacjach i pomiarach alarmy są odwoływane. Jednak wcale nie należą też do rzadkości sytuacje, gdy badacze odkrywają obiekty potencjalnie niebezpieczne, gdy te przeleciały koło Ziemi. Taką niespodzianką był tzw. meteor czelabiński. Było to bliskie spotkanie z bolidem nadlatującym z Kosmosu, które każdy mieszkaniec Czelabińska mógł sobie sfilmować komórką. Uważa się, że „meteor czelabiński” był największym ciałem kosmicznym, które dotarło do Ziemi od czasu katastrofy tunguskiej.

A co ze zdarzeniem tunguskim? Pozostaje nadal tajemnicą, a liczba wyjaśniających ją hipotez podobno przekroczyła dwie setki. Meteoryt? Kometa? Planetoida? Czarna dziura? Antymateria? Wybuch metanu? Statek kosmiczny obcych – tak jak w „Astronautach” Stanisława Lema, który tak w tej książce opisał świat w roku 2003: „Wiele już lat minęło od upadku ostatniego państwa kapitalistycznego. Kończył się trudny, bolesny i wielki okres sprawiedliwego przetwarzania świata. [...] Nauka już nigdy nie miała wytwarzać środków zniszczenia. W służbie komunizmu była najpotężniejszym ze wszystkich narzędziem przemiany świata”.

Ta wizja, jak dziś wiemy, okazała się czystą science fiction. Jednak druga część jego wizji – odnalezienie w syberyjskiej tajdze fragmentu „twardego dysku” pozaziemskiej cywilizacji – wciąż ma szansę się sprawdzić.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwone bliźniaki

Rok temu napisałem w „Do Rzeczy” artykuł pt. „Hitler był lewakiem”. Starałem się w nim pokazać, że narodowy socjalizm był ideologią rewolucyjną. Celem Hitlera i jego kamratów było zniszczenie tradycyjnego ładu. A wzorem i inspiracją – bolszewicy.

Wszystkich, którzy mają w tej sprawie wątpliwości, odsyłam do książki „Diabeł w historii” Vladimira Tismăneanu, rumuńskiego intelektualisty pracującego w USA. Badacz ten udowadnia, że komunizm i narodowy socjalizm były bliźniakami.

„Oba te radykalne ruchy – pisze Tismăneanu – uznawały liberalizm, demokrację i parlamentaryzm za wstrętne i szkodliwe dla prawdziwej polityki, która miała znieść wszelkie podziały i stworzyć społeczeństwo idealne (bezklasowe albo jednolite rasowo). Oba były z zasady ateistyczne i widziały siebie jako religie polityczne mające wyzwolić jednostkę z więzów tradycyjnej moralności i praworządności. W świecie, który stworzył te ruchy polityczne, zło stanowili ci, którzy odmawiali poddania się oświeceniu, jakie niósł nieomylny katechizm partii, odrzucali je albo nie kwalifikowali się, by je przyjąć”.

To musiało wywołać katastrofę – aby zrealizować swoje szalone marzenia, czerwoni i brunatni rewolucjoniści gotowi byli eksterminować miliony jednostek ludzkich. Komuniści wyrzynali szlachtę, burżujów i kułaków. Narodowi socjaliści – Żydów.

Tismăneanu w swojej książce rozbija jeszcze jeden mit stworzony przez komunistyczną propagandę. Mowa o wmówieniu światu, że za całe zło bolszewizmu odpowiada „stalinizm”. Zgodnie z tą tezą Lenin stworzył wspaniały system, który został wypaczony przez „faszystę” Stalina.

Tismăneanu pokazuje, że było zupełnie inaczej. To Lenin stworzył piekielny bolszewizm. Tajną policję, łagry i masowy terror. A Stalin był tylko jego pojętnym uczniem, kontynuatorem dzieła wodza.

„Nie da się zrozumieć bolszewizmu, nie zakładając wiodącej roli Lenina – pisze Tismăneanu. – Bez Lenina nie byłoby bolszewizmu. Stalin był beneficjentem systemu, który wymyślił i stworzył Lenin”.

Święta prawda. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Rakowski i Banaszak

Festiwal piosenki nie mogą obywać się bez plotek towarzyskich. Pod koniec czerwca 1983 r. w Opolu rozeszła się pogłoska, że wicepremier Mieczysław Rakowski ma romans z piosenkarką Hanną Banaszak. Młodsza od niego o ponad 30 lat, utalentowana i urodziwa artystka wielokrotnie to dementowała, jednak plotka żyła własnym życiem.

Najwyraźniej plotka dowartościowywała jego męskie ego

„Skaranie boskie z tą Banaszak – irytował się MFR. – Od dłuższego czasu na każdym kroku słyszę o romansie z nią. Kilka dni temu w »Kurierze Polskim« ukazała się rozmowa z piosenkarką. Artystka mówiła między innymi o swoich planach (wyjeżdża na tournée do USA), »ale przede wszystkim z mężem, nie – jakby niektórzy złośliwi plotkarze sugerowali – wysoko postawionym naręczonym«. To o mnie”.

Towarzysz Mieczysław był sam sobie winien. Nie potrafił kategorycznie zaprzeczyć, najwyraźniej plotka dowartościowywała jego męskie ego.

„Rakowski oczywiście – twierdziła w swoich wspominiach druga żona Jerzego Urbana, Karyna Andrzejewska – gdy się nie obawiał, że ktoś doniesie Kępińskiej [jego partnerce – przyp. S.K.], robił w towarzystwie różne miny.

Ale miał także pewne kłopoty. Sprawa doszła do generała Jaruzelskiego, który podobno nawet pytał go o to. Dlatego Rakowski zaczął upowszechniać wersję, że nigdy nie widział Banaszak na oczy”.

Pogłoski o romansie krążyły po kraju, wzbudzając różne reakcje. Często były to dowody męskiej solidarności z wicepremierem.

„W ubiegłym roku – notował nie bez satysfakcji MFR – podczas pobytu w jednej ze śląskich kopalń (700 chłopów na sali), jakiś górnik zapytał: »Powiedzcie, towarzyszu premierze, ta Banaszak to jest wasza dziewczyna, czy nie?«. Odpowiadając na liczne pytania, odpowiedziałem i na to, że to głupia plotka. A na to kolejny górnik: »A my uważamy, że naszemu premierowi należy się taka dziewczyna«. I jak tu walczyć z plotką?”.

W styczniu 1986 r., podczas wieczoru piosenek Jerzego Wasowskiego w Teatrze Współczesnym, Banaszak śpiewała: „Ja dla pana czasu nie mam”. Wykonując piosenkę, „kierowała spojrzenie gdzieś w bok od miejsca”, w którym siedział Rakowski. „Połowa sali wybuchnęła śmiechem i tak już było do końca piosenki”. Do śmiechu nie było tylko Rakowskiemu...

Najlepiej podsumowała całą sprawę Karyna Andrzejewska: „Pamiętam, że kiedyś podczas transmisji z Opolą, gdzie Banaszak znakomicie wykonywała jakąś wokalizę jazzową, powiedziałam: »Słuchajcie, jak ona wspaniale śpiewa. Po co jej Mietek do kariery, słuchu nie macie?“. ©©



Vladimir TISMĂNEANU
diabeł w historii

Rumuński, jazyk
i inne ślady świata dwudziestego

★★★★★
VLADIMIR
TISMĂNEANU
„DIABEŁ
W HISTORII”
PIW 2018



FOT. JAC

Sto lat KUL. I co dalej?



Adam Hlebowicz

Jak niewielki uniwersytet, nawet gdy przeżywał największe dni chwały, mógł odegrać tak znaczną rolę? I jaka jest jego przyszłość w XXI w.?

Założyciel Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i jego pierwszy rektor – ks. Idzi Radziszewski – był wizjonerem. Ten były rektor seminarium duchownego we Włocławku w czasie I wojny światowej kierował Akademią Duchowną w Petersburgu. Po przewrocie bolszewickim wraz z gronem zaufanych ludzi podjął decyzję o przeniesieniu i w jakimś stopniu tworzeniu od nowa katolickiej uczelni na terenie Polski, której wtedy jeszcze nie było na mapie świata. Za oficjalną datę powstania Uniwersytetu Lubelskiego (taką nazwę nosił do 1928 r.) uważa się lipiec 1918 r. Jedną z pierwszych decyzji ks. Radziszewskiego było wywiezienie znanego z Lublina księgozbioru do Lublina. Wielokrotnie trzymałem w swoich rękach woluminy opatrzone pieczęcią Akademii Duchownej w Petersburgu.

Wschodni rys KUL był obecny przez cały czas jego historii. Po 1945 r. w osobach profesorów wyrzuconych ze Wschodu, którzy właśnie w Lublinie znaleźli swą przystań życiową i tu rozwijali swoje talenty. Leokadia Małunowiczówna, Janina Sławińska, Czesław Zgorzelski przybyli z Wilna, ks. Marian Rechowicz z Husiatynia i ze Lwowa, o. Mieczysław Albert Krąpiec ze Zbaraża. Nieprzypadkowo w wydawanym przez studentów KUL nielegalnym piśmie „Spotkania” już w latach 70. tematyka wschodnia, w tym także losy polskiej ludności w ZSRS w okresie powojennym, znajdowały poczesne miejsce. Z Lublina przez takich ludzi jak Józef Adamski szła zorganizowana pomoc dla polskich szkół na Wileńszczyźnie, dla innych ośrodków, gdzie nauczano polskiej kultury i historii. Tutaj działało seminarium magisterskie, a potem doktoranckie prof. Tomasza Strzembosza, gdzie tematyka wschodnia okresu wojny i lat powojennych zajęła znaczące miejsce. W tej atmosferze rozwijali swe wschodnie zainteresowania m.in. Wojciech Zajączkowski, znawca tematyki mniejszości narodowych w Rosji, późniejszy polski dyplomata w Kijowie i Moskwie; Piotr Niwiński, profesor, specjalista od dziejów AK na Wileńszczyźnie, oraz wyżej podpisany, autor wielu opracowań na temat najnowszej historii Kościoła katolickiego na Wschodzie.

Naukę na nowej uczelni zaczynało zaledwie 350 studentów. Dzięki wsparciu marszałka Józefa Piłsudskiego uniwersytet otrzymał okazały, ale zrujnowany gmach byłych koszar (wcześniej klasztor dominikański). Mimo trudności mate-

rialnych uniwersytet na ziemi lubelskiej przetrwał. W dużej mierze dzięki hojnym ofiarodawcom, a przede wszystkim dzięki Towarzystwu Przyjaciół KUL, które zostało założone już w 1922 r. Ten genialny pomysł, żeby uczelnię katolicką wspierać poprzez grono donatorów, nawet przez tzw. wdowi grosz, okazało się bezcenne w okresie powojennym, gdy zabrakło dotacji państwowych. Setki, tysiące ludzi przyjęły za punkt honoru wspieranie jedynego prywatnego uniwersytetu, niezależnego od ideologii i dekretów władz komunistycznych.

WOJNA I LATA POWOJENNE

Wielu profesorów i studentów zostało rozstrzelanych w pierwszych dniach działań wojennych w ramach eksterminacji polskiej inteligencji przez Niemców. W okresie okupacji działało tajne nauczanie, wielu studentów było zaangażowanych w działalność konspiracyjną.

Kolejnym dobrym duchem uczelni okazał się pierwszy powojenny rektor – ks. Antoni Słomkowski. Po wkroczeniu na Lubelszczyznę Sowieci i ich polskich popleczników, nie czekając na koniec wojny i nieznaną przyszłość wypadków, zarejestrował uczelnię i już w listopadzie 1944 r. rozpoczął nowy rok akademicki. Gdyby się spóźnił z tą decyzją o rok, dwa lata, bardzo możliwe, że nowe władze rządzące Polską z nadania Moskwy nie pozwoliłyby na reaktywację. Ksiądz Słomkowski zapłacił za swą niezłomną postawę wysoką cenę. Był więziony przez UB, m.in. za sprzeciwianie się założeniu na uczelni Związku Młodzieży Polskiej oraz organizacji partyjnej.

Tymczasem legenda KUL rosła. Ważną rolę odegrał erygowany dopiero w 1946 r. Wydział Filozofii Chrześcijańskiej. Przedwojenne studia na uczelni ks. Stefana Wyszyńskiego, późniejszego wielkiego prymasa Polski, dodały jej prestiżu. Pojawiło się nowe pokolenie naukowców, w tym ks. prof. Karol Wojtyła, którzy stanowić będą o intelektualnej sile ośrodka. Takie wydarzenia jak Millennium Chrzty Polski, a niedługo potem wydarzenia z Marca '68 lokowały KUL na pozycji niewielkiej, ale wpływowej uczelni, gdzie schronienie mogły znaleźć takie osoby jak relegowani z innych uczelni lub uwięzieni studenci Barbara Toruńczyk czy Bogdan Borusewicz.

Mimo niechętnego stosunku władz pod skrzydła KUL napływało coraz więcej młodych ludzi szukających nieskrę-

powanej cenzurą wiedzy. Tutaj, w kręgu studentów historii, powstało jedno z pierwszych środowisk opozycyjnych lat 70., wspomniane wcześniej „Spotkania” kierowane przez Janusza Krupskiego.

Zbawiennym krokiem władz uczelni było obowiązkowe wprowadzenie trzyletniego letniego kursu filozofii na wszystkich kierunkach studiów. W przeciwieństwie do obowiązującego w innych ośrodkach akademickich marksizmu w Lublinie rozwijało się zgłębianie filozofii chrześcijańskiej.

Był to czas prawdziwego studiowania. Zwyczajem KUL było uczęszczanie studentów z innych wydziałów i kierunków na wybitne wykłady Edwarda Zwolskiego, o. Krąpca, Władysława Bartoszewskiego, ks. Stanisława Kamińskiego, Czesława Zgorzelskiego i innych. Nie zyskiwali na tym wpisu do indeksu, nie otrzymywali ocen.

Uczelnia przyciągała niepokornych i tych, którzy chcieli coś więcej od studiów wyższych. Po latach znajomości kontakty z okresu studenckiego procentowały tym, że się miało kolegów dosłownie w każdym zakątku Polski, a z czasem także poza jej granicami.

W czasie niedawnych obchodów stulecia uczelni filozof dr Stanisław Majdański, mówiąc o profesorach wolności na uniwersytecie, o wolności jako takiej, zadał pytanie: Czy w imię tej wolności nasza uczelnia powinna się otwierać? Czy KUL jest przygotowany na owo otwarcie? Tak postawione pytania wywołały dyskusję zarówno wśród obecnych władz uczelni, grona profesorskiego, jak i najmłodszego kręgu absolwentów jubilatów.

DOKĄD ZMIERZA KUL?

Kardynał John Henry Newman, ogłoszony w 2010 r. błogosławionym Kościoła katolickiego, pisał w swojej książce o idei uniwersytetu, że to miejsce nie powinno być szkołą zawodową, ale przestrzenią poszukiwania wiedzy dla niej samej. Wykształcenie, zauważa Anglik, to nie tylko szansa na rozwój, to może być także pole pułapek w obszarze rozwoju duchowego i moralnego. Czy nauka jest moralna? Czy nauka posiada duchowość? Czy uczelnia katolicka to prawdziwy uniwersytet? Czy kanony wiary narzucają jej pęta, które nie mają nic wspólnego z nieskrępowanym rozwojem myśli? Pytania Newmana padały oczywiście w konkretnym kontekście, był wówczas rektorem irlandzkiego uniwersytetu, on – Anglik i konwertyta z anglikani-

zmu, była połowa XIX w. Wiedzę rozróżniał na wolną i służebną, będąc zdecydowanym zwolennikiem tej pierwszej.

Problemy drążące uniwersytet, które zarysował Newman, dzisiaj widać o wiele ostrzej. W sporze o kryterium nauczania, czyli między prawdą a użytecznością, zdecydowanie górę bierze ta druga. Konsekwencją są specjalizacja i technicyzacja, dotykające niemal wszystkich wydziałów i kierunków. Tym samym instytucje akademickie upodabniają się do sprawnych korporacji, maszynek zarabających pieniądze, dostarczając studentom odpowiedniej porcji wiedzy, wydając stosowne certyfikaty bez szczególnego dbania o rozwój nieskrępowanego myślenia.

W sporze o kryterium nauczania, czyli między prawdą a użytecznością, zdecydowanie górę bierze ta druga

Dzisiejszy KUL liczy ok. 12 tys. studentów. Głównie kształcą się tu ludzie z Lublina i Lubelszczyzny, dokładnie odwrotnie niż 30–40 lat temu. KUL stał się uczelnią jedną z wielu, masową, nie elitarną, gdzie katolickość, czyli powszechność, jest interpretowana jako otwartość na różne koncepcje i idee. Powstaje pytanie o miejsce religii w hierarchii życia uniwersytetu. Ten kryzys tożsamościowy dotknął również wiele innych zasłużonych katolickich ośrodków akademickich, jak choćby słynne Leuven (Lowanium) w Belgii, gdzie głośna stała się sprawa postępowania dyscyplinarnego wobec dr. filozofii Stephana Merciera, który z perspektywy filozoficznej nazwał aborcję morderstwem.

Czy uczelnia katolicka powinna oprzeć się na ortodoksji? Nie, bo wówczas przestanie być uniwersytetem, przestanie być twórczą i rozwojową. Może zatem warto się skupić, ograniczając znacznie liczbę studentów, na kształceniu liderów życia wspólnotowego, elit gospodarki, prawa, filozofii i teologii. Czy na to stać uczelnię, czy może powrócić do statusu ubożego uniwersytetu dla nielicznych? Odwrócenie niedobrego trendu i kształtowanie akademii na wzór idei kard. Newmana wydaje się dziś odległe, ale nie niemożliwe.



Tomasz Zbigniew Zapert

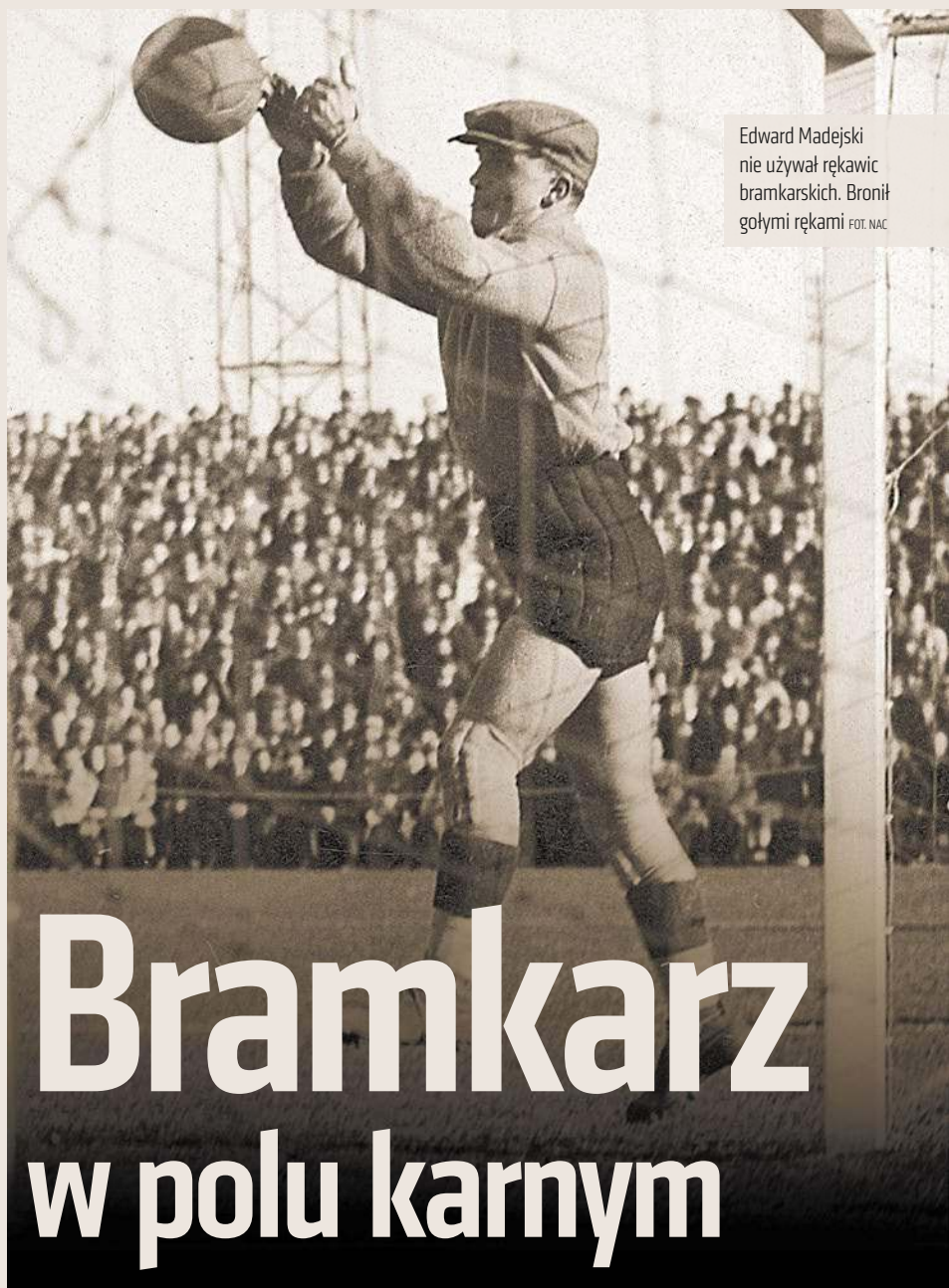
Edward Madejski aż sześciokrotnie wyciągał piłkę z siatki w mundialowym debiucie Biało-Czerwonych. Po mistrzostwach trafił do więzienia, ale z innego powodu

Przegrany – po dogrywce 5 do 6 (po 90 minutach było 4 do 4) – mecz z Brazylią, rozegrany przed 80. laty, 5 czerwca 1938 r., na Stade de la Meinau w Strasburgu, przeszedł do historii głównie za sprawą czterech goli Ernesta Wilimowskiego (piąty padł z rzutu karnego podyktowanego za faul na nim). Wilimowski stał się narodowym bożyszczem. Madejski – szwarccharakterem. W takiej roli obsadzili go dziennikarze, dowodząc, że zakładając rękawice, byłby skuteczniejszy. Bo bronił gołymi rękami.

BIAŁA GWIAZDA

Edward Madejski urodził się 11 sierpnia 1914 r. w Krakowie. Ojciec był cieślą, matka prowadziła dom. Nie przelewało się w nim, ale grosza starczyło na edukację syna. Po szkole powszechnej ukończył Gimnazjum im. Augusta Witkowskiego i wstąpił na fakultet chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uzyskał absolutorium, lecz pracy magisterskiej nie napisał.

Abecadło futbolowe poznał w Juwenii. Jednocześnie próbował sił w innych dyscyplinach: szczypiorniaku, siatkówce, koszykówce. Gdy miał 19 lat, przystąpił do sekcji piłkarskiej Wisły Kraków. „Wygimnastykowany, zwinny, skoczny, bojowy, nieulekniorny, hardy, wylewny, koleżeński” – tak go definiowano. Od 1933 r. strzegł bramki w Wiśle. Tak było aż do jesieni roku 1937. Stanął wówczas w obronie Antoniego Łyki, kolegi z drużyny odsuniętego od niej za „brak troski o sprawność na mistrzowskim poziomie”. Madejskiego poparł inny gracz – Alojzy Sitko, toteż także na nich nałożono podobne sankcje. Ponieważ tercet stanowił o sile zespołu, po rozmowie zwanej wychowawczą Łykę i Sitkę odwieszono. Madejskiego nie, bo „krzty skruchy nie okazał”. Trenował sam. Miał już za sobą prolog reprezentacyjny – rolę rezerwowego ekipy futbolowej na igrzyskach w Berlinie (1936), na których zajęliśmy miejsce czwarte. W bluzie z or-



Edward Madejski nie używał rękawic bramkarskich. Bronił gołymi rękami. FOT. NAC

Bramkarz w polu karnym

łem na piersiach wystąpił po raz pierwszy już po olimpiadzie.

Zaliczył 11 występów w reprezentacji, w tym osiem będąc zawodnikiem niestowarzyszonym. Do najslawniejszego z nich doszło w 1/8 finału trzecich finałów globalnego czempionatu, którego gospodarzem była w 1938 r. Francja. Polak zapisał się w annałach jako drugi w dziejach imprezy uczestnik bez przynależności klubowej.

W kraju obwiniono Madejskiego o porażkę. Niezasłużenie. Przy straconych golach nie zawinił. Może z wyjątkiem czwartego – niefortunnie odbita futbolówka wylądowała na poprzeczce, następnie na jego plecach, po czym wpadła do siatki.

Ignorowano to, że stawał oko w oko z Caninhos o imionach helleńskich herosów (Leonidas, Herkules), z uwagi na kardynalne błędy beków – jak określano wtedy obrońców – Antoniego Gałęckiego (później żołnierza Września, obrońcę Tobruku i zdobywcę Monte Cassino) oraz kapitana jedenastki Biało-Czerwonych Władysława Szczepaniaka. Tymczasem prasa brazylijska wychwalała grę naszego bramkarza, interweniującego w tocznej podczas ulewnej konfrontacji aż trzydziestokrotnie.

Po 12-miesięcznej karencji Madejski przystąpił do Garbarni, trzeciej siły podwawelskiej kopanej. Spędził tam tylko sezon, gdyż otrzymał atrakcyjniejsze propozycje z zespołów niższych lig. Zdecydował się za-

łożyć strój Polonii Karwina z Zaolzia, które właśnie powróciło do Polski. Rozgrywki zainaugurowano w lipcu 1939. Po pięciu kolejkach wybuchła wojna i nasz bohater wrócił pod Wawel, nad których łopotał już sztandar ze swastyką.

KONTRABANDA ŚLUBNA

Brał udział w konspiracyjnych rozgrywkach piłkarskich i współtworzył je. Wymyślił im szyld AKS, czyli Armia Krajowa-Sport. Rywalizowano i kibicowano (kilkutysięczna widownia nie była rzadkością) w ciszy, aby nie ściągnąć Niemców.

Utrzymywał się, udzielając korepetycji z chemii, dorabiał handlem obwoźnym. W końcu znalazł zatrudnienie na etacie magazyniera. Od marca 1940 r. działał w konspiracji, tajnym nauczaniu ZWZ, potem komórce nasłuchu radiowego AK. 1 kwietnia 1942 r. na dworcu kolejowym w Stanisławowie wpadł w łapy żandarmerii. W walizce miał futro z karakulów, lisią czapkę, kaszmirowy szal, irchowe rękawiczki oraz flakon perfum Soir de Paris. Trafił za kratki z podejrzeniem o przemyt z getta. W celi przebywał kilka miesięcy, ponoć groziła mu kara śmierci. Uratował go przypadek. Prowadzony na przesłuchanie w gmachu gestapo zauważył znajomą, Zofię Dawiczewską, w II RP urzędniczkę wymiaru sprawiedliwości, teraz pracującą w administracji stanisławowskiego więzienia. Podając się za narzeczoną aresztanta, zapewniła, że dobra znalezione przy nim stanowią podarunek ślubny dla niej! Niemcy dali temu wiarę i odzyskał wolność. To wersja romantyczna. Wedle Stanisława Chemicza „w czasie transportowania do więzienia Montelupich” Madejski zbiegł z transportu.

W Polsce Ludowej zrazu zaczął się w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym w Bytomiu, gdzie cumowało wielu Żabuzan. Uruchomił tam sklep z paśmanterią, kierował lokalną wytwórnią wód gazowanych. Niebawem stał się jej współwłaścicielem. Interes kwitł, firma przejęła poniemiecki browar, zatrudniała 76 pracowników. Kres prosperity nastał wraz z wypowiedzeniem wojny tzw. prywatnej inicjatywie przez Hilarego Minca, komunistycznego ministra przemysłu. Zakład przejęło państwo. Rzecz jasna – za bezcen.

Równocześnie wykazywał się Madejski aktywnością sportową. Wpadł na pomysł nazwy klubu powstałego w Bytomiu (Polska). Cztery sezony pilnował jego bramki. Przejął opaskę kapitańską. Wprowadził do

ekstraklasy. Pożegnawszy się z boiskiem (1949), ukończył kurs trenerski i pracował dorywczo, szkoląc piłkarski narybek. Żyć się z tego nie dało, więc szukał zajęcia lepiej płatnego.

Z poręki znajomego inżyniera Tadeusza Babulskiego znalazł je w Centrali Zaopatrzenia Hutnictwa w Katowicach. Wkrótce obaj przeprowadzili się do Nowej Huty – sztandarowej inwestycji owego okresu. Madejski początkowo opiekował się junakami ze Służby Polsce – pomagającymi w powstaniu flagowej inwestycji bierutowszczyzny – i dbał o jej wydźwięk propagandowy. Doceniono go (Srebrny Krzyż Zasługi). Delegowano na dokszałcający kurs chemiczny w Akademii Górniczo-Hutniczej. Awansował na starszego inspektora gospodarki materiałowej. Wizytował rodzinne huty, ewidencjonując dane dotyczące produkcji. Dostarczał je także Babulskiemu. Ku swemu nieszczęściu. Pożółkłe i nadgryzione zębem czasu akta odkurzył Adam Dziurok z katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej.

3 lipca 1956 r. były bramkarz został aresztowany i przewieziony do stołecznego więzienia przy ul. Rakowieckiej. Stosowny wniosek podpisał sam Jan Ptaszński, dyrektor departamentu śledczego Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego.

Milicjanci przeszukujący lokum zatrzymanego, złożone – jak widnieje w protokole (pisownia oryginalna) – „z dwóch pokoi i jednej komurki”, zabezpieczyli „materiały szpiegowskie”, „sprawozdanie kierownika drużyny Stal Nowa Huta” i znaczek tegoż klubu (dziś Hutnik Kraków).

Podejrzany Madejski („kawaler, bezpartyjny, niekarany, bez majątku i nałogów”) przyznał, że wręczył Babulskiemu około tuzina opracowań na temat polskiego hutnictwa bez wiedzy, iż inżynier przekazywał je naszej emigracji w Londynie. Akt oskarżenia Madejskiego akcentował nieświadomą pomoc w szpiegostwie gospodarczym. Rzekomo informacje o hutach w Ostrowcu, Skawinie, Olkuszu czy w Zagłębiu Śląsko-Dąbrowskim miały trafić do MI6. Sprawa znalazła się więc na wokandzie Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie.

W trakcie dwudniowej rozprawy zamkniętej (27–28 grudnia 1956 r.) Madejski nie przyznał się do winy. Wyjaśniał, że dokumentacji nie obejmowała klauzula tajności, wielogodzinne przesłuchania w śledztwie załamały go psychicznie, zaś protokoł mu jedynie odczytywano. Nie prostował zawartych w nich sformułowań, uważając, że nie ma do tego prawa. Argumentacja nie

przekonała składu sędziowskiego. Został skazany na sześć lat pozbawienia wolności za zdradę tajemnicy państwowej. Na mocy amnestii wyrok obniżono o połowę.

Madejski przebywał w celi 2 lata, 8 miesięcy i 20 dni.

POD NADZOREM BEZPIEKI

Nie chciał wracać do rodzinnego miasta. Był tam rozpoznawalny i obawiał się wytykania kryminalnego epizodu. Osiedł na Śląsku, zarabiając na chleb w CPN oraz Metalozbycie. W 1962 r. Służba Bezpieczeństwa założyła sprawę operacyjną pod kryptonimem Kadra IV. Madejskiego poddano inwigilacji. Usiłowano – bezskutecznie – wykorzystać do tego celu piłkarzy, z którymi onegdaj grywał i wciąż pozostawał w kontakcie. Przeglądano jego korespondencję, w mieszkaniu zainstalowano podsłuch. Działania okazały się bezowocne, toteż po paru latach z nich zrezygnowano.

Wiódł spokojny żywot, był na meczach w Bytomiu, Zabrze, Chorzowie, Gliwicach, Tychach, Katowicach, Rybniku, Rudzie Śląskiej, śledził wydarzenia piłkarskie w radiu i telewizji. Próba przypomnienia dawnego bramkarza spełzała na niczym. Cenzura zatrzymała publikację tekstu o nim (w 40. rocznicę meczu w Strasburgu) napisanego przez Macieja Biege z tygodnika „Sportowiec”.

Krach komunizmu w Polsce sprawił, że Madejski – już emeryt – skierował do Ministerstwa Sprawiedliwości list, w którym domagał się rehabilitacji. Rozpatrzone go dopiero po trzech latach, gdy rząd premiera Jana Olszewskiego zastopował politykę grubej kreski, włączając zielone światło dla lustracji i dekomunizacji. Wiosną 1992 r. Wojskowa Izba Sądu Najwyższego uniewinniła podsądnego „od popełnienia przypisywanych mu przestępstw”. Umarł cztery lata później. Zdążył napisać przedmowę do drugiego tomu „Encyklopedii piłkarskiej Fuji”: „Jestem dumny, że byłem reprezentantem Polski. Na [...] stadionach ze wszystkich sił starałem się godnie walczyć o jej sławę. Nie szczędziłem wysiłku, aby trwać w boju o jej wolność podczas wojny i okupacji. Nie czułem bólu, gdy po »wyzwoleniu« więziono mnie za to, że pragnąłem być patriotą. Zapominam o goryczy, że [...] fałszowaną historię”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Dziękuję za pomoc w pisaniu tekstu
Małgorzacie Słomczyńskiej-Pierzchalskiej oraz
Beacie Sambor.*

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

**NIE POZWÓLMY, ABY
WYDARZENIA SPRZED LAT
ULEGŁY ZATARCIU.
DZIELMY SIĘ RELACJAMI
Z TEGO TRUDNEGO CZASU.
KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981,
NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE
WSPOMNIENIA.
UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY
W SWOIM RODZAJU OBRAZ
TAMTYCH DNI.**

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU

**WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIENI!**

**PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL**





Piotr Włoczyk

Niecałe trzy lata wystarczyły Justinowi Trudeau, by kompletnie przeorać Kanadę. Ostatnim etapem jego lewicowej rewolucji jest pełna legalizacja marihuany

Rewolucja Trudeau



Premier Justin Trudeau starał się, jak mógł, by marihuana została zalegalizowana akurat 1 lipca (Dzień Kanady – najważniejsze święto państwowe), ale nic z tego nie wyszło – procedury i opór konserwatywnych senatorów popyły plany premiera. W związku z tym do legalizacji dojdzie z ponad trzymiesięcznym opóźnieniem: 17 października. W ten sposób każdy mieszkaniec Kanady będzie mógł legalnie posiadać do 30 gramów marihuany, a w domu będzie mógł hodować nawet cztery krzaki konopi.

Konserwatywna opozycja długo walczyła w senacie z ustawą legalizującą marihuanę, ale liberalna Partia Kanady (LPK) znalazła w końcu większość do uchwalenia tego prawa. Kanada staje się więc drugim krajem na świecie, w którym państwo oficjalnie przejmuje rolę narkotykowego diler. Szlak przetarty został pięć lat temu przez maleńki Urugwaj. Tym samym

Holandia powoli przestaje być mekką amatorów konopi. Posiadanie i używanie marihuany jest tam zdekryminalizowane, ale nawet Holendrzy – zdając sobie sprawę z problemów wiążących się z tym krokiem – nie zdecydowali się na pełną legalizację narkotyku.

Aby przekonać rodaków do konieczności legalizacji marihuany, premier Kanady sięgał po argumenty najcięższego kalibru: dobro dzieci i walka z gangami.

„Oczywiście obecne podejście – zakazanie marihuany – nie było skuteczne, jeżeli chodzi o ochronę naszych dzieci i odcięcie przestępczości zorganizowanej od źródła dochodu, dlatego wdrażamy nowe prawo odnośnie do marihuany” – tłumaczył Trudeau. Przeciwnicy tego kroku bezskutecznie przekonywali, że efektem finalnym będzie oswojenie społeczeństwa z marihuaną poprzez legalną sprzedaż dorosłym, natomiast równolegle będzie kwitł

czarny rynek trawy dla młodzieży. Czyli będzie gorzej niż przed zmianą prawa.

„To historyczny krok na drodze budowania progresywnej wizji Kanady” – entuzjastycznie tweetowała kanadyjska minister sprawiedliwości po ogłoszeniu wyników głosowania w tej sprawie.

Ta zmiana (i tak rewolucyjna) może być jednak dopiero początkiem prawdziwej narkotykowej rewolucji w Kanadzie pod rządami Justina Trudeau: partyjne doły wzywają bowiem szefostwo LPK do całkowitej dekryminalizacji wszystkich narkotyków.

Kanadyjska prawica dostrzega to zagrożenie i bije na alarm. Carolyn Stewart-Olsen, konserwatywna senator z Nowego Brunszwiku, nazwała tę ustawę „ekstremalną zmianą społeczną dla kraju”.

Trudno się dziwić szokowi na kanadyjskiej prawicy, skoro Stephen Harper, konserwatywny premier Kanady w latach



FOT. THE CANADIAN PRESS/AR EAST NEWS

2006–2015, ostro walczył ze wszystkimi narkotykami, a nawet planował podnieść nie kar za przestępstwa narkotykowe.

PODPISZ SIĘ POD ABORCJĄ

Rewolucyjne zmiany w podejściu do marihuany to tylko jeden z wielu frontów, które Justin Trudeau otworzył ostatnio na wojnie z prawicą. Każdego roku w okresie wakacyjnym tysiące kanadyjskich firm, organizacji i stowarzyszeń korzysta z rządowego programu dotującego zatrudnianie studentów. Na ten cel Kanada przeznacz co roku niemal ćwierć miliarda dolarów. W tym roku program został jednak odpowiednio zmodyfikowany przez rząd Trudeau: każdy, kto chciałby skorzystać z państwowych dotacji, musi podpisać się pod „lojalką”, w której uznaje m.in. „prawo dostępu do bezpiecznej i legalnej aborcji”, a także wszelkie wywalczone w ostatnich latach prawa społeczności LGBT. Ci, którzy

nie wyrażą na to zgody, zostają wyrzuceni z programu. Jak podaje kanadyjski rząd, blisko 1,5 tys. podań zostało odrzuconych właśnie z uwagi na brak poparcia dla tych praw.

Konserwatywna opozycja domagała się od rządu respektowania poglądów osób wierzących, ale rząd Trudeau pozostał nieugięty. Albo dana organizacja uznaje możliwość dokonania aborcji za podstawowe prawo człowieka, albo może zapomnieć o federalnych dotacjach.

W związku z tak sformułowanym ultimatum niektóre organizacje postanowiły w tym roku w ogóle nie ubiegać się o wsparcie. Tak było choćby w przypadku katolickiej diecezji londyńskiej w prowincji Ontario.

Tymczasem okazuje się, że polityka prowadzona w tak brutalny sposób napotyka niemały sprzeciw w kanadyjskim, w znacznej mierze zsekularyzowanym przeciw społeczeństwie. Według badania przeprowadzonego ostatnio przez Angus Reid Institute opinia publiczna jest w tej sprawie równo podzielona (50:50).

Kanadyjscy biskupi już na początku roku ostrzegali rząd w Ottawie, że wiele organizacji nie ugnie się przed przymusem, co przyniesie tylko szkodę gospodarce: „Letnie obozy będą musiały zostać zamknięte, usługi wielu organizacji non profit będą musiały zostać ograniczone, cenne możliwości podnoszenia kwalifikacji zostaną utracone”.

Wygląda na to, że takie „lojalki” stają się powoli tradycją PLK. Jeszcze przed wyborami w 2015 r. Trudeau zapowiedział, że politycy, którzy mają jakiegokolwiek wątpliwości w kwestii „praw reprodukcyjnych”, nie mają czego szukać w jego partii.

Co ciekawe, sam Trudeau podkreśla, że jest... katolikiem. Tak samo zresztą jak jego ojciec, Pierre Trudeau (premier w latach 1968–1979 i 1980–1984), za którego rządów doszło do legalizacji aborcji, i to w najbardziej ekstremalnej formie. Kanada jest dziś jednym z niewielu krajów, gdzie nie ma w tej kwestii żadnych limitów czasowych. Osobliwe podejście do życia kolejnych pokoleń tutejszych „katolików” ciekawie opisał David Warren, kanadyjski publicysta publikujący m.in. w magazynie „The Catholic Herald”.

„Ich dzieci już nawet nie są katolikami z nazwy, a dzieci ich dzieci już nawet nie przychodzą na świat. Justin Trudeau jest ilustracją tego problemu. Pokazuje się nam stateczną głowę rodziny z czarującą żoną i dziećmi. Ale jaka jest jego religia? »Kato-

licka«, z lubością powtarza do milionów »wierzących-niepraktykujących«, którzy sami wciąż nazywają się »katolikami«, jakby to była jakaś osobliwa narodowość. Ale w Kanadzie to wystarczy, żeby dostać kilka milionów głosów”.

Na całym świecie trudno o bardziej progresywnego szefa rządu. Trudeau od lat ochotczo chodzi na parady homoseksualistów, z aptekarską precyzją wylicza w swoim gabinecie przedstawicieli wszelkich mniejszości, a nawet sam siebie nazywa feministą. W jednym ze swoich tekstów z dumą tłumaczył, że wychowuje swoje dzieci na feministów/feministki (Trudeau ma dwóch synów i córkę, a język angielski jest pod tym względem neutralny płciowo).

SYNOWIE ZAKAZANI

Jego rząd przeorał już kanadyjskie prawo, jeżeli chodzi o zabezpieczenie interesów osób LGBT. Od czerwca zeszłego roku obowiązuje w Kanadzie ustawa C-16, która wymierzona jest m.in. w ludzi nieuznających wymyślonych w ostatnich latach nowinek językowych propagowanych przez specjalistów od ideologii gender. Specjalne zaimki wymyślone zostały na potrzeby osób uznających się m.in. za ludzi neutralnych płciowo, półkobiety, półmężczyzn czy też osoby panseksualne (takie kategorie naprawdę funkcjonują w podręcznikach akademickich używanych przez studentów kierunków związanych z gender).

Genderowe zmiany nie oszczędziły nawet kanadyjskiego hymnu. Również w przypadku tej ustawy konserwatyści stawiali opór, ale rządząca większość dwa tygodnie temu postawiła na swoim. W hymnie Kanady nie ma już więc słów: „O Canada! / Our home and native land! / True patriot love in all thy sons command”. Zamiast zniechęconego przez zwolenników postępu słowa „sons” (synowie) w przereklamowanym hymnie pojawiają się „neutralne płciowo” słowa „in all of us” („w nas wszystkich”).

Okazuje się jednak, że nawet na tak progresywnego polityka może paść cień akcji „#MeToo”. Amerykańskie media prawicowe wyciągnęły ostatnio Justinowi Trudeau historię z 2000 r. (miał wtedy 28 lat), gdy jedna z dziennikarek oskarżyła go o przekroczenie granic w czasie rozmowy. Jego biuro wydało szybko komunikat, że premier nie pamięta żadnych „negatywnych interakcji”. Największe lewicowe media, zazwyczaj wyczulone w tej kwestii, oszczędziły „feministę” i nie podjęły tematu.

FBI skompromitowane



Olivier Bault

Miała być afera z rosyjskim wsparciem w wyborach dla Trumpa, wyszła afera dotycząca próby powstrzymania wygranej dzisiejszego prezydenta USA



FOI: WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

Nigdy nie zostanie prezydentem, prawda? Prawda?! „Nie, nie zostanie prezydentem. Zatrzymamy go”. To jedno z wielu wiadomości tekstowych wymienionych w 2016 r. w czasie amerykańskiej kampanii prezydenckiej między adwokatką Lisą Page, doradczynią zastępcy dyrektora FBI, a jej kochankiem Peterem Strzokiem, szefem pionu kontrwywiadu Federalnego Biura Śledczego.

Strzok, który zapewniał, że razem z nieokreślonymi ludźmi zatrzyma Trumpa, stał w tym czasie na czele śledztwa dotyczącego tzw. afery e-mailowej Hillary Clinton. Chodziło o korzystanie z prywatnego serwera e-mailowego do korespondencji służbowej w czasie, gdy była ona sekretarzem stanu.

Peter Strzok był także na czele zespołu FBI, badającego możliwe rosyjskie ingerencje w wybory prezydenckie z 2016 r. i odegrał rolę w decyzji o wy-

korzystaniu w śledztwie przeciwko sztabowi wyborczemu Trumpa raportu Fusion GPS sporządzonego przez byłego brytyjskiego szpiega Steele'a na zlecenie sztabu wyborczego Hillary Clinton. Raport ten posłużył m.in. do uzyskania zgody na podsłuchiwanie członków sztabu wyborczego Donalda Trumpa. I to Strzok był tym oficerem FBI, który przesłuchiwał gen. Michaela Flynna, doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego mianowanego w styczniu 2017 r. przez prezydenta Trumpa. Flynn musiał podać się do dymisji po niecałym miesiącu sprawowania funkcji, bo zmuszony był przyznać się do kłamstwa w sprawie kontaktów z ambasadą Rosji w okresie między wyborami a zaprzysiężeniem nowego prezydenta.

Peter Strzok został potem najwyższym rangą członkiem FBI w ekipie śledczej powołanej po wyborach przez Roberta Muellera, specjalnego prokura-

tora do nadzorowania federalnego śledztwa w sprawie zarzutów o ingerencję Rosji w wybory prezydenckie w 2016 r.

ŚLEDZTWA W SPRAWIE ŚLEDZTW

Niektóre SMS-y Page i Strzoka znane były od grudnia. Po ich ujawnieniu zostali zdymisjonowani z zespołu Muellera. Jednocześnie amerykański Departament Sprawiedliwości rozpoczął badanie śledztwa FBI dotyczącego afery e-mailowej Hillary Clinton oraz śledztwa w sprawie ingerencji rosyjskich w wyborach z 2016 r.

Opublikowany w połowie czerwca raport inspektora generalnego Departamentu Sprawiedliwości Michaela Horowitza – mianowanego na to stanowisko za czasów Baracka Obamy – ujawnił więcej tego rodzaju wiadomości tekstowych i zdaje się potwierdzać zarzuty prezydenta Trumpa dotyczące stronniczości FBI i jego niejasnej roli w kampanii prezydenckiej z 2016 r.

W raporcie Horowitz interesował się wyłącznie śledztwem Federalnego Biura Śledczego prowadzonym w aferze e-mailowej Clinton. Kwestionuje jednak motywacje, dla których śledztwo rosyjskie mające pograć Trumpa stało się dla FBI bardziej priorytetowe. O wspomnianej na wstępie wiadomości wysłanej 8 sierpnia przez Petera Strzoka do Lisy Page Horowitz napisał, że „pokazuje nie tylko jego stronniczość, lecz także – co jest poważniejszą sprawą – jego gotowość do podjęcia oficjalnych czynności, aby wpływać na szanse wyborcze kandydata na prezydenta”.

POLITYCZNE UPZDZIELENIA FBI?

W innej wymianie SMS-ów między kochankami, datowanej na 4 maja 2016 r., Peter Strzok na wieść o rezygnacji Teda Cruza w prawyborach i na stwierdzenie, że będą to wybory między Clinton a Trumpem, napisał: „Teraz naprawdę zaczyna być presja, żeby zakończyć śledztwo w sprawie e-mailowej”. Z kolei komentując niekorzystne dla Hillary Clinton sondaże wyborcze 3 listopada 2016 r., Lisa Page napisała: „Boję się o naszą organizację” [FBI – przyp. red.].

Kilka miesięcy później – 18 maja 2017 r. – omawiając ewentualność swojego przyłączenia do zespołu Muellera, Strzok pisał do Page: „W tym przypadku mam osobiste poczucie niedokończonej pracy. Rozpętałem to przez śledztwo w sprawie e-mailowej. Teraz muszę to naprawić i dokończyć”. Dalej w korespondencji była mowa o tym, że stawką śledztwa Muellera w sprawie ewentualnych ingerencji rosyjskich jest impeachment wobec prezydenta Trumpa, choć jednocześnie Strzok przyznawał, iż jeszcze się waha, gdyż „oboje wiemy, że szanse są marne” i „moje przeczucie i zmartwienie jest takie, że nie ma tam nic wielkiego do odkrycia”.

Na konferencji prasowej z 14 czerwca rzeczniczka Białego Domu Sarah Sanders tak skwitowała raport Horowitza: „Potwierdza on podejrzenia prezydenta co do zachowania Comeya [byłego dyrektora FBI – przyp. red.] oraz politycznych uprzedzeń niektórych członków FBI”.

Chociaż niektóre wnioski raportu inaczej odczytują republikanie, a inaczej demokraci, nie ulega wątpliwości, że stanowi on potężny cios w reputację FBI. Peter Strzok miał w tej sprawie zeznawać przed komisją sprawiedliwości Izby Reprezentantów 27 czerwca. Prezydent Donald

Trump żądał, aby przesłuchiwanie to było publiczne i retransmitowane na żywo.

O zachowaniu Petera Strzoka, Lisy Page i niektórych innych ważnych oficerów FBI inspektor generalny napisał, że „szkody spowodowane przez poczynania tych pracowników sięgają dużo dalej niż sama sprawa śledztwa [dot. Hillary Clinton – przyp. red.]. Podważają samo sedno reputacji bezstronnego ustalania faktów i politycznej niezależności FBI”. A o dyrektorskiej Jamesie Comey Horowitz napisał, że wykazał się „niesubordynacją”, gdyż wbrew przyjętym procedurom nie konsultował z Departamentem Sprawiedliwości kluczowych decyzji dotyczących śledztwa w aferze e-mailowej. Z drugiej zaś strony – i do tego odnosił się Peter Strzok, mówiąc o tym, że to on „rozpętał to” – James Comey jest oskarżany przez demokratów o to, iż wspomógł Trumpa na ostatniej prostej kampanii wyborczej. Chodzi o to, że 28 października 2016 r., 11 dni przed wyborami, zawiadomił listownie Kongres o oficjalnym wznowieniu postępowania przeciwko Hillary Clinton

Szef kontrwywiadu Federalnego Biura Śledczego pisał z kochanką z FBI SMS-y dotyczące utraćenia Trumpa w wyborach

w sprawie korzystania przez nią z prywatnego serwera e-mailowego w ramach pełnienia funkcji sekretarza stanu. Cztery miesiące wcześniej w komunikacie prasowym FBI informowało, że pani Clinton nie zostaną przedstawione żadne zarzuty i że śledztwo zostaje umorzone. Wznowienie śledztwa wynikało z przypadkowego odkrycia pod koniec września wielu tysięcy nieznanym wcześniej e-maili wysłanych przez Clinton. Wiadomości znajdowały się w komputerze byłego kongresmena Anthony’ego Weinera, a komputer trafił w ręce agentów FBI w związku z oskarżeniami o wysyłanie nagich zdjęć nieletniej.

INFORMATOR W SZTABIE

Nowe oskarżenia pod adresem FBI dotyczące kampanii wyborczej wysuwają teraz republikanie. W połowie maja wyszło bowiem na jaw, że FBI miało swojego informatora w sztabie wyborczym Trumpa. Był to Stefan Halper, profesor z Uniwersy-

tetu w Cambridge, który nawiązał kontakt z trzema doradcami kandydata Trumpa: Carterem Page’em (także podsłuchiwanym przez FBI na podstawie sfabrykowanych informacji z raportu Fusion GPS), George’em Papadopoulossem i Samem Clovissem. Inwigilacja sztabu wyborczego Trumpa stała się w czerwcu przedmiotem sporu między komisją wywiadu Izby Reprezentantów a Departamentem Sprawiedliwości, gdyż ten pierwszy w ramach prowadzonego śledztwa parlamentarnego żąda wydania dokumentów dotyczących inwigilacji i uważa, iż Departament Sprawiedliwości celowo wstrzymuje ważne dokumenty.

Michel Caputo i Roger Stone – byli działacze kampanii wyborczej Trumpa – w czerwcu w liście do komisji wywiadu Izby Reprezentantów stwierdzili, że Rosjanin, w przeszłości informator FBI, proponował im za 2 mln dol. zakup informacji kompromitujących Clinton. Ukrywający się pod pseudonimem Henry Greenberg miał podobno w ten sposób się starać, aby to sam Trump wyłożył pieniądze. Roger Stone miał odmówić.

W raporcie Inspektora Generalnego Horowitza jest też informacja o tym, że podczas kampanii wyborczej miało dojść do licznych przecieków medialnych ze strony agentów Federalnego Biura Śledczego, którzy otrzymywali w zamian różne nagrody od dziennikarzy. Były to np. bilety na mecze, zaproszenia do restauracji czy możliwość wstępu na imprezy o charakterze prywatnym. Według Horowitza liczne nieautoryzowane kontakty agentów FBI z mediami mogły wpływać na późniejsze decyzje dotyczące prowadzonych postępowań.

A co ze śledztwem zespołu Muellera w sprawie możliwej zмовы między sztabem wyborczym Trumpa a Rosjanami? Akty oskarżenia dotyczą na razie 13 obywateli rosyjskich i trzech firm rosyjskich – i to w sprawie ich aktywności w charakterze trolli internetowych. W stan oskarżenia został jeszcze postawiony Amerykanin Paul Manafort – w związku z domniemanymi przestępstwami finansowymi i nielegalnym lobbieniem na rzecz obcego państwa (Ukrainy), niezwiązany z kampanią prezydencką z 2016 r. Wygląda na to, że szef wydziału kontrwywiadu Federalnego Biura Śledczego Peter Strzok miał rację: pomimo nakręcania sprawy przez demokratów i lewicowe media nie było nic wielkiego do odkrycia.



POLITYCZNE KOTLETY

Rzeczniczka Białego Domu ujawniła na Twitterze, że została poproszona o opuszczenie restauracji w Lexington. Właścicielka restauracji tłumacząc, dlaczego wyprosiła Sarah Sanders, powiedziała mediom, że biznes jest najważniejszy, ale czasem człowiek musi podejmować nawet niekomfortowe dla siebie decyzje. A Sanders wspiera politykę Donalda Trumpa. Wtedy na Twitterze odezwał się sam prezydent USA i napisał, że u tej pani w restauracji jest brudno i okna powinny zostać odmalowane. A w mediach eksperci orzekli, że Sanders informując o wyproszeniu, publicznie naruszyła federalne normy etyki. Teraz mamy problem z określeniem tego, kto zachował się śmieszniej.

FOT. RON SACHS/POLARIS/EAST NEWS

ZŁAPALI DZIECKO, UKARZĄ OJCA

Włoska policja przyłapała 15-latkę palącego marihuanę. Zgodnie z procedurami zatrzymała chłopaka i do komisariatu wezwała rodzica. Ojciec, który przyjechał po niesfornego nastolatka, jeszcze na posterunku wymierzył synowi policzek. Policjanci natychmiast go spisali i uznali, że popełnił wykroczenie związane z „nadużyciem władzy wychowawczej”. Jeśli sąd tak samo oceni zachowanie Włocha, to zdenerwowanemu rodzicowi grozić będzie do pół roku więzienia. Jedynym ratunkiem dla niego jest to, że włoski Sąd Najwyższy w sprawie „bicia dzieci” uznał już kiedyś, iż jeśli nie stwierdzi się, że rodzic chciał zadać obrażenia fizyczne, to taki policzek nie jest czynem karalnym.

IMIGROWAŁA, ALE NIE WIEDZIAŁA

Amerykańskie media rozgrzała sprawa 19-lletniej Francuzki, która pojechała do Kanady i poszła sobie pobiegać na plaży blisko granicy z USA. No i pobie-

gła trzaskać sobie selfie aż za granicę – czyli do Stanów Zjednoczonych. Straż graniczna USA ją zatrzymała i oskarżyła o nielegalne przekroczenie granicy państwowej. Dziewczyna nie miała przy sobie dokumentów, musiała więc poczekać na ich dostarczenie dwa dni na dołku. Potem wymierzono jej jeszcze karę: dwa tygodnie więzienia. Rodzina jest oburzona. A powinna być zadowolona, że 19-latką nie przyjechała pobiegać na plaży przy obwodzie kaliningradzkim.

NOCNA AKCJA NA MUNDIALU

W ubiegłym tygodniu w noc przed meczem Iranu z Portugalią (który – jeśli wygrany – dawałby tej pierwszej drużynie awans do kolejnej fazy rozgrywek) irańscy kibice pojawili się przed hotelem, w którym spali portugalscy piłkarze. Mieli przy sobie trąbki oraz bębny i hałasowali tak, by nie dać futbolistom odpocząć. Do okna podchodził sam Cristiano Ronaldo i gestami prosił o ciszę, bo potrzebuje snu. Irański sposób na wsparcie drużyny jednak zawiódł i piłkarze z mundialu już odpadli. ©©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Reakcyjny Homer

Jean Cocteau pisał: „Dramatem naszej epoki jest to, że głupota zabrała się za myślenie”. Od jego śmierci (55 lat temu) sytuacja uległa dramatycznemu pogorszeniu. Bardzo z siebie zadowoleni głupcy od myślenia przeszli do czynów. Panoszą się dziś wszędzie, eskalują i triumfują. Pełną parą idzie okaleczanie dzieł literackiej klasyki w imię dogmatów wyznawców postępu.

Włoska reżyserka Emma Dante nawdychała się miazmatów progresizmu i wystawiła w amfiteatrze w Syrakuzach „Heraklesa szalonego” Eurypidesa, powierzając kobietom role męskie, z tytuło-

wą włącznie. Ubrała niewiasty w błyszczące zbroje. Mężczyznom ucharakteryzowanym na wyzutych z siły i męskości starców kazała deklamować w chórze. Dlaczego? Jak oszołomiona kobieta zeznaje w wywiadach, postanowiła w ten sposób ukarać Eurypidesa, bo jej zdaniem to największy mizogin pośród antycznych autorów i w swoich tragediach przedstawiał kobiety wyłącznie jako krwawe morderczynie albo męczennice.

Nie koniec na tym. Na Columbia University uznano „Metamorfozy” Owidiusza za dzieło gorszące i obraźliwe. Owidiusz naiwnie przed śmiercią napisał:

„Dokonałem już dzieła, którego nie zdoła zniszczyć ani gniew Jowisza, ani ogień, ani miecz, ani trawiący wszystko czas”. Nie przewidział, że przyjdzie mu dwa tysiące lat po śmierci stanąć przed trybunałem idiotów (uniwersytecki komitet ds. wielokulturowości), którzy skazą go na niebyt, bo Apollo molestował Dafne, a Jowisz zgwałcił nimfę Kallisto. Nie mniej słynny Stanford University wycofał z listy lektur Homera, Arystotelesa i Platona, bo inne gremium idiotów uznało ich za seksistów i reakcjonistów.

Ratunku! SOS! Toniemy! W zideologizowanej głupocie. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

W minionym tygodniu Izrael odwiedził bardzo ważny i miły gość – książę William. Korzystając z okazji pierwszej oficjalnej wizyty przedstawiciela monarchii brytyjskiej w Izraelu, chciałbym poruszyć kwestię historycznego wpływu Wielkiej Brytanii na ruch syjonistyczny, na powstanie państwa Izrael i na ukierunkowanie społeczeństwa izraelskiego na ustrój oraz wartości anglosaskie. Jednak kiedy 14 maja 1948 r. powstawało państwo Izrael, rodziło się ono w kryzysie z Wielką Brytanią. Z jakiego powodu?

W 1905 r., kiedy premierem Wielkiej Brytanii był Arthur Balfour, a dla Żydów – zwłaszcza w Mołdawii i części Rosji – były to trudne czasy, w Wielkiej Brytanii narodziła się głęboka empatia w stosunku do Żydów, a Królestwo wspólnie z ruchem syjonistycznym i żydowskimi instytucjami działało przeciw antysemityzmowi. Podczas I wojny światowej Balfour był ministrem spraw zagranicznych. W 1917 r. ogłosił deklarację, która zakładała, że po zakończeniu wojny Wielka Brytania i Francja zagwarantują utworzenie w Palestynie żydowskiej siedziby narodowej. Na przełomie lat 1917 i 1918 armia brytyjska wkroczyła do Palestyny. Z północy natomiast wkroczyła armia francuska. Istniały wtedy dwie deklaracje. Jedna dotycząca ruchu syjonistycznego, a druga to angielsko-francuska umowa Sykes-Picot, dotycząca całego Bliskiego Wschodu, zmieniająca granice państw. Toczyły się w ostatnich dekadach walki na Bliskim Wschodzie są m.in. pokłosiem wytyczenia granic, które zaspokajały wtedy imperialistyczne i kolonialne interesy Wielkiej Brytanii oraz Francji.

W 1920 r. Wielka Brytania zdobyła mandat nad Palestyną,

po czym zobowiązała się zmierzać do utworzenia żydowskiej siedziby narodowej. Mandat Brytyjczyków skończył się w 1948 r., ale już w okolicznościach głębokiej i tragicznej konfrontacji z ruchem syjonistycznym, z podziemnymi ruchami antybrytyjskimi w Palestynie. Konflikt spowodowany był historyczną zdradą ze strony Wielkiej Brytanii, która już od 1939 r., a zwłaszcza po 1945 r., stała po stronie palestyńskiej ze względu na swoje interesy i związki z Ligą Arabską. Wielka Brytania nie zagłosowała na forum ONZ za powstaniem dwóch państw, a kiedy jednak doszło do utwo-



SZEWACH WEISS

Książę i trudna przeszłość

wienia państwa Izrael i rozpoczęła się wojna, gdy państwa arabskie napadły na nowo utworzone państwo, Wielka Brytania stanęła po stronie arabskiej.

Warto jednak podkreślić, że administracja brytyjska wywarła ogromny wpływ na metamorfozę w kierunku zachodniej demokracji społeczeństwa żydowskiego w Palestynie. Prawo tworzone pod wpływem brytyjskim, organizację samorządów, niezależne sądownictwo również tworzone na wzór angielski. Wielka Brytania pomogła w powołaniu do życia Uniwersytetu Hebrajskiego w Jero-

zolimie. Część syjonistycznej elity wyjeżdżała kształcić się do Londynu. W 1956 r. Izrael podjął z Brytyjczykami i Francuzami wspólną misję wojskową podczas wojny o Kanał Sueski, kiedy to Egipt chciał go znacjonalizować. Był to krótki czas, kiedy interesy brytyjskie, francuskie i izraelskie były zbieżne, a może był to początek normalizacji stosunków między wolnym Izraelem a Wielką Brytanią.

Po pełniąc służbę publiczną, miałem zaszczyt gościć w Izraelu premier Margaret Thatcher, jej następcę Johna Majora, potem były liczne wizyty brytyjskich premierów

zolimie, świętując pamięć Holocaustu. W tym kontekście warto przypomnieć, że Winston Churchill, mając bardzo ciepły stosunek do Żydów i ruchu syjonistycznego, usprawiedliwiał się w sprawie braku pomocy Żydom chociaż – jak relacjonowali mi osobiście prof. Jan Karski, a później Jan Nowak-Jeziorański – wiedział o likwidacji narodu żydowskiego. Zagłada jest związana z naszą historią z każdego punktu widzenia, była również egzaminem demokratycznych państw, w którym mamy smutne doświadczenia dotyczące Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Obecność księcia Williama w pobliżu Ściany Płacz, naszej Drugiej Świątyni, przypomina mi słowa Beniamina Disraeliego. Kiedy został wybrany na premiera Wielkiej Brytanii, pojawiły się głosy sprzeciwu wobec tego, że na czele brytyjskiego rządu stanął człowiek z żydowskimi korzeniami. On odparowywał ataki, mówiąc, że kiedy jeszcze w Londynie było tylko błoto, jego naród już wznosił świątynię.

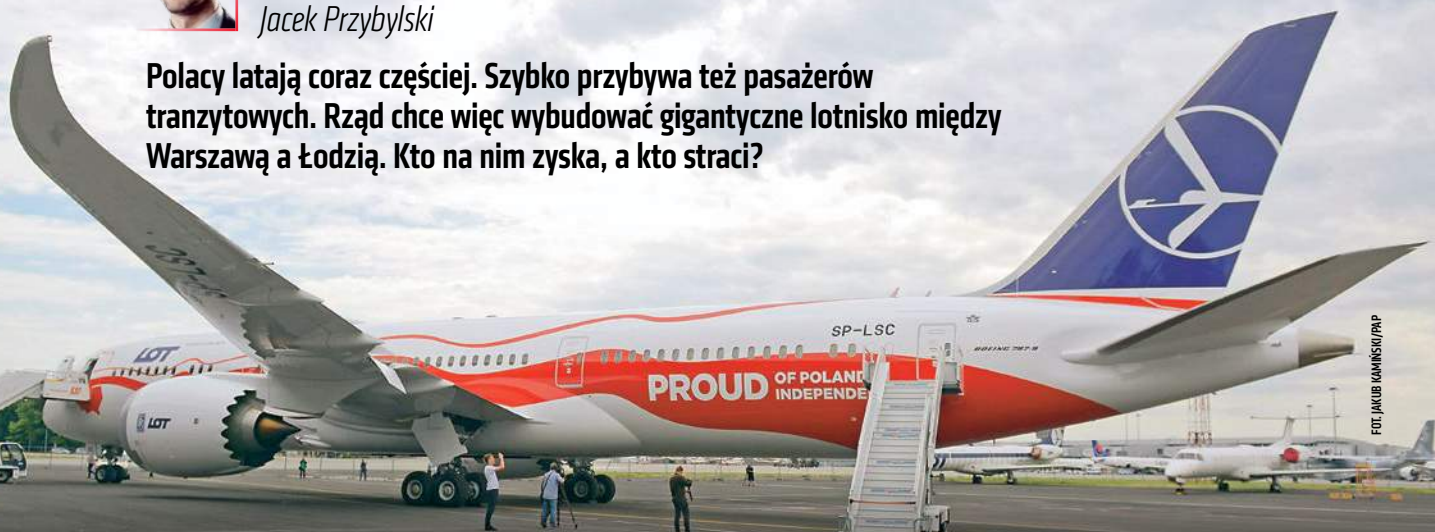
Podczas wizyty w Izraelu książę William nie odwiedził starej Jerozolimy, która znajduje się obecnie pod rządami Izraela. Zrobił to, będąc gościem Autonomii Palestyńskiej. To pokazuje, że zarówno Wielka Brytania, jak i cała Europa nie są w relacjach izraelsko-palestyńskich najbliższymi sojusznikami Izraela. Bliższym aliantem są Stany Zjednoczone, mimo że decyzja Donalda Trumpa o przeniesieniu ambasady USA do Jerozolimy jest krytykowana również przez część sił politycznych w Izraelu.

Książę William, odwiedzając Izrael, odwiedził państwo nowoczesne, zbudowane na fundamentach demokracji zachodniej, państwo prawa, którego niemal cała elita jest związana ze światem zachodnim. © **oprac. raw**



Jacek Przybylski

Polacy latają coraz częściej. Szybko przybywa też pasażerów tranzytowych. Rząd chce więc wybudować gigantyczne lotnisko między Warszawą a Łodzią. Kto na nim zyska, a kto straci?



FOT. JACUB KUMINSKI/PAF

Zarobić na polskim niebie

Choć w Polsce znajduje się geograficzny środek Europy, to dotychczas rządy w Warszawie nie wykorzystywały położenia geograficznego naszego kraju do prowadzenia zdecydowanych działań służących zwiększeniu rozwoju gospodarczego.

Potężne lotniska przesiadkowe w UE wciąż znajdziemy więc dopiero na zachód od Odry. I jak na razie to m.in. Niemcy zarabiają na tym, że Polacy latają coraz więcej. Rząd PiS chce zmienić tę filozofię i sprawić, żeby pieniądze, które teraz zostają u operatorów lotnisk w Monachium czy Frankfurtu nad Menem, zostawały w Polsce.

PiS chce wykorzystać to, że polski rynek lotniczy ma jeden z największych potencjałów wzrostu w całej Europie. Widać to wyraźnie choćby na podstawie wyników warszawskiego Lotniska Chopina. W 2017 r. największy polski port lotniczy zajął pierwsze miejsce pod względem wzrostu liczby pasażerów w Unii Europejskiej wśród lotnisk obsługujących rocznie od 10 do 25 mln pasażerów. W zeszłym roku Lotnisko Chopina obsłużyło 15,75 mln pasażerów, o 23 proc. więcej niż rok wcześniej. Tak dobry rezultat wynika m.in. ze wzrostu liczby osób, które traktują warszawskie lotnisko jako port przesiadkowy. Tylko w 2017 r. ruch transferowy na

Lotnisku Chopina wzrósł o niemal 35 proc., czyli aż o 1 mln. Przepustowość tego portu jest już jednak na wyczerpaniu.

Tymczasem zdaniem analityków firmy PwC tylko w tym roku ruch pasażerski w całej Polsce wzrośnie o ok. 12 proc. do 45 mln osób. Według prognoz Urzędu Lotnictwa Cywilnego w roku 2035 ruch na polskich lotniskach będzie zaś wynosił ponad 94 mln pasażerów.

Takie dane potwierdzają potrzebę budowy w środku Europy dużego portu lotniczego, który zwiększy przepustowość lotnisk wokół Warszawy i stanie się motorem wzrostu dla całej gospodarki. Rząd PiS zamierza więc wykorzystać szansę i jak najszybciej zbudować gigantyczny hub, który ma znacząco zwiększyć liczbę lotów tranzytowych przez Polskę i umożliwić dynamiczny rozwój PLL LOT jako głównego przewoźnika w Europie Środkowej. Restrukturyzacja przyniosła dobre rezultaty: PLL LOT przewiózł w 2017 r. prawie 7 mln pasażerów, zarabiając na tym 283 mln zł, czyli o 100 mln więcej niż rok wcześniej. Wzrosła też liczba samolotów, rozbudowywana jest też siatka połączeń.

Intratny rynek lotniczy jest jednak bardzo konkurencyjny. PiS nie traci więc czasu. W czerwcu weszła w życie podpisana

przez prezydenta Andrzeja Dudę ustawa o Centralnym Porcie Komunikacyjnym. Jeszcze w lipcu powinna zaś powstać spółka celowa, powołana do realizacji inwestycji. Ta z kolei jak najszybciej ma ogłosić przetarg na studium wykonalności.

INWESTYCJA ZA 30 MLD

Budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego „Solidarność” w Stanisławowie w gm. Baranów ma kosztować ok. 35 mld zł, z czego 19 mld pochłonie budowa samego lotniska. Rząd chce, aby CPK był węzłem, który połączy ruch lotniczy, kolejowy i drogowy. Aby ułatwić podróżnym z całej Polski możliwość szybkiego dojazdu na nowe lotnisko, rząd zamierza również za ok. 8–9 mld zł zbudować węzeł kolejowy oraz nowe odcinki tras umożliwiających jazdę z prędkością 250 km/godz.. Czas podróży pociągiem między Warszawą a CPK wyniosłby 15 minut. Z większości miast Polski dojazd do CPK zająłby zaś 2–2,5 godziny. Jednocześnie na potrzeby rozwoju nowego portu powstałoby od kilkudziesięciu do kilkuset kilometrów nowych dróg. Najpóźniej do 2027 r. poszerzona o trzeci pas została autostrada A2. Docelowo przepustowość lotniska wynosiłaby 100 mln pasażerów rocznie. W pierwszych latach korzystałoby

z niego ok. 25–30 mln pasażerów, a w okolicach 2035 r. liczba obsługiwanych pasażerów wzrosłaby do 45 mln. Jeżeli te plany rzeczywiście udałoby się zrealizować, to lotnisko w gminie Baranów weszłoby do pierwszej dziesiątki europejskich portów lotniczych pod względem liczby obsługiwanych pasażerów.

Program budowy CPK to największy program inwestycyjny w Polsce od czasu przygotowań do organizacji mistrzostw Europy w piłce nożnej w 2012 r.

I chociaż lotniska przedsiębiorstwa mają bardzo wysoką rentowność, to realizacja tego projektu wiąże się z wieloma zagrożeniami. Bolesnie przekonali się o tym niemieckie władze, budując lotnisko Berlin-Brandenburg. Projekt skończył się skandalem finansowym i budowlanym na skalę, jakiej Niemcy jeszcze nigdy nie widzieli. Prace nad nowym portem w Berlinie to bowiem niekończąca się historia usterek, błędów i marnotrawienia pieniędzy podatników. Budowa ruszyła w 2006 r. W roku 2012 lotnisko Berlin-Brandenburg (BER) miało się stać jednym z najnowocześniejszych portów lotniczych Europy i zastąpić trzy inne lotniska: Tempelhof, Tegel i Schönefeld. Datę uruchomienia BER – trzeciego po Frankfurtu nad Menem i Monachium lotniska w Niemczech – wielokrotnie jednak przekładano. Okazało się bowiem m.in., że wadliwe są drzwi, które w razie pożaru powinny się automatycznie zamykać, automatyczne tryskacze przeciwpożarowe, a do tego z powodu zamontowania zbyt ciężkich wentylatorów dach lotniska groził zawaleniem, a kilkaset ścian trzeba było rozebrać, bo zbudowano je z niewłaściwych materiałów. Liczba popełnionych błędów konstrukcyjnych była tak duża, że zaczęto sugerować, że taniej będzie lotnisko zrównać z ziemią i zbudować od nowa niż próbować je naprawiać.

W styczniu 2018 r. kolejny raz przesunięto jego otwarcie: tym razem na październik 2020 r. Ogłoszono również konieczność jego rozbudowy. Tegel i Schönefeld odprawiają już bowiem ok. 35 mln pasażerów rocznie, tymczasem przepustowość portu Berlin-Brandenburg ma wynieść początkowo zaledwie ok. 27 mln osób rocznie. To zaś oznacza, że wbrew pierwotnym planom nawet po otwarciu BER Tegel i Schönefeld nie zostaną szybko zamknięte. Niedokończony berliński port lotniczy stał się zaś niedawno tymczasowym parkingiem dla aut produkowanych przez Volkswagena.

Polska z błędów Niemców może też wyciągnąć jeszcze jedną lekcję: w przy-

padku berlińskiego portu w dramatycznym tempie rosły bowiem koszty. Początkowo nowe berlińskie lotnisko miało kosztować 2 mld euro (równowartość 8,7 mld zł), tymczasem choć wydano na nie ponad 6,5 mld euro (ponad 28 mld zł), to jego rozbudowa będzie kosztować dodatkowe 3 mld euro (13 mld zł). Dzięki temu lotnisko ma móc obsługiwać do 55 mln pasażerów rocznie. Największym problemem dla polskich władz może się okazać właśnie niedoszacowanie kosztów budowy CPK – tymczasem zgodnie z rozporządzeniem UE budowa nowego portu lotniczego nie kwalifikuje się do wsparcia z unijnych pieniędzy. Rząd już teraz szuka więc inwestorów.

RZĄD NA ZAKUPACH

Polskie władze planują od razu wykupić od mieszkańców dwa razy więcej gruntów, niż jest to niezbędne do budowy nowego lotniska i węzła komunikacyjnego. Chodzi m.in. o to, aby w razie potrzeby można było bez problemów rozbudować CPK. Na obejmujący łącznie 66,2 km obszar inwestycji są wyznaczone trzy gminy: Baranów (pow. grodziski), Teresin (pow. sochaczewski) oraz Wiskitki (pow. żyrardowski). Maksymalny obszar inwestycji jest ograniczony od południa autostradą A2, od zachodu drogą krajową nr 50, a od północy rzeką Pisią i miejscowością Szymanów. Taka lokalizacja jest optymalna dla Warszawy. Odległość od CPK do stolicy wynosi bowiem ok. 40 km.

Plany rządu nie podobają się wielu mieszkańcom Baranowa. W przeprowadzonym w połowie czerwca referendum na pytanie „Czy chce Pan/Pani budowy CPK w gminie Baranów?” 84 proc. głosujących odpowiedziało „nie”. Na „tak” zagłosowało 17,2 proc. uczestników. Frekwencja wynosiła ok. 47 proc. Referendum miało jednak tylko konsultacyjny charakter.

Aby ich przekonać, rząd zamierza nie tylko przyznać osobom prowadzącym działalność rolną nieruchomości zamienne o równych lub lepszych parametrach (mieszkańcy będą mieli prawo wyboru lokalizacji z puli gruntów należących do Skarbu Państwa na terenie całego kraju), lecz także przewidziane jest skrócenie obowiązkowego ubezpieczenia emerytalno-rentowego z 30 do 12,5 roku oraz przyznawanie emerytury wyjątkowej przez prezesa KRUS – również w przypadku braku wymaganego stażu pracy – na wniosek pełnomocnika rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Według Mikołaja Wilda, pełnomocnika ds. CPK i sekretarza stanu w Ministerstwie Infrastruktury, negocjacje z właścicielami nieruchomości mają potrwać do końca przyszłego roku. W 2019 r. wojewoda powinien też dokonać rezerwacji obszaru inwestycji. Dokument ten jest nadrzędny wobec miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Właściciele znajdujących się na nim nieruchomości nie będą wówczas mogli otrzymać np. pozwoleń na budowę i decyzji o warunkach zabudowy. Obowiązywać będzie również zakaz podziału nieruchomości i wydzielania samodzielnych lokali wewnątrz nieruchomości.

Zgodnie z planami rządu wojewoda mazowiecki w roku 2020 ma wydać decyzję lokalizacyjną, która stanowić będzie podstawę do pozwolenia na budowę. Wówczas też rząd na podstawie specustawy zacznie przejmować grunty za odszkodowaniem, którego wysokość ustala wojewoda na podstawie wartości nieruchomości określonej przez rzeczoznawcę. Od momentu dostarczenia decyzji o wywłaszczeniu właściciele będą mieli obowiązek opuścić nieruchomość maksymalnie w ciągu 120 dni.

AEROPOLIS

Część mieszkańców wolałaby jednak nie sprzedawać ziemi rządowi, lecz bezpośrednio inwestorom, którzy w okolicach nowego lotniska stworzą hotele, biurowce czy parkingi etc. Oczywiście za wielokrotnie wyższą cenę.

Budowa lotniska, a także rozwój szybkich i nowoczesnych połączeń kolejowych może bowiem sprawić, że rejon wokół CPK stanie się kluczowy dla rozwoju gospodarczego Polski. Na inwestycji zyskać powinny takie miasta, jak: Grodzisk Mazowiecki, Żyrardów, Skierniewice czy też Łódź. Otwarcie nowego lotniska ułatwi bowiem trwałą integrację aglomeracji warszawskiej oraz łódzkiej. To jednak nie wszystko. Władze w Warszawie chciałyby, aby podobnie jak Gdynia powstała wokół portu morskiego, w okolicach CPK powstało całe nowe miasto. Koncepcja Aeropolis – miasta nowych technologii, które docelowo może liczyć nawet 50 tys. mieszkańców – ma być gotowa jeszcze w tym roku.

Tereny wokół lotniska mogą więc stać się atrakcyjne zarówno dla deweloperów mieszkaniowych, jak i dla inwestorów chcących stawiać w tej okolicy hotele, parki biznesowe, centra targowo-wystawieniowe oraz siedziby dużych firm. Okolice CPK – połączone poprzez autostradę A2

z Warszawy, Poznaniem i Berlinem – będą też bardzo pożądaną lokalizacją dla centrów transportowych i magazynowych.

Rząd szacuje, że przy samym CPK powstanie ok. 40 tys. miejsc pracy, a kolejne 150 tys. powstanie w otoczeniu lotniska. Stracą z kolei miasta położone na wschód od Wisły. Ogromne wyzwanie będzie też stało przed właścicielami hoteli i innych obiektów zbudowanych wokół Okęcia.

CO DALEJ Z OKĘCIEM?

A co dalej z Lotniskiem Chopina? To pytanie dzieli polityków. Jacek Sasin, przewodniczący Stałego Komitetu Rady Mini-

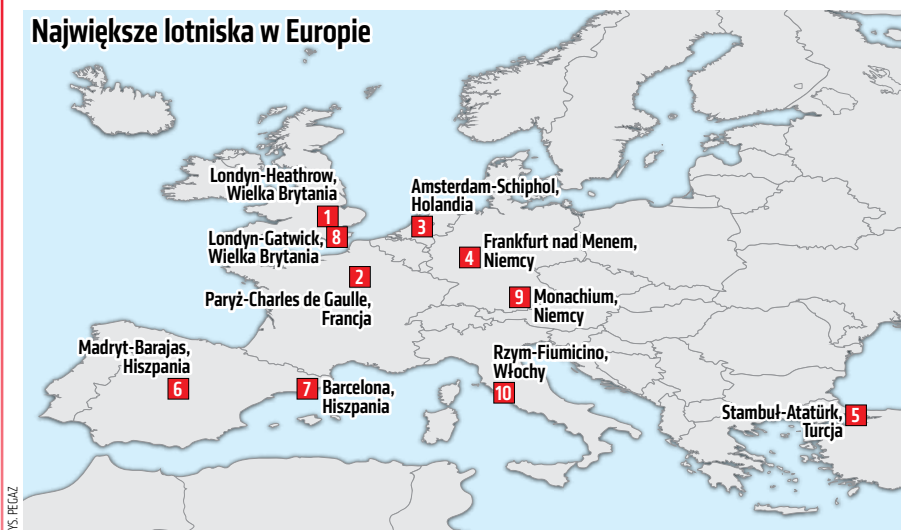
strów, na początku czerwca mówił, że po zbudowaniu CPK lotnisko na warszawskim Okęciu zostanie wygaszone, ponieważ „generuje hałas, uniemożliwia rozwój okolicznych dzielnic i tworzenie tam budynków użyteczności publicznej: szkół, przedszkoli, szpitali”. Europejski PiS Ryszard Czarnecki zadeklarował jednak, że Okęcie ma zostać. Kandydat PiS na prezydenta stolicy Patryk Jaki również przekonywał, że Lotnisko Chopina nadal będzie działać, choć „jako lotnisko lokalne”.

Z sondaży opinii publicznej wynika, że wygaszeniu Okęcia sprzeciwia się większość Polaków. Przeciwna zmia-

nom na Lotnisku Chopina jest zwłaszcza zdecydowana większość warszawiaków. Te nastroje próbuje więc wykorzystać opozycja. Były wiceprezydent Warszawy Jacek Wojciechowicz zapowiedział zaś w ubiegłym tygodniu powołanie komitetu referendalnego w obronie warszawskiego Lotniska Chopina. Lotniska blisko centrum broni Rafał Trzaskowski, który w maju przekonywał, że CPK jest „niepotrzebny, bo powstaje lotnisko w Berlinie”. Na tę uwagę szybko odpowiedzieli jednak internauci, pytając „po co nam stolica w Warszawie, skoro jest już w Berlinie?”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Największe lotniska w Europie



1. Londyn-Heathrow, Wielka Brytania

Największy port przesiadkowy w Europie. W zeszłym roku przewinęło się przez niego aż 77 987 524 pasażerów. Rok wcześniej lotnisko Heathrow obsłużyło 75,7 mln pasażerów, o 0,9 proc. więcej niż w roku 2015. W pierwszym kwartale obecnego roku każdego dnia przez największe europejskie lotnisko przechodziło prawie 200 tys. pasażerów dziennie. Największe lotnisko w Europie – londyńskie Heathrow – ma zaledwie dwa pasy startowe. Brytyjczycy są jednak gotowi do zażartej walki o pasażerów. Mimo ogromnych kontrowersji i głośnych protestów władze w Londynie zdecydowały więc o powiększeniu Heathrow i budowie trzeciego pasa startowego, który zostałby uruchomiony na przełomie 2025 i 2026 r. Nowy pas ma kosztować niemal 16 mld euro.

2. Paryż-Charles de Gaulle, Francja

To najważniejsze lotnisko we Francji – najchętniej odwiedzane przez turystów kraju świata – i piąty pod względem powierzchni port lotniczy na świecie (zajmuje 3,2 tys. ha). W 2017 r. obsłużyło 69,471 mln pasażerów. Swoją główną bazę mają tu linie Air France.

3. Amsterdam-Schiphol, Holandia

Jedno z najszybciej rozwijających się lotnisk w Europie. W zeszłym roku port lotniczy położony na równinie odzyskanej po osuszeniu zatoki morskiej obsłużył 68,515 mln pasażerów. Lotnisko w Amsterdamie jest również uważane za jedno z najbardziej zaawansowanych technologicznie. Dla przykładu pasażerom, którzy zgubili drogę lub spóźnili się na lot, z pomocą przychodzi robot o imieniu Spencer. Maszyna potrafi sprawdzać, czy w grupie, którą prowadzi do bramki, nikt nie zostaje w tyle.

4. Frankfurt nad Menem, Niemcy

Port uważany za biznesową bramę do Niemiec i dużej części Europy łączy Frankfurt z niemal 300 lotniskami na świecie. W 2017 r. obsłużył 64,5 mln pasażerów.

5. Stambuł-Atatürk, Turcja

Lotnisko o ogromnych aspiracjach. Z powodów politycznych (zwiększenia zagrożenia terrorystycznego w Turcji) zamiast obsługiwać coraz więcej podróżnych, ostatnio notuje gorsze wyniki. W roku 2017 obsłużyło 63,7 mln pasażerów. Jesienią obecnego roku ma zostać otwarte Istanbul New Airport – lotnisko za 11 mld dol. Z trzema pasami startowymi początkowo będzie w stanie obsłużyć 90 mln pasażerów rocznie, a docelowo jego potencjał szacowany jest na 200 mln podróżnych rocznie.

6. Madryt-Barajas, Hiszpania

W 2017 r. lotnisko to obsłużyło 53,4 mln pasażerów.

7. Barcelona, Hiszpania

Przez drugi największy port w Hiszpanii w zeszłym roku przewinęło się 47,3 mln osób.

8. Londyn-Gatwick, Wielka Brytania

Położony 40 km na południe od Londynu port lotniczy w 2017 r. jest jednym z sześciu lotnisk obsługujących metropolię londyńską. W zeszłym roku obsłużył 45,5 mln pasażerów.

9. Monachium – Lotnisko im. Franza Josefa Straußa, Niemcy

Port położony 28 km od Monachium obsłużył w zeszłym roku 44,6 mln osób.

10. Rzym-Fiumicino, Włochy

Lotnisko oddalone od centrum Rzymu o ok. 30 km w 2017 r. obsłużyło 41 mln pasażerów.

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ

GODZ. 20.00

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL



PRZEMYSŁAW

O. GINTROWSKA



J. GINTROWSKA

KILIAŃSKI



ZIÓŁKO

NAPIÓRKOWSKI



DRAPAŁA

SZERSZEŃ

BARTMIŃSKI



STOKŁOSA

ORAZ
ORKIESTRA
TEATRU WIELKIEGO
W POZNANIU
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOSY

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PARTNER STRATEGICZNY

WSPÓŁORGANIZATOR

PARTNER

PATRONI MEDIALNI

niepodległa

POLSKA
STUDIO ODBYWANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



eprasa.pl 8f1cf709d4



wprost



Z Sylwestrem Tułajewem, posłem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

GetBack to nie jest afera PiS

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Gdy patrzymy na sprawę GetBack, mam bardzo mocne poczucie, że jest to afery salonów finansowych III RP” – stwierdził pan w rozmowie z „Gazetą Polską”. Co miał pan na myśli?

SYLWESTER TUŁAJEW: Widzimy to na przykładzie nazwisk, które przewijają się w kontekście tej afery. Pojawiają się tam nazwiska osób związanych z PO. Warto zapytać przewodniczącego Schetynę, jakie związki mają jego koledzy i znajomi z firmą GetBack. To pokazuje jasno, że ta afery nie dotyczy Prawa i Sprawiedliwości, jak próbuje to przedstawiać totalna opozycja. To jest afery salonów finansowych III RP.

Sugeruje pan, że w aferę zamieszana jest Platforma, jako siła polityczna?

GetBack powstał w 2012 r., a więc za czasów rządów PO-PSL. Dlatego słusznie zadawane są dziś pytania, kto w ciągu sześciu lat działalności spółki zarabiał miliony na oferowanych przez nią de facto śmieciowych obligacjach. Na szczęście ta sprawa jest dziś bardzo skrupulatnie wyjaśniana przez organy państwa. Generalnie należy podkreślić, że reakcja organów państwa na tę aferę była i jest odpowiednia. Śledztwo ruszyło dzień po złożeniu zawiadomienia przez Komisję Nadzoru Finansowego. Prokuratura zadziałała błyskawicznie. Minęło jedynie półtora miesiąca od momentu wszczęcia śledztwa do pierwszych zatrzymań. Zarzuty otrzymał m.in. były prezes spółki, co tym bardziej pokazuje, że państwo zadziałało w sposób zdecydowany. Kolejne zatrzymania przez CBA m.in. prezesa Polskiego Domu Maklerskiego potwierdzają, że organy państwa działają właściwie i sprawa zostanie wyjaśniona.

Podkreśla pan, że spółka powstała za rządów PO-PSL. Istniała jednak również przez ponad dwa lata po zwycięstwie wyborczym PiS...

Nie jest ważne, ile lat za których rządów działał GetBack, ale to, za których rządów zareagowały organy państwa.

Nie zareagowały zbyt późno?

W mojej opinii reakcja była właściwa. Należy przede wszystkim wyjaśnić, w jaki sposób zadziałały przewidziane prawem organy kontroli wewnętrznej w spółce. Czyli: jak zareagowała rada nadzorcza, jakie działania podjął komitet audytu... Być może było tak, że organy te nie zareagowały w odpowiednim momencie. Przypomnijmy pewien bardzo ważny fakt: pod koniec września 2017 r. GetBack wykazuje 180 mln zł czystego zysku. Natomiast już po trzech miesiącach notuje ogromne stra-

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

ty – ponad 1,3 mld zł. To kluczowa kwestia: Dlaczego nie zadziałały wewnętrzne mechanizmy kontroli?

Właśnie: dlaczego?

To oczywiście wyjaśni śledztwo. Natomiast nie zgadzam się z opinią, w myśl której reakcja organów państwa była zbyt późna. Powtarzam – KNF i prokuratura błyskawicznie podjęły odpowiednie działania. Ważne jest również, że sprawę zwierzchnim nadzorem objął prokurator krajowy, powołując poważny zespół śledczy, składający się z czterech prokuratorów, agentów CBA i asystentów prokuratorów. Widać zatem wyraźnie, że za rządów PiS afery jest dogłębnie wyjaśniana – wnikliwie, szczegółowo i bez zbędnej zwłoki. To dobra zmiana w porównaniu z tym, jak poprzedni rząd PO-PSL podchodził do afery Amber Gold. To potwierdzało, że za naszych poprzedników mieliśmy do czynienia z rządami teoretycznymi, o czym wszyscy usłyszeliśmy na taśmach prawdy.

Pod jakim względem afery Amber Gold i GetBack są ze sobą porównywalne?

Nie ma żadnych wątpliwości, że wspólnym mianownikiem obu afer są wielkie pieniądze, które utracili zwykli Polacy. Najważniejsza różnica tkwi natomiast w sposobie wyjaśniania tych dwóch spraw. W przypadku Amber Gold organy państwa nie zadziałały odpowiednio. Dzisiaj przekonujemy się o tym dobitnie, przysłuchując się obradom komisji śledczej. Widać to też wyraźnie, jeśli chodzi o czas reakcji organów państwa. W przypadku Amber Gold trzy lata zajęło prokuraturze dokonanie wszelkich czynności i przesłuchanie świadków. Dopiero po trzech latach główny sprawca usłyszał zarzuty! Amber Gold pozostanie wstydlwym przykładem opieszałości państwa. Natomiast GetBack to dowód, że państwo może i powinno reagować w sposób natychmiastowy.

I dlatego nie warto powoływać komisji śledczej w sprawie GetBack, jak chciałaby tego opozycja?

Nie warto, ponieważ w sprawie GetBack reakcja organów państwa była właściwa, dlatego komisja śledcza jest niepotrzebna. W przypadku Amber Gold komisja śledcza była potrzebna i została powołana właśnie po to, aby wyjaśnić, dlaczego organy państwa zawiodły.

Może jednak nie zaszkodziłoby dokładne przyznanie się sprawie? Przecież państwo zareagowało

dopiero niedawno, a do nieprawidłowości mogło dochodzić już wcześniej?

To dobrze, że totalna opozycja tak mocno domaga się rozliczania afer i zaczęła interesować się stanem finansów państwa. Już niebawem powstanie komisja śledcza, tyle że w sprawie wyłudzeń VAT. Wyjaśnimy, co się takiego zadziało, że za rządów PO-PSL panowało wielkie przyzwolenie państwa, aby okradać obywateli, okradać z podatków budżet państwa. Będziemy chcieli szczegółowo wyjaśnić, kto ukradł za ich rządów ponad 260 mld zł VAT. Już dziś członkowie mafii VAT-owskich trafiają za kratki.

Wróćmy do GetBack. Dlaczego były prezes tej spółki – jak podają media – pisał listy do Mateusza i Kornela Morawieckich, prosząc o wsparcie finansowe?

Rzeczywiście, pojawiły się nieprawdziwe informacje na temat rzekomego listu, o którym pisała ostatnio „Gazeta Wyborcza”. Kancelaria premiera zdementowała te kłamstwa, podkreślając, że nie otrzymała listu od byłego prezesa GetBack, który „Gazeta Wyborcza” ujawniła jako „tajny list do premiera Morawieckiego”. Moim zdaniem rozpowszechnianie tego typu informacji to próba przekierowania procesu wyjaśniania afery na niewłaściwe tory, próba rozmydlenia sprawy, rozproszenia odpowiedzialności. Jednak my to wszystko bezwzględnie wyjaśnimy.

Według „Newsweeka”, gdy prezes GetBack Konrad K. próbował się ratować, szukał pieniędzy w PKO BP i Polskim Funduszu Rozwoju, bo tam rządzą zaufani Morawieckiego: Zbigniew Jagiełło i Paweł Borys...

Ludzie odpowiedzialni za tę aferę posługiwali się manipulacjami, zwykłymi kłamstwami, próbami zastraszenia, aby wymusić na instytucjach państwa korzystne dla siebie działania i decyzje. To było jednak bezskuteczne. Wiemy przecież, że premier Mateusz Morawiecki zaraz po otrzymaniu informacji o nieprawidłowościach polecił odpowiednim organom państwa niezwłoczne wyjaśnienie sprawy. KNF złożyła kilkanaście zawiadomień do prokuratury, a CBA zabezpieczyło stosowne dokumenty. Próba wrobienia w tę aferę polityków PiS to wolne żarty. To wygląda wręcz na zмовę tych ludzi, którzy przez lata sprawowali nieformalną władzę nad ogromną częścią rynku finansowego.

Jednak nie tylko w mediach z zasady antypolskich można usłyszeć czy przeczytać, że afery GetBack jest częścią konfliktu pomiędzy Mateuszem Morawieckim a Zbigniewem Ziobrą. Pojawiają się głosy, że minister sprawiedliwości chce wykorzystać

śledztwo w tej sprawie, aby osłabić pozycję premiera, oraz że w tym celu zamierza od Konrada K. wyciągnąć jak najwięcej informacji, które mogłyby zaszkodzić Morawieckiemu...

W mojej opinii nie ma żadnego konfliktu na tej linii. Zarówno panu premierowi, jak i panu ministrowi bardzo zależy na wyjaśnieniu tej afery. Jedynym celem obodu dobrej zmiany jest to, aby tym razem instytucje państwa zadziałały właściwie.

Jak pan myśli, jakie będą polityczne konsekwencje tej afery? Zaszkodzi wam czy opozycji? Bo jednak, inaczej niż Amber Gold, ta afery nie kojarzy się wyłącznie z jedną siłą polityczną...

Nie chcę tego oceniać. Jestem jednak przekonany, że obywatele dostrzegają tę właściwą reakcję organów państwa. Prokuratura udowodniła, że potrafi działać sprawnie i szybko. Widać wyraźnie, jaka jest różnica pomiędzy państwem teoretycznym za rządów Platformy a państwem działającym właściwie za rządów dobrej zmiany.

Ile razy jeszcze politycy PiS będą wracać do tego, co się działo „przez osiem ostatnich lat”? A może lepiej już przestać się tak ciągle porównywać z poprzednikami i iść do przodu bez oglądania się na PO?

Oczywiście, ale przecież my cały czas idziemy do przodu. Zmieniamy kraj, naprawiamy Polskę, wprowadzamy potrzebne reformy, programy... Jesteśmy w tym bardzo skuteczni. Jednak ważne jest również, by przypominać, jak to wszystko wyglądało za czasów poprzedników. Polacy muszą znać tę różnicę. Za rządów PO-PSL wszelkie afery były zamykane pod dywan, tuszowano patologie i udawano, że jest wszystko w porządku, że jesteśmy „zieloną wyspą”. Natomiast naszym priorytetem jest dogłębne wyjaśnianie wszelkich nieprawidłowości oraz możliwie najbardziej skuteczne działanie państwa w każdej sferze.

We wtorek agenci CBA zatrzymali kolejne osoby w związku z aferą GetBack: dyrektorkę jednego z departamentów spółki i prezesa zarządu Polskiego Domu Maklerskiego. Jesteśmy coraz bliżej wyjaśnienia?

Jestem przekonany, że tak. To dla mnie i myślę, że także dla zdecydowanej większości Polaków, potwierdzenie, iż organy państwa działają właściwie, że sprawa jest drobiazgowo wyjaśniana.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Sylwester Tułajew

– poseł PiS, kandydat na prezydenta Lublina.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A rolnicy milionerzy?

Dochody polskich rolników wzrosły w ubiegłym roku statystycznie najbardziej, dużo bardziej niż pozostałych Polaków, z czego bardzo się cieszę. Tak jak i z tego, że mimo to nadal nie będą oni musieli płacić podatku od dochodów osobistych – PIT – jak ich rodacy.

W przeliczeniu na jedną osobę miesięczny dochód w rodzinach rolników w 2017 r. wynosił 1576 zł i był aż o 424 zł, czyli o 37 proc., wyższy niż rok wcześniej – wyliczyła „Rzeczpospolita”. W tym samym czasie w rodzinie rencistów wzrósł o 11,3 proc., w rodzinie pracowników – o 7,6 proc., w rodzinie ludzi pracujących na własny rachunek – o 7,1 proc., a w rodzinie emerytów – o 3,9 proc. Jednak to, rzecz jasna, sytuacji nie zmienia ani na jotę i to emeryci, renciści, pracownicy oraz ludzie pracujący na własny rachunek będą nadal musieli uiszczać podatek dochodowy, a rolnicy – nie.

To, rzecz jasna, nie koniec rolniczych przywilejów, bo przecież nie tylko nie płacą oni PIT, lecz także uiszczają – i w tym przypadku również nic się nie zmienia – dużo niższe od pozostałych obywateli RP składki zdrowotne, a także wprost mikroskopijnej wysokości – mikroskopijnej w porównaniu z wysokością pobieranych później świadczeń – składki emerytalne. I w jednym, i w drugim przypadku, a więc składek zdrowotnych oraz emerytalnych, za rolników muszą dopłacać emeryci, renciści, pracownicy i ludzie

pracujący na własny rachunek. Tak wygląda w Rzeczypospolitej Polskiej konstytucyjna równość obywateli wobec prawa i nic nie zapowiada, żeby miało się to zmienić.

Ba, rząd PiS, zamiast stać się zrównać Polaków w ich prawach dorzuca do tego koktajlu nierówności kolejny składnik. Nic bowiem nie słychać o tym, aby rolnicy milionerzy mieli zostać włączeni przez PiS do grupy przyszłych płatników tzw. daniny solidarnościowej, czyli nowego podatku – na rzecz niepełnosprawnych, który będą musiały uiszczać osoby zarabiające ponad milion złotych rocznie. A przecież milionerów wśród polskich rolników nie brakuje, wielu z nich ciężkie miliony złotych każdego roku inkasuje tylko z tytułu unijnych dotacji. Jak sądzę, statystycznie rzecz biorąc, wśród Polaków rolników milionerów jest nie mniej niż wśród Polaków nierolników. Może jest ich więcej? Jednak tego przecież rząd żadną miarą nie jest w stanie stwierdzić, bo rolnicy nie mają – tak jak pozostali Polacy – obowiązku składania co roku deklaracji o wysokości uzyskiwanych dochodów. Niewiele zatem albo zgoła nic o ich dochodach państwowym służbom skarbowym nie jest wiadomo. I nie byłoby w tym nic niewłaściwego, ba – byłoby to jak najbardziej wskazane, gdyby w ten sam sposób traktowani byli nie tylko rolnicy, lecz także wszyscy Polacy, niezależnie od tego, jak zarabiają na życie.

A że nie są, to jest to rażące łamanie konstytucji. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Pokolenie Y kreuje przyszłość

Przez półtorej dekady zarządzałem dużymi zespołami ludzi w sektorze publicznym i prywatnym, w dwóch krajach byłego bloku sowieckiego. Instytucje, w których pracowałem jako prezes lub wiceprezes, przeszły głęboką transformację. Jednak osoby z kadry zarządzającej były z mojego pokolenia, czyli pokolenia X. Jednak miałem i mam możliwość (współ) pracować w firmach, których DNA jest kreowane przez pokolenie Y. Postaram się pokazać główne różnice w X-firmach i Y-firmach, oczywiście w uproszczeniu i widziane „Rybiym okiem”.

Podstawowa różnica to czas. W X-firmach płynie znacznie wolniej, głównym medium komunikacji są e-mail i telefon, ciągle standardem są papierowe raporty. X-firma jest jak biegacz długodystansowy, który dobrze wie, dokąd zmierza, i miarowo oddychając, przemierza kolejne kilometry wyznaczone przez 3–5-letnią strategię, odpowiednio rozkładając siły i często mierząc puls. Podczas biegu popija wodę.

W Y-firmie czas płynie nieprawdopodobnie szybko. Komunikacja jest zdominowana przez rozwiązania asynchroniczne (czaty, aplikacje mobilne, komunikatory) stosowane jednocześnie, które definiują kanały komunikacji. Pokolenie Y porozumiewa się równoważnikami zdań, emotikonami i obrazem. O ile

w X-firmach na odpowiedź e-mailową czeka się kilka godzin, a czasem nawet dni, o tyle w Y-firmach odpowiedź jest natychmiastowa. Y-firma nie można porównać do typowego biegacza. Cel strategiczny nie może być zbyt daleko i w jego kierunku Y porusza się sprintem, a nie truchtem. Oczywiście długie sprinty czasami prowadzą do potężnego zmęczenia i dlatego zamiast wody stosuje się napoje z dużą ilością kofeiny. Jednak w odróżnieniu od długodystansowca X Y cały czas się rozgląda, szukając okazji, żeby przyspieszyć. Wykorzysta skrót, rower, podjedzie stopem, byle szybciej, do celu, a środkiem dopingującym jest niezaspokojona ambicja.

W X-firmach komunikacja jest związana z hierarchią, zniuanasowana, kierowana do wybranych. W Y-firmach jest ahierarchiczna, bezpośrednia, szczerza i otwarta. W X-firmach pracownik czeka na ocenę okresową, a w Y-firmach dostaje like'a albo buźkę od szefa i codziennie wie, jak sobie radzi. W X-firmach do świata dorasta się stopniowo, powoli, w miarę osiąganych sukcesów. Y-firmy od początku mają ambicje odniesienia globalnego sukcesu. O ile w polskiej polityce ciągle dominuje pokolenie X, o tyle w sektorze prywatnym na przyszłość Polski coraz większy wpływ ma pokolenie Y. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



INTELIGENTNA WAGA MI SMART SCALE 2

Lato w pełni, więc niemal każdy chciałby móc na plaży pochwalić się kaloryferem na brzuchu. Dla tych, którzy piękne mięśnie brzucha nadal ukrywają pod grubą warstwą tłuszczu, chińska firma Xiaomi wypuściła na rynek inteligentną wagę łazienkową.

Urządzenie za pomocą czterech elektrod i technologii bioimpedancji elektrycznej dokonuje analizy składu ciała. Wystarczy jeden pomiar, aby dowiedzieć się, jaki procent ciała stanowi tkanka tłuszczowa, jaki mamy poziom

masy mięśniowej i kostnej, ile mamy wody w organizmie, a także jak bardzo otluszczone są nasze narządy wewnętrzne (wskaźnik tłuszczu trzewnego). Po podaniu niezbędnych danych aplikacja Mi Fit obliczy także wskaźnik masy ciała (popularne BMI).

Inteligentna waga szczegółowe dane do aplikacji na smartfonie wysyła za pomocą Bluetooth. Bezprzewodowe podłączenie wagi z telefonem – zarówno z systemem Android, jak i iOS – jest szybkie i proste. Waga zapamiętuje

wyniki do 16 osób, które potrafi samodzielnie rozpoznawać (jeśli kilka osób waży podobnie, to aplikacja wyświetli pytanie, kto akurat korzysta z urządzenia).

Mi Smart Scale 2 ma też opcję ważenia niemowląt, co jest atrakcyjnym dodatkiem dla młodych rodziców.

Na niektórych otyłych motywująco podzielać może już sam wygląd urządzenia. Waga jest niesamowicie szczupła (ma niespełna 1,5 cm grubości). Pozostałe wymiary to 30 x 30 cm. Kompaktowy design ma jeszcze jedną zaletę: Mi Smart Scale 2 bez trudu można schować pod większością szafek.

Wykonana z tworzywa ABS waga sprawia wrażenie solidnej.

Dla bezpieczeństwa użytkowników projektanci pokryli ją również paskami antypoślizgowymi. W środku znajduje się miejsce na cztery baterie AA – szkoda, że nie ma ich w komplecie.

Gadżet kosztuje 159 zł. Przed zakupem trzeba wziąć pod uwagę, że to jedno z najtańszych urządzeń tego typu z dostępnych na rynku. Mi Smart Scale 2 to bowiem bardzo fajny gadżet, a nie profesjonalny sprzęt medyczny – uzyskiwane wyniki mogą więc odbiegać od tych, które podadzą nam dietetycy czy trenerzy personalni. Waga od Xiaomi może się jednak świetnie sprawdzić w przypadku tych osób, które nie mają zamiaru wydawać fortuny na specjalistyczny analizator składu ciała, a chciałby obserwować, jak zmieniają się parametry składu ich ciała po wprowadzeniu diety czy rozpoczęciu treningów. © ©

Jacek Przybylski

PODUSZKI DO ZABAWY

Można się nią rzucać, prać po buziach, skakać i – gdy rodzice nie widzą – wyrwać psu z pyska. Przy czym w tym ostatnim przypadku będzie to poduszka jednorazowa. Jednak można też – i do tego służyć ma Pillow Playsets – bawić się zdecydowanie bardziej konstruktywnie. Pillow Playsets to bowiem zestaw kolorowych, pokrytych wypukłymi, przyjemnymi w dotyku



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

rysunkami poduszek, który pozwala na przekształcenie kanapy w domek dla lalek, kuchnię lub gabinet lekarski. A po skończonej zabawie wystarczy poduszki złożyć, wygładzić i można na nich spokojnie spać. Plusy? Ołbrzymie – poza tym, że unikamy „tato/mamo pobaw się ze mną”, pozbywamy się też dziecięcych gratów, które zalegają małe pokoiki. Po co domki dla lalek, kuchenki, wózki, zestawy, skoro to wszystko można mieć dzięki „systemowi poduszek”?

W dodatku można je wyprać, wysuszyć i używać nadal. Uwaga feministki – teraz będzie męski szowinizm – zestaw nadaje się bardziej do zabawy dla dziewczynek, w dodatku małych. Chłopca raczej nie ucieszy. Można kupić na Kickstarterze za ok. 400 zł (trzy poduszki).

ZDROWA WODA SIŁY DODA

Wodę pić trzeba, i to dużo. Gadżetów, które przypominają o nawadnianiu organizmu, ba nawet je mierzą, jest na rynku już sporo, ale EQUA Smart Water Bottle to wyróżniająca się nowość. Warto zwrócić na nią uwagę, ponieważ butelka, dzięki zestawowi czujników ruchu, „przypomina” o konieczności sięgnięcia po nią i uzupełnienia płynów w organizmie. Jak? Zaczyna świecić, kiedy uzna, że powinniśmy sobie łyknąć. Czystej wody oczywiście. Nie robi tego na chybił trafił – najpierw za pomocą specjalnej aplikacji smartfonowej trzeba ją zaprogramować i dostosować do swojej optymalnej diety uzależnionej od wagi oraz aktywności fizycznej. A do tego butelka ma ergonomiczny kształt i zmieści się w turystycznej torbie. Na Kickstarterze kosztuje ok. 150 zł. © ©



Wojciech Wybranowski

TOMASZ CUKIERNIK: Dlaczego rolnicy protestują? Jakie są wasze postulaty?

MICHAŁ KOŁODZIEJCZYK: Sytuacja polskiego rolnictwa jest tragiczna, czego nikt nie chce przyjąć do wiadomości. Handel w Polsce opanowany jest przez kapitał zachodni, a żaden market nie jest zainteresowany kupowaniem polskich ziemniaków. Pozostaje jedynie jakaś niszowa sprzedaż. Tymczasem w sklepach wielkopowierzchniowych odbywa się handel ziemniakiem włoskim, hiszpańskim i z innych krajów.

Jesteśmy w UE i na tym polega wolny handel...

Jednak ten handel to nieuczciwa konkurencja. Dlatego na Węgrzech stworzono system EKR. Ktośkolwiek chce przywieźć na Węgry jakiegokolwiek towar rolny, musi to zgłosić do odpowiedniej instytucji. Węgrzy wcześniej wiedzą, że dany towar zostanie przywieziony. Nie ma możliwości, by ktoś przywiózł towar bez dokumentów.

No ale przecież samo zgłoszenie nie wstrzyma handlu...

Nie wstrzyma, ale za niezgłoszenie towaru można dostać bardzo wysoką karę rzędu 40 proc. jego wartości. Od lat męczymy się z tym, że do Polski towary są przywożone, a następnie sprzedawane jako polskie. Niedawno mieliśmy taki problem z ziemniakami z Hiszpanii, które były sprzedawane pod polską flagą. Małutkimi literkami z boku było napisane, że krajem pochodzenia jest Hiszpania, a dużymi literami na frontowym miejscu etykieta z polską flagą, że to polski produkt. Wykorzystywany jest w ten sposób konsumencki patriotyzm gospodarczy.

OK, ale nawet jeśli wprowadzi się system zgłaszania importu, to handlowcy będą zgłaszać i nadal przywozić. Dalej nie będą kupować od polskiego rolnika...

Ale chodzi o uszczelnienie obrotu. Wie pan, jak w Holandii upadły giełdy kwiatowe?

Jak?

Polacy nauczyli Holendrów handlować bez faktur. Z kolei w Rumunii wprowadzono przepisy, że na półkach marketów produktów krajowych musi być 50 proc. Rumuni wiedzą, że to jest niezgodne z prawem unijnym, ale zrobili to, bo procedura wycofywania tego przepisu będzie trwała ze trzy lata, a wtedy producenci rumuńscy zażądają podpisania 10-letnich kontraktów. Zyska rumuń-



Z Michałem Kołodziejczakiem, rolnikiem spod Sieradza, prezesem Unii Warzywno-Ziemniaczanej, który przewodzi rolniczym protestom rozmawia Tomasz Cukiernik

Polska wieś straciła na UE



FOT. ARCHIWUM MICHAŁA KOŁODZIEJCZYKA

ska gospodarka. Dlaczego w Polsce nie możemy tak zrobić?

Dzisiaj w najpopularniejszych sklepach nie można kupić polskich ziemniaków. Polska pozwoliła, by w najlepszych punktach miasta były markety. Niech pozostaną, ale, niestety, polski producent nie ma dostępu do rynków zbytu. Państwo polskie powinno zrobić wszystko, żeby ten dostęp odzyskać. Dodatkowo problemem była do niedawna bardzo mała liczba kontroli prowadzonych na produktach przywożonych do Polski. A tak działa polityka na całym świecie, że kontroluje się produkty, których jest nadmiar, by obronić swój rynek. W Polsce tego patriotyzmu brakuje. Na jednym ze spotkań w Ministerstwie Rolnictwa jeden z wiceministrów powiedział, że gdyby kontrolowano dokładnie, toby wybuchła wojna ekonomiczna w Europie. Czyli argumenty są takie, że nie wolno, bo się ktoś na nas obrazi. Czesi kontrolują, Włosi kontrolują, Niemcy kontrolują – my, jako producenci, jesteśmy tego przykładem. Kontrolują nas bardzo szczegółowo. Jeżeli potrzebują towaru, to nie ma problemu. Biorą wszystko, jak idzie. Ale jeżeli u nich towaru jest zbyt dużo albo nasz stanowi pewne zagrożenie, to jest tak szczegółowo kontrolowany, że jeżeli trafi już na ich rynek, to nie może przekroczyć żadnych norm.

Dlaczego twierdziliście na manifestacji w Warszawie, że Polska stała się śmietnikiem dla Europy i całego świata?

Bo towary przywożone do Polski nie są odpowiednio badane. Nasi koledzy z Niemiec i Holandii jasno mówią: jeżeli coś się nie łapie do nich na rynek na półki sklepowe, to jest wywożone za granicę. Państwo wręcz namawia do tego, aby te towary wywozić. Nie chcą truć swoich. Tam utylizacja jest droższa niż wywóz do Polski. A świadomość producenta jest taka, że jak pryska swoje produkty, może użyć dużo tańszych zamienników, ale one stwarzają zagrożenie. Jeżeli ma świadomość, że będzie eksportował swoje produkty na rynek, który ich nie bada, to jasne jest to, że będzie starał się to zrobić jak najtaniej.

Będzie stosował te tańsze, gorsze opryski...

...tańsze, gorsze, przedawkowane. Kapustę możemy wyprodukować w 30 dni, a normalnie to trwa 50 dni. Jednak jeśli wyprodukujemy w 30 dni, to mamy skrócony okres, mniej oprysków, a damy więcej azotu, więcej potasu, więcej środków ochrony roślin i ona urośnie. Kiedyś

świnia rosła rok, pół roku, a dzisiaj rośnie trzy miesiące. To samo jest z mięsem. Polscy producenci wskazują, że z Polski na Zachód wywożone są najlepszej jakości półtusze, a do Polski tymi samymi samochodami przywożone półtusze głębokiego mrożenia, nawet kilkunastoletnie z zapasów wojskowych z Danii czy Norwegii.

Powszechna opinia jest taka, że na członkostwie Polski w UE dzięki dotacjom szczególnie zyskali polscy rolnicy. Okazuje się jednak, że w 2005 r. traktor kosztował 171 ton pszenicy, a w 2014 r. już 221 ton. Po 10 latach członkostwa, żeby kupić traktor, rolnik musiał wyhodować dwa razy więcej świń. Czy polscy rolnicy zyskali na Unii?

Polski rolnik stracił na członkostwie Polski w UE, bo stracił możliwość konkurencji z zachodnim rolnikiem, z którym konkuruje na tych samych rynkach. Rolnik francuski dostaje prawie dwa razy tyle dopłat, ile rolnik polski. Rolnik holenderski czy maltański – ponad dwa razy tyle. Mówi się, że z Unii polscy

Mówi się, że z Unii rolnicy dostali najwięcej, ale przecież konkurentem dla nas nie są produkujący autobusy, tylko rolnictwo zagraniczne

rolnicy dostali najwięcej w porównaniu z innymi branżami, ale przecież konkurentem dla nas nie są przedsiębiorcy budujący drogi czy produkujący autobusy albo traktory, ale rolnictwo zagraniczne.

Mimo wszystko eksport produktów rolno-spożywczych z Polski bardzo wzrósł po wejściu do UE.

Tak, ale należy zdać sobie sprawę, że wolny przepływ towarów w ramach UE nie funkcjonuje. Nie można wywozić polskich ziemniaków bez dokumentów, które stwierdzają ich jakość i zdrowotność, podczas gdy ziemniaki z całej Europy można sprowadzać do Polski bez żadnych dokumentów stwierdzających jakość.

Skąd ta nierówność?

Polska w traktacie akcesyjnym do UE zgodziła się na to, że przez 10 lat polskie ziemniaki będą objęte kwarantanną na rynkach europejskich, i wysyłając polskie ziemniaki, trzeba będzie je dokładnie badać, bo rzekomo mają one bakterio-

zę. Tymczasem minęło 14 lat i nadal te przepisy obowiązują.

A to badanie powoduje dodatkowe koszty...

Oczywiście, a ponadto zniechęcenie i utratę czasu. Wiadomo, jak ważny jest w handlu czas. Jest zamówienie, to ładujemy i jedziemy. A w Polsce nie ma takiej możliwości. Musimy zbadać, a dodatkowo jesteśmy narażeni na to, że ktoś znajdzie coś, co znajduje się w każdym ziemniaku. Potem eksporter narażony jest na kary. A cała ta bakterioza to fikcja. Polski rząd powinien postawić sprawę na ostrzu noża. Zaniedbania są ze strony i rządu PO-PSL, i rządu PiS.

Przynajmniej polscy rolnicy są uprzywilejowani, bo nie płacą PIT...

Wyłączenie z PIT dotyczy tylko rolników wytwarzających, a następnie sprzedających nieprzetworzone produkty roślinne lub zwierzęce. Celem takiego zwolnienia było zapewnienie konsumentowi możliwie atrakcyjnych cen żywności. Należy pamiętać, że opodatkowane podatkiem dochodowym są czynności podejmowane przez rolników w zakresie działów specjalnych produkcji rolnej, a ponadto rolnicy płacą chociażby podatek rolny. Co więcej, z uwagi na trudną sytuację na wsi rolnicy często zmuszeni są podejmować równoległe pracę zarobkową i od tych przychodów płacić podatek dochodowy, tak jak każdy inny pracownik. Z kolei wszelkie przejawy działalności gospodarczej rolników opodatkowane są na takich samych zasadach jak pozostałych przedsiębiorców. Trudno jest więc mówić o jakimś specjalnym uprzywilejowaniu.

Czy w Polsce mamy zdrową żywność?

Trudno ocenić, czy mamy zdrową, czy niezdrową żywność, skoro trudno nawet stwierdzić, jaki jest kraj jej pochodzenia. Fakt jest taki, że polscy producenci są obciążeni dużo bardziej restrykcyjnymi przepisami niż producenci zagraniczni, a polska żywność jest badana dużo częściej i dokładniej niż żywność importowana.

Czyli z tego choćby powodu polskie jedzenie jest lepsze...

Jest pewniejsze. Ale jest lepsze także dlatego, że w Polsce mamy dużo mniej szłą degradację gleb i niższe zużycie środków ochrony roślin, a gospodarka w polskiej tradycji jest nastawiona na lepszą jakość.



Joanna Bojańczyk

Schyłkowy klimat dawnego kurortu, „Adagietto” Mahlera, turkusowy Adriatyk. Wyspa Lido wciąż czaruje urokiem przeszłości i teraźniejszości

Lido di Venezia, uboższa krewna swojej dumnej siostry Serenissimy, moment świetności ma za sobą. A przecież była matką założycielką europejskich kurortów, tych „wód”, do których jeździła elita drugiej połowy XIX w. i pierwszej XX w. Oddając sprawiedliwość – sporą część swojej sławy zawdzięczała splendorowi siostry, ale cóż z tego... Wenecja ma wszystko poza plażami.

Na kuracjach leczono wszystkie możliwe schorzenia z gruźlicą na czele, a kuracjusze spędzali tam długie tygodnie, przeprowadzając się z dobytkiem i ze służbą. Można o tym poczytać w XIX-wiecznych powieściach – polecam Tołstoja i Balzaka. Na zagraniczne wakacje wielmożnych państwa w ojczyźnie pracowały bezszelestnie hektary majątków przynoszące przyjemne dochody.

GDY MORZE STAŁO SIĘ MODNE

Wyspa Lido rozciąga się 12-kilometrowym paskiem lądu, od południowego wschodu mając Adriatyk, od północnego zachodu Lagunę Wenecką. Osadzona między dwoma portami: San Nicolo z jednej strony, Malamocco z drugiej, tworzy kordon ochronny dla Wenecji. Łagodny klimat, szerokie plaże, łagodnie opadające dno morza i turkusowa woda stworzyły tu idealne warunki do odpoczynku.

Po I wojnie światowej morze stało się modne. Do wody damy mogły już wchodzić bez majtasów, halek i parasolek, nawet w kostiumach kąpielowych. Wolno było się opalać, opalenizna powoli zaczynała być symbolem zdrowia, a nie niskiej pozycji społecznej. Europa intensywnie się demokratyzowała i zaczynała się pierwsza turystyka, na razie niezbyt demokratyczna. Cywilizację europejską podziwiali i naśladowali elity narodów pozaeuropejskich.

W latach 20. i 30. XX w. do Lido nie jeżdżono już z całym fraucymerem, tak

jak 60 lat wcześniej, bo i hektarów niektórym nieco ubyło, ale pobyt na wyspie wciąż stanowił wydarzenie wysoko cenione na towarzyskim targowisku próżności. Bogaci Włosi zbudowali tu wille otoczone ogrodami. Na Lido samochodem wyrwał się w towarzystwie pań Andrzej Dowmund, bohater powieści „Ostatnia brygada” Tadeusza

a potem, sporo lat później, w filmie Luchino Viscontiego z 1971 r. pod tym samym tytułem, z Dirkiem Bogarde'em w roli głównej. Historia dla nas ciekawa, bo w tym uchodzącym za najlepszą z noweli Manna utworze mamy swoje poloniki.

To opowieść o starzejącym się pisarzu Gustawie von Aschenbachu, który spędza lato na plaży Grand Hotel Des Bains –

Glamour i dekadencja



Dołęgi-Mostowicza. Wzmianki o snobistycznym kurorcie pojawiają się u Marii Kuncewiczowej i w dziennikach Zofii Nałkowskiej, choć ta ostatnia jeździła do równie modnej Nicei (wówczas włoskiej Nizy), gdzie wynajmowała pokój w tamtym hoteliku.

Życiową rolę odegrało Lido w opowiadaniu Tomasza Manna „Śmierć w Wenecji”,

Hotelu Kąpielowego. Tam obserwuje wypoczywającą polską rodzinę, a w niej kilkunastoletniego chłopca Tadzia. Uczucie do Tadzia staje się obsesją Gustawa, a niemożliwość spełnienia powoduje rozpacz. Pisarz chce uciec z dusznej Wenecji, ale kufer z jego rzeczami zostaje wysłany przez pomyłkę niewłaściwym pociągami. Wraca więc do hotelu. Ostatecznie pobyt

w Wenecji przypląca śmiercią, stając się ofiarą epidemii cholery. Umiera, patrząc na bawiącego się z kolegami na plaży Tadzia. Homoseksualną miłość Mann przedstawił jako platoniczne uwielbienie dla młodzieńczego piękna.

Tomasz Mann rzeczywiście przebywał w 1912 r. z rodziną na wakacjach w Wenecji. Tam, jak wspomina w pa-

Mahler. Nieprzypadkowo ścieżką dźwiękową do filmu Viscontiego jest muzyka Mahlera, a szczególnie jej część – przepiękne „Adagietto” z „V Symfonii”.

BEZ TŁOKU

Dzisiaj na Lido jest zacieśniej niż w zatłoczonej Wenecji, a jeśli nie ma się ambicji i budżetu na hotel pięciogwiazd-

Moon, San Nicolo, Alberoni – są zatłoczone, za prywatne trzeba zapłacić. Własne plaże mają hotele Excelsior i Kąpielowy, niestety ponad miarę zapchane są kabinami, które dodają komfortu plażowiczom, ale psują urok.

Nawet jeśli aspekt ekonomiczny jest nam obojętny, nie mamy samochodu, a plaże nas nudzą, to dla innych powodów powinno się popłynąć na wyspę Lido, kiedy jest się w Wenecji. Dziesięć minut zajmuje jazda vaporetto, trochę dłużej – promem z Tronchetto.

Historia zostawiła tu liczne ślady. Na Lido mieszkał pierwszy wenecki doża, na postój w XIII w. zatrzymywali się tutaj krzyżowcy. Poematy pisał Byron, Diaglew wylegiwał się za pieniądze sponsorki Gabrielle Chanel. W latach 30. XX w. zbudowano Pałac Kina, gdzie odbywa się festiwal filmowy Mostra di Venezia, oraz kasyno. Jednym z najpiękniejszych zakątków wyspy jest stara dzielnica Malamocco, która znajduje się na południu, z dala od kasyna i Pałacu Filmowego. Trzeba przejść się po jej uliczkach ze starymi domami, pałacami i kościołami.

Na przeciwległym krańcu wyspy, nieopodal stacji vaporetto San Nicole, znajdziemy pochodzący z XVI w. cmentarz żydowski. Zwiedzanie trzeba wcześniej zarezerwować, ale groby z czasów otomańskich i w stylu weneckiego gotyku warte są wizyty z przewodnikiem. Wyjaśnienia (w języku angielskim) docenią nawet amatorzy samotnych wędrówek.

Natomiast ci, którzy polują na atrakcje współczesnego kurortu, będą szczęśliwi, gdy znajdą się na długiej na kilometr i ruchliwej ulicy Santa Maria Elisabetta. Tam będą mieli ulubione knajpy, bary, lodziarnie, restauracje i nieodłączne stoiska z karnawałowymi maskami. Tam również mieszczą się hotele. Wspaniałą fasadę ma Grande Albergo Ausonia & Hungaria.

Wyspa wciąż czaruje i jej uroku nie zastąpi turecki, egipski czy tajlandzki all-inclusive. Szerokie plaże, stare wille w ogrodach, małe uliczki, port, fortyfikacje. Jest nawet lotnisko. W sezonie jest tłoczno, a prawdziwe oblężenie panuje na kilku dorocznych eventach – Festiwalu Filmowym, Biennale. Potem znów wszystko cichnie, a po sezonie Lido wraca do prowincjonalnego rytmu.

Powrót do Wenecji vaporetto oferuje nam bonus: najcudowniejszy widok na miasto dożów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



miętnikach żona Manna Katia, zobaczył pierwowzór Tadzia. Prawdopodobnie był nim zmarły w 1986 r. Władysław Moes. Zmiana imienia miałaby być pomyłką pisarza, który błędnie zinterpretował skrót imienia Władzio jako Adzio. Prototypem Gustawa von Aschenbacha był podziwiany przez Manna kompozytor austriacki i dyrygent, zmarły właśnie wtedy Gustav

kowy, można znaleźć tańsze miejsce do zamieszkania, zwłaszcza poza sezonem. Można także dojechać samochodem i go zaparkować, bo Lido to jedna z niewielu wysepek laguny, gdzie dozwolony jest ruch samochodowy. Plaże mają cudowny biały piasek, w Adriatyku dno morza łagodnie schodzi w dół, co czyni to miejsce idealnym dla dzieci. W lecie plaże – Blue



Z Piotrem Pogonem, himalaistą
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Dotyk nieba



Piotr Pogon podczas wyprawy na Denali

FOT. ARCH. PRYW. PAWEŁA ZĄBKĄ

KATARZYNA PINKOSZ: Jesteś pierwszą osobą z jednym płucem i tak bogatą historią onkologiczną, która weszła na Denali, najwyższy szczyt Ameryki Północnej. To Twój czwarty szczyt w Koronie Ziemi.

PIOTR POGON: Byłem już na Kilimandżaro, Elbrusie, Aconcagui, teraz na Denali. Z wyższych gór pozostał mi właściwie tylko Mount Everest. Martyna Wojciechowska namawia mnie, żebym był pierwszą osobą z jednym płucem, która zdobędzie Koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty wszystkich kontynentów. A przy tym mam ponad 30-letnią historię onkologiczną. W 1984 r. wykryto u mnie nowotwór gardła. Miałem wtedy 16 lat. W 1991 r. pojawił się przerzut do płuca, usunięto mi jedno płuco. Przeszedłem chemioterapię i bardzo ciężkie naświetlania. W 2000 r. pojawiły się powikłania zatokowe (efekt naświetlań), a w 2004 r. – nowotwór na czole. Mam też niedosłuch – efekt naświetlań. A niedawno usunięto mi tarczycę, gdyż pojawił się na niej duży guz.

Wydawałoby się, że osoba, która ma taką historię nowotworową, powinna być na rencie i siedzieć w domu, a nie zdobywać Denali, gdzie panuje temperatura poniżej –50 st. C.

Mój lekarz, prof. Bogdan Gliński, zawsze żartował, że mam onkologiczne ADHD, bo nie potrafię usiedzieć w miejscu. A aktywnością zaraził mnie ojciec. Zawsze byłem aktywny, z przerwami właściwie tylko na kolejne choroby nowotworowe. Byłem mistrzem Polski w narciarstwie alpejskim, żeglarzem, biegam maratony, ultramaratony. Jestem pierwszą na świecie osobą bez połowy płuca, która dwukrotnie skończyła zawody triathlonowe Ironman (w ciągu 17 godzin trzeba pokonać 3,8 km – pływanie, 180 km – jadąc na rowerze i 42 km – biegając w maratonie). Większość moich wypraw i maratonów miała charakter charytatywny: sponsorzy za każdy pokonany przeze mnie metr wpłacali pieniądze na cele charytatywne. Na Aconcaguę szedłem z niewidomym

Łukaszem Żelechowskim, będąc jego „oczami”. Wyprawę na Kilimandżaro organizowała fundacja Anny Dymnej, na Elbrus – fundacja Janka Meli. W obydwu brały udział osoby niepełnosprawne.

Niektórzy pytali wtedy: „Po co przeznaczać pieniądze na wyprawę? Czy nie lepiej je dać na pampersy czy wózki?”

A ja odpowiadałem, że gdy przyjeżdżał do Polski Jan Paweł II, to nie przywoził 200 ton mąki, tylko dawał ludziom nadzieję. Nadzieja jest ludziom tak samo potrzebna jak wózki.

Jak się idzie na wysokość 6190 m n.p.m. w mrozie –50 st. C, mając pół płuca?

Jestem aktywny fizycznie, więc część płuca, która mi pozostała, jest na pewno bardziej wydolna niż u osoby, która nie prowadzi takiego trybu życia. Do wypraw przygotowuję się wiele miesięcy. Biegam, pływam, biorę udział w maratonach. Jednak kiedy idę, to sapię. Ktoś

nawet kiedyś zażartował, że czuje się przy mnie jak w parowozowni.

Denali to góra trudna, nieprzyjazna. Temperatura odczuwalna wynosi poniżej -50 st. C, są silne wiatry. Nie ma tam nocy, co powoduje rozregulowanie zegara biologicznego. Ciśnienie na szczycie jest takie jak na najwyższych szczytach w Himalajach. Rozrzedzone powietrze, mało tlenu. W dodatku z powodu kończącego się „okna pogodowego” musieliśmy się spieszyć i zdecydowaliśmy się wchodzić metodą alpejską, czyli zrezygnowaliśmy ze schodzenia do obozów niżej w celu aklimatyzacji.

Nasza grupa była trzyosobowa: ja, Bogdan Bednarz (ratownik GOPR) i Paweł Ząbek (prezes Klubu Wysokogórskiego w Bielsku-Białej), obydwaj z ogromnym doświadczeniem górskim. Niestety, specyficzny klimat Denali zrobił swoje. Bogdan dotarł do ostatniego obozu tuż przed szczytem, ale rano praktycznie nie było z nim żadnego kontaktu. Sprawdziliśmy mu saturację (wysycenie krwi tlenem). Była bardzo niska: stan bliski obrzęku mózgu. Gdyby nie interwencja śmigłowca, który odtransportował go do szpitala, wyprawa mogłaby skończyć się tragicznie. Kolejny raz góry pokazały, że czasem najsilniejsi płacą bardzo wysoką cenę choroby wysokościowej.

Tobie się udało...

Weszliśmy we dwóch. Sam atak szczytowy trwał ponad 20 godzin bez przerwy. Ekstremalne warunki. Nie wiem, czy to były halucynacje, jednak dwa razy czułem się tak, jakbym stał obok. Widziałem siebie, jak się wspinam.

Wrażenie wyjścia spoza ciała jest czasem opisywane przez osoby w stanie śmierci klinicznej...

Wchodzenie w tak ekstremalnych warunkach to stan na granicy życia i śmierci. Na szczycie byliśmy kilka minut. Próbowaliśmy wyciągnąć flagę. Niedaleko nas Koreańczyk wymiotował krwią, koledzy udzielali mu pomocy.

Mieliście zabezpieczenie medyczne?

Mieliśmy pulsoksymetr, a także urządzenie, które co 10 minut wysyłało sygnał o naszej pozycji. Można było śledzić nasze położenie, mogliśmy też uruchomić sygnał SOS, który automatycznie zostałyby przekierowany do służb ratowniczych.

Jak ludzie zachowują się w tak ekstremalnych sytuacjach?

Raczej się wspierają. Schodząc, często zostawiają swoje jedzenie dla innych. Jest poczucie wspólnoty. Mimo że jest naprawdę ciężko, są też komiczne sytuacje. Wokół Denali jest park narodowy, nie można śmiecić. Każdy ze wspinaczy otrzymuje plastikowy kubek, za którego zgubienie płaci się 180 dol. kary. Strażnicy Denali National Park szkołą, jak fachowo wypróżnić się do tego kubka przy temperaturze -50 st. C. Większość wspinaczy maszeruje potem z piłami do lodu, w którym wycina jamę. Wypróżnianie się w takich warunkach to nie lada wyczyn. A potem z tymi kubkami trzeba się wspinać.

Zdrowe osoby nie wytrzymują takich warunków, gdy jest mało tlenu, a ty masz jedno płuco i kolejne nowotwory. To nie za duże ryzyko?

Gdy człowiek schodzi do bazy, mówi, że nigdy więcej już nie zaryzykuje. Jednak po tygodniu, dwóch tęskni się za górami. Transport na Alaskę, desantowanie z awionetek, lot nad pasmami gór – to jest dotykanie nieba.

W tak ekstremalnych warunkach człowiek dowiaduje się o sobie czegoś nowego. Tego, że ciało to tylko dodatek. Jeśli mózg da sygnał, to nie ma rzeczy niemożliwej, której ciało nie wykona.

Może dzięki temu, co robię, jeszcze żyję? Kiedyś prof. Gliński powiedział mi, że gdy wykrył nowotwór u młodego człowieka, mógł mu powiedzieć, żeby się nie załamywał, bo ja po raku płuca wchodzę na najwyższe szczyty i biegam ultramaratony. Jemu więc też może się udać.

Lekarze akceptują tak ekstremalne wyprawy?

Z medycznego punktu widzenia może powinienem siedzieć w kapiach i czytać gazetę. Czy jednak wtedy jeszcze bym żył? Wielu lekarzy różnych specjalności, widząc to moje „onkologiczne ADHD”, mówi: „Niech pan idzie w te góry, zobaczymy, co się wydarzy z tym pana organizmem”. A gdy pojawiła się propozycja wszczepienia implantu ślimakowego, jeden z doktorantów zażartował, że jeśli pójde w góry, to on napisze pracę na temat funkcjonowania implantów na dużych wysokościach.

Choroby spychają cię na ziemię. A ty ciągle próbujesz iść w górę...

Gdy idę, rozmawiam ze sobą. Myślę o pytaniach, na które nie znajduję odpowiedzi, o problemach, które zostawiłem

na dole, o dzieciach. Nazywam to „gadaniem z liną”.

Osoby, z którymi zaczynałeś swoją drogę onkologiczną 30 lat temu, żyją?

Nie żyje nikt. Niedawno zmarł lekarz, który się mną opiekował. Profesor Gliński był dla mnie jak ojciec, to dzięki niemu żyję. Był taki jak ja: kochał życie, innych ludzi. Gdy żegnał się ze mną, powiedział: „Wiesz, Piotr, gdybyśmy się już nie widzieli, to pamiętaj, że byłeś dla mnie wielką lekarską radością”. Rozstaliśmy się, płacząc. Był już wyniszczony przez chorobę nowotworową.

Tym, co robię, staram się wnieść jakąś wartość dodaną w wysiłek lekarzy. Czasem staram się wszystko obracać w żart. Gdy usypiali mnie, żeby wyciąć mi tarczycę, powiedziałem, że powinni puszczać pacjentom jakąś muzykę przed narkozą, bo smutno jak w prosektorium.

Miałeś muzykę przed narkozą?

Tak, z płyty AC/DC. Lekarzom też są potrzebne uśmiech i docenienie ich pracy. Często mają do czynienia z bardzo trudnymi przypadkami.

Nowotwór pokonał lekarza, który leczył cię przez wiele lat. Ty żyjesz – może dzięki onkologicznemu ADHD...

Staram się wykorzystać czas, który jest mi dany. Profesor Gliński zawsze mówił, że taki pacjent jak ja, który przeżył tyle lat, chodzi po górach i biega w maratonach, to dla niego ogromna satysfakcja.

Po Denali masz odmrożone palce. Pójdiesz na Mount Everest?

Być może dwa palce u ręki trzeba będzie częściowo amputować, na razie lekarze jeszcze o nie walczą. Nie wiem, czy pójde, bo tak jak każdy mam problemy egzystencjalne, dopadają mnie różne przypadłości. Nie powiedziałem jednak jeszcze ostatniego słowa.

Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieram...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Pogon jest fundraiserem, zdobywcą czterech szczytów Korony Ziemi, organizował m.in. wyprawy osób niepełnosprawnych na Kilimandżaro (Fundacja Anny Dymnej „Mimo Wszystko”) oraz Elbrus (Fundacja Jaska Meli „Poza Horyzonty”).



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Długa noc Kuźmy i króla

Historia bywa irracjonalna. Czasem wydarzenia zależą od osób, które znalazły się w nieodpowiednim (albo odpowiednim) miejscu i czasie. Tak właśnie było z naszym bohaterem **Janem Kuźmą**, który pojawił się na dziejowej arenie 3 listopada 1771 r. na ul. Miodowej w Warszawie.

Między dziewiątą a dziesiątą wieczorem, kiedy karetą wioząca króla Stanisława Augusta Poniatowskiego znalazła się między dzisiejszym Pałacem Arcybiskupim a Pałacem Branickich, z ulic Kapitulnej i Koziej wypadły dwie grupy napastników. Pierwsza dała ognia do koni i forysia, druga zaatakowała eskortę. Wybuchła krótka walka, w której śmierć poniósł jeden z hajduków królewskich, drugi został ciężko ranny szabłą. Karetą została wręcz podziurawiona kulami – minęły króla o włos.

Napastnicy zaczęli krzyczeć: „Wysiądać”. Stanisław August albo wyszedł, albo też wyskoczył i próbował schronić się w pałacu – być może Biskupim – gdzie jednak dopadli go wrogowie. Bohater, który był wśród nich, strzelił do niego z pistoletu, raniąc władcę lekko w głowę. Inni zaczęli płażować króla szablami tak bardzo, że zadali mu liczne rany i sińce. Jakby tego było mało, kolejny ciął go szabłą w wierzch głowy.



– Nie szarpacie mnie, już ja sam pójde tam, gdzie chcecie. Wszak jestem w waszym ręku – powiedział wtedy Stanisław August. Napastnicy wsadzili go na konia – bez kapelusza, w trzewikach i pończochach. Następnie ruszyli w stronę wałów otaczających Warszawę. Kiedy je przekraczali, koń z królem potknął się i złamał nogę, przesadzili go więc na innego. Stanisław August zgubił wówczas futro, jeszcze później pozbył się trzewika, który ugrzązł w błocie. Napastnicy popędzali władcę, kierując się na północ i omijając patrole moskiewskie. Jednocześnie się rozpraszali. Kiedy dotarli do Łasku Bielańskiego, zostało ich tylko siedmiu. W samym lesie już tylko trzech, ale i z tych dwóch zbiegło. Pozostali tylko tajemniczy Kuźma i król.

I od tej chwili zaczęły się dramatyczne wydarzenia, które mogły zmienić bieg historii. Jak wyglądałaby dziś Polska, gdyby Stanisław August Poniatowski dał głowę w Łasku Bielańskim?

Kuźma i król kluczyli, omijając moskiewskie patrole. Wkrótce między władcą a porywaczem nawiązała się rozmowa. Jej przebieg znamy tylko z jednej relacji, która wydaje się mocno propagandowa. Nagle bowiem porywacz powiedział, jakby uświadamiając sobie grozę sytuacji:

– Przecież to mój król...

– Tak jest – odparł Stanisław August. – I dobry król, który ci nic złego nie życzy.

Kiedy pobłdzili, władca poprosił, aby porywacz puścił go przodem, na co ten odrzekł:

– Nie mogę. Jam przysiągł albo WKM zabić, albo do komendy odprowadzić.

Kiedy błędząc, wyszli na Marymont, król poprosił o odpoczynek. Rozpoczął rozmowę z porywaczem, dowodząc, że przysięga, którą złożył, była niegodziwa, więc jest nieważna. Możemy tylko

wyobrazić sobie, jak dramatyczna była to scena. Oto władca w ręku porywacza. W jego ręku przyszłość Rzeczypospolitej. Jednak Kuźma, opuszczony przez kompanów, był coraz bardziej niepewny.

– Ale jeśli ja WKM zaprowadzę do Warszawy, to mnie wezmą i będzie po mnie! – powiedział.

– Jeśli nie wierzysz mojej obietnicy, to uchodź, ratuj siebie, póki masz czas. Pikiety moskiewskie są po lewej ręce, udaj się prawą, abyś je minął. Jeśli mnie spotkają, to upewniam, że im pokażę inną drogę.

Wtedy Kuźma nie wytrzymał – rzekomo padł do nóg królowi, ucałował je i przysięgał wierność. Stanisław August dał mu słowo, że nic mu się nie stanie. Były porywacz zaprowadził go więc do młyna słodowego między Marymontem a Burakowem, gdzie sam stanął na straży, tymczasem król wysłał list do dowódcy gwardii.

Kuźma został zatrzymany na Zamku Królewskim, gdzie jednak traktowano go dobrze. Na śledztwie wydał współników. Okazało się, że za porwaniem stali konfederaci barscy, którzy zamierzali uprowadzić króla do Częstochowy. Głównym sprawcą był przywódca generalności – Michał Pac. Zadanie zlecił Kazimierzowi Puławskiemu, który dobrał sobie podkomendnych – Walentego Łukawskiego, Stanisława Strawińskiego i właśnie Kuźmę; w chłopskich przebraniach przeniknęli do Warszawy i przygotowali zamach.

Jan Kuźma, o którym wiadomo dziś tylko tyle, że pochodził z Wołynia i być może wcale nie był szlachcicem, skazany został na banicję. Stanisław August z wdzięczności wyznaczył mu stałą pensję i wspierał go na wygnaniu. Wrócił do porzoborowej Rzeczypospolitej dopiero w 1804 r. i zmarł ponoc w 1822 r. ©

KORONNE DANIE ANNY MARII SIARKOWSKIEJ

Ryba po wileńsku to wariacja doskonale znanej ryby po grecku, ale bez marchwi. W mojej rodzinie przyrządza się ją na wszystkie święta i uroczystości, a przepis pochodzi od strony mojego dziadka, rodowitego wilnianina. Rybę w ten sposób przyrządzała jego mama. Jest bardzo prosta do przygotowania, ale smakuje rewelacyjnie. Ponieważ mam dużą rodzinę, wszelkie imprezy i uroczystości są u nas „składkowe”, z tym że składką nie są pieniądze, ale każdy przyrządza coś do jedzenia. Ja zawsze robię rybę po wileńsku – moje koronne danie.

Składniki:

- filety ulubionej ryby
- 2–3 cebule
- przecier pomidorowy

- koncentrat pomidorowy
- jajka
- mąka
- bułka tarta
- przyprawy

Przygotowanie:

Filety ulubionej ryby (ja najczęściej używam miruny albo mintaja) solimy z obu stron. Panierujemy – najpierw w mące, potem w jajku, a na koniec w bułce tartej. Smażymy na rozgrzanym oleju. Po usmażeniu odkładamy na pergamin bądź ręcznik papierowy. Zabieramy się do przygotowania sosu. Kroimy dość drobno cebulę i podsmażamy na oliwie, aby zmiękła, ale uważamy, żeby jej nie spalić. Cebulę solimy, dodajemy przecier pomidorowy i zagęszczamy koncentratem pomidorowym, co nadaje mu też bardziej intensywny smak. Mieszamy, doprawiamy solą, pieprzem, zieleniem angielskim, liściem laurowym i niemielonym kminkiem (nie przesadzajmy z jego ilością, nie każdy lubi wyrazisty smak kminku) oraz dużą ilością majeranku. Gotujemy dość długo (ok. 40 min), by smaki się wymieszały. Kiedy sos zgęstnieje, obtaczamy w nim każdy kawałek ryby. Zostawiamy do wystygnięcia i wstawiamy do lodówki. Ryba najlepiej smakuje, jeśli postoi dwa dni i przejdzie smakiem sosu. Podajemy jako zimną przystawkę.

oprac. raw
Anna Maria
Siarkowska jest posłem
na Sejm RP.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Przy stołach mistrzów

Naoglądaliśmy się już filmów fabularnych o restauracjach, o walkach osobowości w kuchni, romansach nad fajerką i pięknych kobietach (Catherine Zeta-Jones), które zwyciężały z facetami w pojedynkach kulinarnych. O knajpach, które upadały i powstawały.

Jednak dzisiaj ogląda się seriale. I to wyzwanie podejmuje nowy serial Netflixa – „Chef’s Table”. Prezentuje sylwetki najbardziej intrygujących kucharzy ze wszystkich stron świata. Ich nazwiska zapewne państwo nie słyszeli. Jamie Oliver i Gordon Ramsay to stara gwardia. Teraz pora na nowych. Bohaterowie serialu (ma pięciu reżyserów) są wegetarianami i mięsożercami, gotują w warunkach supertechnologicznych lub na ognisku w lesie. Ich restauracje znalazły się na liście 50 najlepszych na świecie.

35-letni Magnus Nilsson ze Szwecji gotował w Paryżu, zajmował się enologią, został bohaterem serialu PBS. W końcu przeniósł się do Szwecji, do miejscowości Fäviken, 600 km na północ od Sztokholmu. „W październiku żegnamy się ze świeżymi produktami, zobaczymy je znowu w kwietniu” – mówi. I pokazuje, jak gotować z tego, co dostępne zimą. Bo tak wyglądała lokalna kuchnia północnych regionów Szwecji. Bez mrożonek i szklarniowych warzyw z Hiszpanii.

Massimo Bottura urodził się w Modenie, w regionie Emilia, i tam działa jego restauracja – Osteria France-



FOT. NETFLIX

scana. To autor pięciu książek m.in. o parmezanie i occie winnym, obdany nagrodami, ogwiazdkowany działacz charytatywny, orędownik walki z marnowaniem jedzenia. Repertuar – kreatywna kuchnia włoska.

Niki Nakayama, Japonka z Los Angeles – trzy gwiazdki Michelin i najlepsze sushi na świecie – notuje nazwisko każdego gościa swojej restauracji, bo jej ambicją jest nigdy nie podać tego samego dania.

„Wstań z kanapy, z krzesła, wyjdź zza biurka, po prostu wyjdź na dwór” – mówi Argentyńczyk Francis Mallmann, piekąc świeżo złowioną rybę na ognisku w Patagonii. „Nie ma nic bardziej zmysłowego niż zwykła, pierwotna czynność pieczenia mięsa na wolnym ogniu”.

Zgadza się, chociaż tyle słyszałam o szkodliwości przypieczonej skórki... Jednak przynajmniej u Mallmanna można jedzenie rozpoznać. W odróżnieniu od tego, co gotuje większość przedstawionych w serialu kucharzy. To bardziej dzieła sztuki plastycznej niż jedzenie – piękne, natchnione. Trudne zarówno dla kucharza, jak i dla konsumenta.

Serial jednak naprawdę warto obejrzeć. ©©

NASZ TEST: VOLVO S90

Pod koniec czerwca Volvo pochwaliło się swoim najnowszym dzieckiem: sedanem klasy średniej S60. Dla prezesów nadal lepsza jest jednak flagowa limuzyna szwedzkiej marki.

Dodająca prestiżu majestatyczna sylwetka oraz elegancki, skandynawski design wewnątrz sprawiają, że auto nie tylko może być lepsze od Jaguara XF, lecz także stanowi istotne wyzwanie dla niemieckich konkurentów z klasy E.

W KABINIE

Volvo S90 ma 4963 mm długości (więcej niż BMW serii 5 czy Lexus GS) oraz 1890 mm szerokości. W przestronnej kabinie nie brakuje więc ani miejsca nad głową, ani przestrzeni na nogi. Pojemność ustawnego bagażnika wynosi 500 l – nie jest to rekord w klasie E, ale wystarczy, aby pomieścić walizki przeciętnej rodziny.

Design wnętrza jest typowo skandynawski: prosty, minimalistyczny, elegancki z elementami drewna oraz aluminium. Centralnym elementem deski rozdzielczej jest 9-calowy kolorowy wyświetlacz dotykowy, za pomocą którego steruje się m.in. multimediami, systemem nawigacji oraz klimatyzacją. Przyzwyczajenie się do jego obsługi nie jest tak intuicyjne, jak chcieliby tego zapewne konstruktorzy z Volvo, ale gdy już sprawdzimy, czym gdzie się steruje, to jego obsługa jest naprawdę łatwa i przyjemna. Niezwykle wygodne są również fotele, które bardzo dobrze podtrzymują ciało.

JAZDA

Testowany model w wersji D3 – z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 150 KM – od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w niecałe 10 s. Limuzyna z taką mocą silnika przeznaczona jest jednak raczej do dalekich komfortowych podróży niż do sportowych szaleństw za kółkiem.

Auto przyspiesza płynnie i świetnie radzi sobie z tłumieniem drogowych nierówności, takich jak „śpiący policjanci”. Niezłe jest też wyciszenie kabiny, choć bywa, że do wnętrza dostaje się zbyt dużo jak na auto klasy premium drogowego hałasu.

Podczas testu model S90 spalał w cyklu mieszanym średnio ok. 5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP auto uzyskało komplet pięciu gwiazdek – w kategorii



ochrony dorosłych podróżujących zdobyło aż 95 proc. punktów, za ochronę dzieci – 80 proc., a za wspomagające bezpieczeństwo systemy asystujące – 93 proc. punktów.

Model S90 potrafi autonomicznie przyhamować lub całkowicie wyhamować, i to nie tylko, jeśli wykryje ryzyko kolizji z poprzedzającym samochodem – auto potrafi również rozpoznawać pieszych, rowerzystów oraz duże zwierzęta.

Volvo może też samodzielnie utrzymywać się w pasie ruchu. Komputer ostrzega również przed samochodami w martwych polach lusterek czy też przed pojazdami lub rowerzystami jadącymi prostopadłe do nas (np. podczas wyjeżdżania z parkingu). Na parkingach przydatny jest też system kamer pokazujących widok z lotu ptaka.

CENA

Za najtańsze S90 z silnikiem Diesla o mocy 150 KM, manualną skrzynią biegów i napędem na przednią oś trzeba zapłacić 188,8 tys. zł, a za wersję z automatem 198,4 tys. zł.

Za szwedzką limuzynę z silnikiem wysokoprężnym o mocy 235 KM, automatyczną skrzynią biegów oraz napędem na cztery koła trzeba wydać co najmniej 237 tys. zł.

Podstawowa wersja benzynowa z silnikiem o mocy 190 KM i automatyczną skrzynią to wydatek nieco ponad 200 tys. zł. Najdroższa wersja benzynowa – z silnikiem o mocy 310 KM – kosztuje co najmniej 278,2 tys. zł, a hybrydowa (390 KM) – aż 326,3 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A6, BMW Serii 5, Hyundai Genesis, Infiniti Q70, Jaguar XF, Maserati Ghibli, Mercedes klasy E, Lexus GS ☺☺

Jacek Przybylski

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
„TAJNA HISTORIA FUTBOLU”
„SAMOZWANIEC.
MOSKIEWSKA ŁADACZNICA”

Cena: 148 zł
Oszczędność: 109 zł

+



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł



MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 8f1cf709d4



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Lewicowa wolność słowa

MARCIN MAKOWSKI: Gdy nagrywamy tę rozmowę, okładka najnowszego magazynu „Time” przedstawia Donalda Trumpa pochylonego nad płaczącym dzieckiem. Nad jego głową napis: „Witaj w Ameryce”. W ten sposób część mediów w USA uderza w politykę migracyjną prezydenta, „separującego dzieci od rodziców” aresztowanych za nielegalne przekroczenie granicy.

MATTHEW TYRMAND: Dla mnie to dowód, że maszyna do produkcji fake newsów staje się wyraźnie zdesperowana – wypuszcza coraz grubszymi nićmi szyte prowokacje. Robi to, ponieważ Donald Trump wygrywa na wielu płaszczyznach, więc czymś trzeba jego zwycięstwa przykryć. Wybrano politykę migracyjną, która w większości przypadków poprzedziła jego prezydenturę, a obecna administracja ją po prostu odziedziczyła. Przecież przypadki aresztowania rodziców, przekraczających granicę USA i Meksyku ze swoimi dziećmi, już za rządów Baracka Obamy kończyły się chwilową separacją z nieletnimi, którzy nie mogli być aresztowani. Dlatego umieszczano ich w wybudowanych przy granicy schroniskach, a one nie powstały wczoraj. Niektóre z nich stoją co najmniej od 10 lat. Czy ktokolwiek wcześniej pochylał się nad ich historiami? Nawet

fotomontaż, użyty na okładce, nie odnosi się bezpośrednio do problemu. To płaczące dziecko – jak się później okazało – nigdy nie zostało rozdzielone z matką. Żeby było ciekawiej, gdy problem został nagłośniony, Donald Trump osobiście zabronił separacji rodzin, czyli złagodził złe prawo, którego nie tworzył. Natomiast ograniczenie migracji z krajów muzułmańskich, zagrożonych terroryzmem, zostało podtrzymane przez Sąd Najwyższy, który uznał, że decyzja prezydenta wynika z zapewnienia obywatelom bezpieczeństwa, a nie kwestii rasowych.

Co z tego, skoro Melania Trump podczas swojej podróży do Teksasu i ośrodków, w których chwilowo przebywali nielegalni imigranci, założyła złą kurtkę?

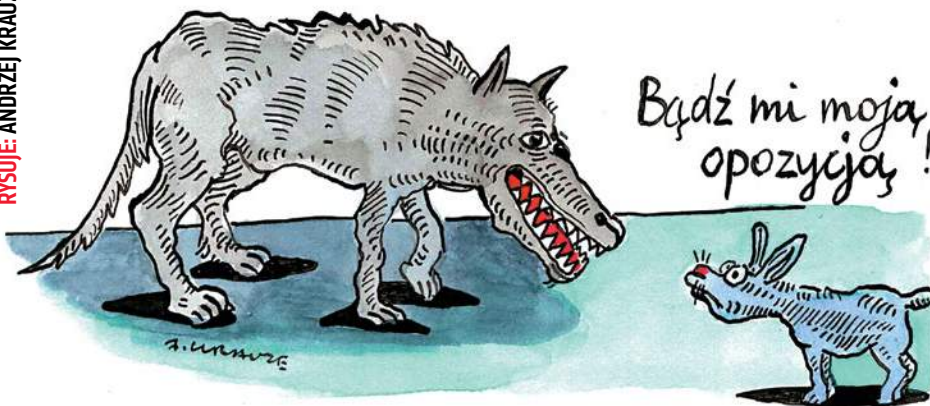
(Śmiech). No tak. Zapomniałem, że przez jakiś czas wszystkie „New York Timesy” żyły kurtką z Zary, która na plecach miała napis „Ja się nie przejmuję. A ty?”. Moim zdaniem to był komunikat pierwszej damy do mediów, które nieustannie krytykują ją i jej męża.

Rzecznik Melanii Trump stwierdziła, że nie było żadnego przesłania. A już na poważnie – może po prostu zabrakło empatii?

Być może, ale przecież mówimy tylko o jakiejś kurtce, która wystarczyła do rozpętania kolejnego skandalu, nawet pomimo tego, że to Melania zabiegała osobiście o złagodzenie prawa imigracyjnego. Jak widać, nie wystarczyło. W tym samym czasie media, które rozliczały żonę prezydenta z dobrego gustu, milczały o wyrzuceniu rzecznik prasowej Białego Domu Sarah Huckabee Sanders z restauracji w Wirginii. Wyobraź sobie, że właściciel zażądał, aby wyszła, i odmówił jej obsługi, ponieważ nie będzie wspierać ludzi Trumpa. W tym samym czasie członkini Izby Reprezentantów z Compton w Kalifornii – Maxine Waters – zorganizowała wiec, podczas którego krzyczała: „Dobrzy ludzie w Ameryce powinni wywierać presję na podwładnych Trumpa. Krzyczeć na nich i dać im do zrozumienia, że nigdzie nie są mile widziani”. Co to jest, jeśli nie wezwanie do przemocy pod płaszczykiem walki o demokrację? Takie są jednak właśnie ich metody – mówienie o wolności słowa, przy jednoczesnym jej tłamszeniu. Podobnie zachowało się BBC, relacjonujące spotkanie prawicowych dziennikarzy i aktywistów w Wielkiej Brytanii, którzy przyjechali na targi książki. Wyjęto z kontekstu dofinansowanie w wysokości tysiąca funtów ze strony polskiej ambasady w Londynie i zrobiono z niego „wspieranie rasistów”, bo jednym z gości był Marcin Rola. To nie jest człowiek, którego darzę sympatią, ale zaproszonych było więcej osób, m.in. Rafał Ziemkiewicz. Nic kontrowersyjnego nie wydarzyło się podczas debaty, więc wyprodukowano skandal przy udziale Mai Rostowskiej, córki byłego ministra finansów w rządzie PO, która nagrywała ten program. Dlaczego mnie to nie dziwi? ©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





Poland Daily

WEATHER

From Monday to Friday on Telewizja Republika

10:10 PM, 12:10 AM, 2:10 AM, 4:10 AM
(Warsaw time)

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Za nieświadomym wyborem

ABORCYJNY DREAM TEAM: *Większość osób z doświadczeniem aborcji odczuwa po niej ulgę. Choć żal może też się pojawić! Dlaczego przed tym żalem ktoś chce nas przymusem ochronić?*

W krajach, gdzie aborcja jest legalna i tania, aborcja to fakt z życia, jak rozstanie z partnerem/ką, dobry lub nieudany seks, zmiana pracy czy miejsca zamieszkania. To, że nam było ciężko, nie oznacza, że wszystkim będzie ciężko. A nawet jeśli decyzja o aborcji była złą decyzją, to czy my jako dorosłe osoby nie możemy podejmować złych decyzji? Dlaczego akurat przed tą decyzją na siłę próbuje się nas ochronić? Katarzyna Nosowska – nie

bieta zapłaci wysoką cenę. „Jestem absolutnie za tym, by kobiety miały prawo same o sobie decydować, ale wiem też z własnego doświadczenia, że niektóre decyzje są potem bardzo ciężkie do udźwignięcia, a ich konsekwencje kaleczą duszę”. W odpowiedzi aborcyjne hobbystki („Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że aborcja to jest moje największe hobby” – to własne słowa jednej z pań) pouczyły Nosowską w obszernym wpisie, że z takimi refleksjami nie powinna się obnosić, i jako przykład właściwego obnoszenia się z doświadczeniem aborcji wskazują Natalię Przybysz, która swoją aborcję „pięknie wyśpiewała” i umie z niej być dumna.

W głosnym wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”, którym zaistniały w społecznej świadomości członkinie Aborcyjnego Dream Teamu, zapowiadały one szeroką dyskusję o aborcji. „Często słyszymy: społeczeństwo nie jest gotowe, musi dojrzeć. Społeczeństwo to nie awokado, ktoś musi wykonać tę pracę, dać głos kobietom”. Dzisiaj doprecyzowały, jak ta dyskusja miałaby wyglądać, jakie głosy mają w niej wybrzmieć, a jakie są niemiłe słyszane, nawet jeśli wcale nie mają być argumentem za ograniczeniem prawa do aborcji, a jedynie oso-

bistym świadectwem możliwych konsekwencji.

Zwolenniczki prawa do aborcji deklarują przełamywanie aborcyjnego tabu, ale same chciałyby na aborcję nałożyć własne tabu, wykluczając z debaty głosy przedstawiające ją nie dość entuzjastycznie. Ma być „dużo różu, uśmiechu i brokatu” i wyznania w rodzaju „Mam dobre serce i zrobienie aborcji uszczęśliwiło mnie w sposób całkowicie bezwarunkowy”. Ulga, spokój, radość, szczęście. I nawet rozumienie, dlaczego akurat Nosowska, deklarująca przecież pełne poparcie prawa do aborcji, tak oburzyła promotorki różowo-brokatowej narracji o aborcji. Niewierząca zwolenniczka prawa do aborcji mówiąca o jej ciemnych stronach jest dla różowo-brokatowej narracji dużo groźniejsza niż typowy przeciwnik, bo nie da się jej łatwo zamknąć w szufladzie z „oszołomami” i „wrogami kobiet”. Atak aborcyjnych hobbystek na Nosowską obnażył – nie żeby to było wielkim zaskoczeniem – hipokryzję środowiska, które chce dla kobiet wolności wyboru, ale już niekoniecznie – żeby był to wybór świadomy. W końcu nie one będą płacić za to cenę. © ©

Zwolenniczki prawa do aborcji deklarują przełamywanie aborcyjnego tabu, ale same chciałyby na aborcję nałożyć własne tabu

chcesz aborcji? To jej sobie nie rób, ale zaufaj decyzjom innych osób.

Aborcyjny Dream Team zareagował oburzeniem na wypowiedź Katarzyny Nosowskiej, która deklarując pełne poparcie dla wolności wyboru, ośmieliła się zaznaczyć – powołując się na osobiste doświadczenie – że może to być wybór, za który ko-

PODSŁUCHANE

Zaskoczmy wszystkich

No, Sławek, to sobie narobili z tą ustawą! Teraz to już leżą i kwiczą. Dawaj laptopa, piszemy przekaz dnia dla naszych ludzi na tłytera. Czeka, Grzesiu, ale co my im napiszemy? Przecież mówiliśmy od początku, że to zła ustawa jest.

No... to napiszemy, że owszem, zła, ale wycofywanie się jest jeszcze gorsze.

Nie możemy. Zobacz tutaj, to już ci narodowcy piszą: że wycofywanie się pod naciskiem to hańba. Przecież nie możemy się podpinać pod narodowców.

Fakt. No to czekaj, może napiszemy, że się za mało wycofali?

Też nie możemy. Jeśli tak napiszemy, to znowu się do nas przychrzanią, że byśmy się tylko kłaniali i ustępowali.

I jeszcze, że na pasku Żydów chodzimy.

Rzeczywiście...
Ej, mam pomysł!

Dawaj.
Może zaskoczmy wszystkich i dla odmiany tym razem pochwalimy, co?

Porąbało cię do reszty?
No to ja już nie wiem.

A ja wiem: wołaj Tomka, niech on łeb wysila, a my chodźmy mecz obejrzeć. © © **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Niniejszym ogłaszam Morawieckiego największym kłamcą polskiej polityki po 89 roku”.

TOMASZ LIS,
publicysta, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Dno dna



Następnego dnia po mundialowym meczu z Kolumbią, który nas ośmieszył i wyrzucił poza przedpokój dobrego futbolowego towarzystwa, usłyszałem od Justyny, małżonki mojego dobrego znajomego, Lecha Woźniaka, krótki i bardzo charakterystyczny komentarz:

— Ja czuję się po prostu oszukana!

Tak czują się miliony rodaków, bo przed Mundialem balon sarmackiej pychy (że niby jesteśmy autentyczną potęgą futbolową) został za sprawą mediów, pseudoeksperatów piłkarskich i propagandzistów politycznych nadmuchany wprost nieprzyzwoicie, do rozmiarów gigantomaniackich, a wsparciem dla tych bredni był komiczny światowy ranking FIFA, gdzie w pewnym momencie (pół roku wcześniej) Polska zajmowała pozycję szóstą (później siódmą, wreszcie ósmą podczas Mundialu), co plasuje ten rejestr na topie kabaretowym.

Byłem przed obecnym Mundialem skrajnym pesymistą, wkurzając tym kilku zagadujących mnie o to rozmówców. Wołanie: „a nie mówilem?” jest, oczywiście, zagrywką szczeniacką, trudno mi jednak (zbyttnie mnie to korci) nie przypomnieć, iż prawie półtora roku temu ostrzegałem na tych łamach (felieton „Z główki” — „Do Rzeczy” 37/2016), że trener Nawalka to fatalny „coach”. Przerznął wówczas odbywające się we Francji mistrzostwa Starego Kontynentu (Euro 2016), jednak w kraju był piórami i mikrofonami chwalił się chwalo. Radosne, szerzone przez komentatorskich entuzjastów haselko brzmiało: „Pierwszy raz wyszliśmy z grupy!” — wobec takiego „osiągnięcia” finalny wynik „do d...” całkowicie utracił znaczenie. Priwiślińscy kibice nie mieli pojęcia (bo ukrywano to przed nimi), że zachodni eksperci futbolowi ocenili wtedy polską reprezentację bardzo krytycznie, nawet nie tyle za dziwną impotencję strzelecką głównych naszych „snajperów”, ile za fatalną taktykę meczową (czy raczej jej zupełny brak), obciążając tym (zupełnie słusznie) polskiego trenera. Leszek Turkiewicz, jedyny korespondent z Francji, który bez ogródek przytoczył wówczas morderczą wobec Nawalki opinię tamtejszych mediów, konkludował tak: „Świetnie zaczęliśmy i zadziwiającą łatwo słabiliśmy, tracąc jakikolwiek pomysł (albo go w ogóle nie mieliśmy) na kontynuowanie gry”. Czyż nie inaczej było teraz z Kolumbią?

To, że francuscy eksperci sportowi uznali wtedy Nawalkę za najgorszego „coacha” turnieju, zostało przez nasze władze piłkarskie zlekceważone, choć Francuzi wskazywali nie tylko błędy generalne („zbyt asekuracyjna metoda prowadzenia drużyny”), lecz i

szczegółowe. Będąc przyjacielem, faworytem i pupilem prezesa PZPN-u, pana Bońka, miał Nawalka status niezdjejmowalnego z funkcji. Co się obecnie zakończyło kolejną futbolową nawalką, tym razem jeszcze dotkliwszą — klęską tego rodzaju, o jakim w dzisiejszej kolokwialnej nowomowie mówi się per: „superobciach” lub „masakra”. Trauma ogólnonarodowa byłaby mniejsza, gdyby — o czym już wzmiankowałem wyżej — nie pompowano całymi miesiącami triumfalistycznego hurrapatriotyzmu kibiców „kopanej” i nie wmówiono im, że do Rosji jedziemy „po swoje”, bo wiktoria należała się Polakom jak psu kość. Rozhuśtano te nadzieje nie tylko dla narodowej pompy, lecz i dla zysku reklamodawców. Nie pierwszy to zresztą raz, że przydzielamy naszym biało-czerwonym „orłom” medale przed zawodami (vide olimpiada w Rio), a później zżera nas gorzka niesprawiedliwych/niezasłużonych porażek, po czym szybko otrząsamy się z tego, snując kolejne rojenia, niepomni, iż „Nadzieja jest matką głupich”, i tak „*de capo al fine*”. Słowem: chociaż nasi kopacze to siłacze, którym udało się pod-



*Przedwojenny poeta Jan Lemański
(wiersz „Najrzeczywistszy byt”):*

*„Lecz jedno wiecznie trwa —
Trwa złudzeń niezniszczalność,
A niezniszczalna moc
Tej złudy — to rzeczywistość”*



nieść kubek z zimną wodą przeogromny, bo starczyło jej do równoczesnego obłania 30 milionów sarmackich głów — wkrótce ta trzeźwiąca woda spłynie i będziemy znowu śnić jakiś sportowy „sen o potędze”, póki ponownie nie rąbniemy czerepem narodowym w kolejny mur faktów.

Mecz z Kolumbią dużo lepiej niż mecz z Senegalem obnażył publiczne stan faktyczny („real”). Widząc grę Kolumbijczyków można było bez trudu — zrobiliby to nawet dzieciak będący pasjonatem futbolu — rozrysować sobie na kartce papieru ich schemat gry (plan taktyczny), który realizowali czytelnie i konsekwentnie, podczas gdy naszego nie sposób byłoby zidentyfikować, a to dla tej przyczyny, że w ogóle nie istniał: nasi „chłopcy” biegali po boisku bezładni/bezradni, szamocząc się, trzęsąc, plątając — kompromitując. Dyrektywę: panowie, trzeba walić „gałę” do przodu i tak „haratać”, żeby wpadła do bramki tamtych! — mogłaby wydać mała dziewczynka, od trenera narodowej reprezentacji wymaga się więcej, dużo więcej. Tymczasem miast tego więcej dostaliśmy zero „myśli szkoleniowej”, nu! Pan Boniek był niegdyś zbyt dob-

rym piłkarzem, by nie wiedzieć, że pan Nawalka jest marnym trenerem, dlaczego zatem trzymał go na prestiżowym i zobowiązującym stanowisku (zobowiązującym wobec całego narodu)? Bo to serdeczny „amigo”? No to „*adios amigos!*” — winniśmy pożegnać również pana prezesa związku futbolistów jako współwinnego Waterloo.

Waterloo zaliczył nie tylko nasz — pozał się Boże — „sztab szkoleniowy”, lecz i dziesiątki reklamodawców, którzy od wielu tygodni bombardowali ekrany w polskich domach. Mieli gromadnego pecha, bo jeśli chodzi o piłkarzy, to emitowano dużo reklam z Glikiem, a ten doznał kontuzji przed wylotem ekipy do Rosji, zaś jeśli idzie o całą resztę — czempionem/gwiazdorem/celebrytą reklamowym został trener Nawalka. Po ostatnim gwizdku meczu z Kolumbią wszystkie te reklamy stały się przysłowiową „kupą śmiechu”, czymś w rodzaju „bąków” puszcanych wewnątrz pojazdu komunikacji miejskiej, natomiast epatująca ze wszelkich wytryn książka „Dekalog Nawalki” zyskała status makulatury gotowej na przerób w rolki papieru toaletowego.

Porzekadłowa sfera rodzimego języka zna funeralne określenie „*gwoździ do trumny*”. Takim gwoździem Nawalki była konferencja prasowa bezpośrednio po meczu z Kolumbią, gdzie wyduszał spomiędzy warg typowe dla siebie komunały, polszczyznę niezborną, sztywną, paracyborgową, tą, przez którą ukazujące go reklamy to „kino nieme”, bo facet ma naturalne trudności z artykulacją, tedy mógłby „dać plamę” wypowiadając więcej niż dwa do trzech słów. Iszczio raz porzekadłowo: „*z obłoków na ziemię*” sprowadziła polski lud kibolski niekompetencja Nawalki, a niekomunikatywność tego pana mogła mieć spore znaczenie nie tylko przed kamerami, lecz i w szatni naszej drużyny, Bóg raczy to wiedzieć. Fakty są, jakie są: uznano nas (po meczu z Kolumbią; piszę przed meczem z Japonią) za najgorszą drużynę turnieju, gorszą nawet od Panamy, vulgo kłapa zawstydzająca, psiakrew, haniebna, dno dna! Drużyna została źle przygotowana do tych mistrzostw (pod każdym względem: technicznym, taktycznym, fizycznym, mentalnym), była źle ustawiana na boisku i źle kierowana (brak właściwych koncepcji gry). Wniosek: Polacy, nic się nie stało takiego od dwóch lat, co by mogło unieść nasz futbol, a winni są temu źli sternicy naszego świata piłkarskiego, trzeba ich wygnać! ©

Waldemar Łysiak

PS. Słysząc już głosy, że Nawalkę trzeba jednak zostawić jako trenera reprezentacji, gdyż w kraju brak lepszych trenerów. Co znaczy: zostawmy grabarza, może stworzy drużynę złożoną z „zombi” i zacznie lać cudzoziemskich frajerów, bo ci będą mdleć na sam widok lechickich upiórów.

100 %

**polski
produkt**

JUŻ NIEBAWEM RUSZA
**III EDYCJA
KONKURSU**

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PATRONAT HONOROWY



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII



MINISTERSTWO
INWESTYCJI
I ROZWOJU

PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY